

WYWIAD  
Z  
AUTORKĄ

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHOR

POWIEŚĆ

DIANA PALMER

ZIMOWĄ NOCĄ

# DIANA PALMER

## ZIMOWĄ NOCĄ

WYWIAD  
Z  
AUTORKĄ

WYWIAD  
Z  
AUTORKĄ

**Palmer Diana**

***Zimową nocą 01***

**Najlepszy prezent**

*Czego Millie Evans pragnie najbardziej na świecie? Poczucia, że wreszcie jest bezpieczna. Mimo że jej wieloletni prześladowca popełnił samobójstwo, nadal jest w niebezpieczeństwie – ktoś usiłuje ją zabić. Ochrony Millie podejmuje się agent rządowy Tony Danzetta. Od tej chwili będą razem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Reagują na wzajemną bliskość coraz bardziej emocjonalnie, a przecież za każdą chwilę nieuwagi mogą zapłacić najwyższą cenę...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przyjaciel zmarłego był bardzo dobrze ubranym i potężnie zbudowanym mężczyzną. Wyglądał jak zawodowy zapaśnik. Miał na sobie drogi garnitur i kaszmirowy płaszcz. Pofalowane ciemne włosy nosił spięte w kucyk, z oliwkowej twarzy patrzyły uważne czarne oczy. W milczeniu stał nad trumną. Wyglądał obco i budził lekki niepokój; nie odezwał się do nikogo jednym słowem, odkąd przekroczył próg domu pogrzebowego.

Tony Danzetta wpatrywał się w trumnę Johna Hamiltona z kamiennym wyrazem twarzy, mimo że targała nim wściekłość. Z ciężkim sercem patrzył na ciało człowieka, którego dobrze znał i przyjaźnił się z nim od dzieciństwa. Zmarł jego najlepszy przyjaciel. Stało się to za sprawą kobiety.

Przyjaciel Tony'ego, Frank Mariott, zadzwonił do niego w sprawie Johna. Tony był wtedy w Jacobsville w Teksasie, gdzie wykonywał dodatkowe zlecenie. Miał nawet zamiar zostać parę dni dłużej zanim wróci do pracy, ale wiadomość o Johnie szybko sprowadziła go do rodzinnego San Antonio.

Z trójki przyjaciół John był najsłabszy. Pozostali musieli

go bronić przed nim samym. Fantazjował na temat ludzi i miejsc, które uznawał za część swojego życia. Często zupełnie obcy ludzie byli zszokowani, że chwalił się bliską zażyłością z nimi. Frank z Tonym sądzili, że to nieszkodliwe. John po prostu chciał być kimś. Jego rodzice byli skromnymi ludźmi, pracowali w fabryce odzieży, a gdy firma przeniosła się ze Stanów gdzieś do Azji, zostali sprzedawcami. Żadne z nich nie ukończyło liceum, ale John chętnie opowiadał w szkole o majątnych rodzicach, jachcie i własnym samolocie. Przyjaciele znali prawdę, mimo to pozwalali mu snuć takie opowieści. Rozumieli go. Teraz John nie żył, a odpowiedzialna za jego śmierć była... ta kobieta. Wciąż pamiętał z przeszłości jej twarz - czerwoną z zażenowania, kiedy prosiła go o notatki z prawa karnego, i z dodatkowych zajęć, na które oboje uczęszczali na studiach. Od tamtego czasu minęło sześć lat. Millie nie potrafiła nawet rozmawiać z mężczyzną, żeby się nie jąkać. Włosy koloru mysiego i okulary na nosie nie dodawały jej uroku, chociaż miała duże zielone oczy. Poza tym była przeciętna. Przybrana matka Tony'ego pracowała w lokalnej bibliotece, gdzie Millie właśnie rozpoczęła pracę; dorabiała sobie do stypendium. Bardzo ją lubiła, często opowiadała o niej Tony'emu i robiła wszystko, żeby zwrócił na nią uwagę. Trwało to aż do jej śmierci. Tony nie mógł powiedzieć tego matce, ale wiedział o Millie zbyt dużo, by mogła się ona znaleźć w kręgu jego zainteresowań. Parę lat temu John oszalał na punkcie tej dziewczyny. Podczas którejś z krótkich wizyt u przyjaciela Tony dowiedział się w zaufaniu o drugiej naturze Millie. Otóż w sytuacji sam na sam stawała się ona nadzwyczaj zabawowa

i seksowna. Po kilku piwach robiła wszystko, czego tylko mógł chcieć mężczyzna. Pruderia i nerwowość okazywana w obcowaniu z płcią przeciwną była tylko pozą. Naprawdę była rozwiązła i lubiła się dobrze zabawić. John opowiedział również o trójkącie z Millie, w którym brał kiedyś udział również Frank, i do tej pory czuł się tym faktem zażenowany. Te wiadomości jeszcze bardziej zniechęciły Tony'ego do dziewczyny, która i tak nie wydawała mu się atrakcyjna. Była jeszcze jedną nudną i bezbarwną starą panną, która zrobiłaby wszystko, żeby tylko złapać faceta. Biedny John. Miał obsesję na punkcie Millie, dla niego była królową Saby, kwintesencją kobiecości. Czasem go kochała, narzekał John, a czasem traktowała jak obcego. Skarżyła się, że ją nękał. A przecież to niedorzeczne - opowiadał przyjacielowi - bo czy nachodziłby ją, gdyby to ona sama nie czekała na niego w jego mieszkaniu aż wróci z pracy? Często nawet całkiem rozebrana.

Tony nie rozumiał przyjaciela. On sam miał zawsze wokół siebie piękne, inteligentne kobiety. Nigdy nie musiał się za żadną uganiać. Millicent Evans nie miała fascynującej osobowości, nie wydawała się zbyt bystra i wyglądała przeciętnie. Nie rozumiał, co John w niej widział.

Teraz jego przyjaciel nie żył i właśnie ta kobieta była odpowiedzialna za jego śmierć, przez nią popełnił samobójstwo.

Tony patrzył na bladą, pozbawioną życia twarz i czuł narastający gniew. Jakaż to kobieta traktuje mężczyznę w ten sposób? Uraża miłości drugiego człowieka do tego stopnia, że doprowadza go do odebrania sobie życia.

Dyrektor domu pogrzebowego odłożył słuchawkę telefonu i podszedł do Tony'ego.

- Pan Danzetta? - zapytał z szacunkiem. Człowiek, który dzwonił, opisał Tony'ego jako osobę o niekonwencjonal-

nym wyglądzie. Tony Danzetta był postawnym mężczyzną, a jego czarne oczy przypominały diamenty.

- Tak, to ja - odpowiedział głębokim, niskim głosem.

- Pana przyjaciel, pan Mariott, właśnie do mnie telefonował, żeby uprzedzić o pana przyjeździe.

Mówił też o specjalnym życzeniu w sprawie pochówku.

- Tak - odpowiedział Tony. - Mam dwie działki na otoczonym stałą opieką cmentarzu w San Antonio. Pochowana jest tam również moja przybrana matka. Chciałbym, by ciało Johna również zostało tam złożone.

Przypomniawszy sobie wzgórza w Cherokee w Północnej Karolinie, gdzie spoczywała jego biologiczna matka

i cmentarz w Atlancie, gdzie pochowany był ojciec i młodsza siostra. W San Antonio mieszkał z przybraną matką od czasów liceum.

Opisał dyrektorowi miejsce przeznaczone dla Johna.

- Dokumentację dotyczącą tych działek oraz plany mam w skrytce bankowej. Mógłbym je podrzucić jutro rano.

- Lepiej byłoby dzisiaj, jeśli to nie kłopot - odpowiedział przeproszającym tonem - musimy przygotować miejsce na pochówek, żeby zdążyć na pojutrze z uroczystością. Mam nadzieję że pan to rozumie?

Tony miał poumawiane spotkania, między innymi w banku. Przy okazji mógł wyjąć plany ze skrytki.

- Nie ma problemu. Podrzucę dokumenty wieczorem, wracając do hotelu.

- Dziękuję. To nam obu ułatwi sprawę. Tony spojrzawszy na zegarek.

- Muszę już iść. Wrócę, kiedy pozałatwiam sprawy w mieście. Jeśli pojawi się Frank, proszę mu przekazać, że chcę się z nim spotkać. Mam w planie zabrać go na kolację dziś wieczorem.

- Oczywiście, proszę pana.

Dyrektor wychodził z kaplicy przedpogrzebowej, ale jeszcze się zatrzymał, by z kimś pomówić. Wzrok Tony'ego znowu spoczął na twarzy przyjaciela i ledwie częściowo zarejestrował czyjeś przybycie.

Usłyszał miękkie kroki. Ktoś zbliżył się do trumny i stanął obok niego. Odwrócił głowę.

Oto ona, winna, we własnej osobie. Miała teraz dwadzieścia sześć lat. Nie wyglądała lepiej niż wtedy, gdy pracowała z jego matką. Była natomiast lepiej ubrana. Miała na sobie porządny szary garnitur z różową bluzką i gruby ciemny płaszcz. Długie włosy związała w luźny węzeł opadający na kark. Pewnie nosiła szkła kontaktowe, ponieważ pamiętał, że Millie była krótkowidzem. Zielone oczy, ładne usta i świeża cera mimo wszystko nie przydawały jej atrakcyjności w oczach Tony'ego, szczególnie po tym, jak okazało się, że jest odpowiedzialna za śmierć jego przyjaciela.

- Bardzo mi przykro - powiedziała cicho, bez emocji. - Nie chciałam, żeby tak to się skończyło.

- Naprawdę? - odwrócił się gwałtownie, wcisnął ręce w kieszenie płaszcza i spojrzał na nią z góry świdrującym wzrokiem.

- Drażniłaś się z nim, zwodziłaś go, igrałaś, żeby potem oskarżyć o nękanie i wysłać do aresztu. I śmiesz mówić, że nie chciałaś, aby tak to się skończyło?!

Przeszył ją zimny dreszcz. Wiedziała, że lata temu pracował na budowach, ale pojawiły się niezbyt pochlebne plotki na jego temat. John utrzymywał, że Tony jest zamieszany w nielegalne interesy, a nawet że kogoś zabił. Teraz, patrząc w jego czarne oczy, mogła w to uwierzyć. Co on takiego powiedział o drażnieniu Johna?

- Nie sil się na kłamstwo - powiedział lodowato,

przerywając jej, zanim zdążyła go o to zapytać. - John opowiedział mi o tobie.

Uniosła brwi. Co było do powiedzenia oprócz tego, że jego przyjaciel John omal nie zniszczył jej życia? Wyprostowała się i powiedziała.

- Tak, był niezły w opowiadaniu ludziom o mnie.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, co on w tobie widział

- Tony kontynuował; jego głos, tak samo jak wzrok, był bezlitosny. - Nie masz nic na co warto zwrócić uwagę. Nie spojrzalbym na ciebie nawet gdybyś ociekała brylantami.

- Muszę iść - wyjąkała. Nie umiała przeciwstawić się takiemu grubiańskiemu zachowaniu. Ten postawny mężczyzna szukał konfliktu, a Millie nie miała odpowiedniej broni. Dawno temu straciła ducha walki.

- Nie napawasz się triumfem? - zaśmiał się chłodno.

- Człowiek nie żyje, i to ty doprowadziłaś go do samobójstwa.

Odwróciła się, poczuła ból w piersiach. Napotkała wzrok Tony'ego.

- Ty i Frank nigdy nie potrafiliście tego dostrzec

- odpowiedziała. - Nie widziałeś tego. Mężczyźni bywają zauroczeni, a John miał obsesję. Już wcześniej był aresztowany za nękanie kobiet.

- Domyślam się, że nakłaniałaś je, żeby złożyły doniesienie - przerwał jej. - John powiedział mi, że najpierw oskarżałaś go o nękanie, a potem czekałaś na niego rozebrana w jego mieszkaniu.

Millie wydawała się nie być wcale zaskoczona tym oskarżeniem. Tony nie mógł wiedzieć, że była przyzwyczajona do takich pomówień ze strony jego przyjaciela. Wzruszyła ramionami.

- Próbowałam mu pomóc - powiedziała. - Kiedy go



aresztowali, osobiście rozmawiałam z prokuratorem okręgowym i prosiłam o ekspertyzę biegłego psychiatry, ale John odmówił.

- Oczywiście, że odmówił. Z jego głową było wszystko w porządku. - Wybuchnął Tony. - Chyba że stan zaślepienia nazwiesz problemem psychiatrycznym. Ja bym go tak nazwał.

- Nazywaj to sobie jak chcesz - powiedziała zmęczonym głosem. Jeszcze raz spojrzała na Johna i odwróciła się.

- Nie kłopotz się przychodzeniem na pogrzeb - powiedział zimno. - Nie jesteś zaproszona.

- Nie obawiaj się. Nie miałam tego w planach - odpowiedziała.

Tony ruszył w jej kierunku rozgniewany tą obojętnością.

Millie straciła dech, upuściła torebkę i odskoczyła od niego. Zbladła.

Zaskoczony Tony zatrzymał się.

Wtedy schyliła się szybko i podniosła torebkę, po czym odwróciła się i wybiegła.

Na zewnątrz słychać było szum i zamieszanie. Tony targany gniewem i żalem odwrócił się w stronę trumny przyjaciela i powiedział miękko:

- Mój Boże, tak mi przykro.

Zmusił się do wyjścia. Przy drzwiach wejściowych stał zatroskany dyrektor.

- Młoda dama była zdenerwowana - powiedział niepewnie. - Płakała i była biała jak ściana.

- Jestem pewien, że to z powodu Johna - odparł Tony nonszalancko. - Znali się długo.

- Tak, w takim razie to jasne.

Tony podszedł do samochodu i poczuł się lepiej. Przez pamięć dla Johna udało mu się wykrzesać z Millie choć odrobinę emocji. Wsiadł do swojego drogiego sportowego

auta, wyjechał z parkingu i zaczął rozmyślać o spotkaniu w banku.

Millie Evans wsiadła do swojego volkswagena garbusa i patrzyła jak wóz Tony'ego znika. Wciąż płakała. Jego chłód i złość zraniły ją. Przez dwa lata musiała się sama zmagać z tą straszną komedią rozpętaną przez Johna. Patrzyła jak jej życie i kariera rozpadają się, gdyż John opowiadał na jej temat niestworzone historie i kłamstwa każdemu, kto był na tyle łatwowierny, żeby słuchać.

Dreńczył ją, szykanował, zamienił jej życie w piekło. Teraz nie żył, a Tony chciał obarczyć ją winą za to, że popchnęła jego biednego, bezbronного przyjaciela do samobójstwa. Prawda wyglądała tak, że John był wcieleniem diabła, a nie biednym przyjacielem.

Może gdyby jego serdeczni koledzy zorientowali się wcześniej, że John był psychicznie chory, mogliby mu pomóc?

Millie odczuła ulgę, że John nie zrealizował swojej ostatniej groźby - pozbawienia jej życia. Straszyl, że odrzucając go, umrze. Miał przyjaciół, którzy nie zawahaliby się jej zabić za odpowiednią sumę. Groził, że użyje wszystkich swoich oszczędności, żeby zrealizować ten nikczemny cel. Upewni się, że ona nie będzie triumfować po tym, kiedy pozbędzie się go ze swojego życia.

Martwiła się tym. Gazety były pełne informacji o ludziach, którzy sięgnęli dna, i zanim popełnili samobójstwo, zabijali tych, których obwiniali o swoje problemy. To smutny element dzisiejszego nowoczesnego życia, myślała. Nigdy jednak nie sądziła, że właśnie jej - skromnej, konwencjonalnej Millie Evans - przydarzy się coś takiego. Przecież większość ludzi nawet nie zwracała na nią uwagi! Jej skrytym marzeniem było, żeby Tony ją wreszcie zauważył. Kochała go chyba od zawsze. Kiedy żyła jego

przybrana matka, Millie często nakłaniała ją do opowieści o adoptowanym synu. Tony przebył długą drogę z Północnej Karoliny. Razem z siostrą, oboje z plemienia Irokezów, mieszkali z matką i jej agresywnym mężem - lecz nie biologicznym ojcem dzieci - w Atlancie. Mężczyzna był pijakiem, zachowywał się brutalnie wobec dzieci. Tony z siostrą zostali oddani do rodzin zastępczych w Georgii. Po tragicznej śmierci siostry Tony'ego adoptowała go przybrana matka i zabrała cierpiącego chłopca do San Antonio, gdzie miała rodzinę. Pracowała w archiwum publicznej biblioteki, dlatego Tony był tam częstym gościem. Millie zaczęła pracować w bibliotece już po szkole i nie przerwała pracy nawet w czasie studiów.

Uwielbiała słuchać opowieści o Tonym - chłopcu, nastolatku i żołnierzu. Czasami matka przynosiła listy od syna i pokazywała je Millie. Chłopak miał dar opisywania swojego życia i sprawiał, że kraje, w których stacjonował, ożywały nie tylko dla jego matki.

Millie zawsze miała nadzieję, że Tony będzie często odwiedzał bibliotekę podczas swoich przepustek, ale nic z tego nie wychodziło, bo wokół niego kręciło się zbyt wiele ładnych dziewczyn.

Frank Mariott pracował jako ochroniarz w nocnym klubie. Znał wiele kelnerek i tancerek.

Przedstawiał je Tony'emu, a on spędzał z nimi wolne wieczory.

Biblioteka, jak stwierdziła Millie, nie była dobrym miejscem dla Tony'ego, żadnego mocnych wrażeń. Spojrzała we wsteczne lustro i roześmiała się. Zobaczyła zwykłą, smutną twarz. Straciła nadzieję, że dla jakiegokolwiek mężczyzny stanie się tą jedyną, z którą on zechce spędzić życie. Dobrze jest kolekcjonować romanse, pomyślała, przynajmniej można poczytać o miłości, której się nigdy nie zazna.

Wytarła oczy, zamknęła torebkę i pojechała do pracy.

Zmusiła się, żeby ostatni raz zobaczyć Johna, bez winy i poczucia wstydu. Zyskała jedynie nowego nieprzyjaciela, który ją znieważył.

Wiedziała, że nigdy więcej nie spotka Tony'ego. Chyba to dobrze, pomyślała. Dość już karmienia swego serca wspomnieniami o mężczyźnie, który nawet jej nie zauważa.

Tony zrobił przelew w banku, wyjął z depozytu dokumenty dotyczące działek, zrobił kopie i wrócił do domu pogrzebowego.

Nie mógł jednak zapomnieć przerażonej twarzy Millie w domu pogrzebowym, kiedy zbliżał się w jej kierunku. Była to dziwna reakcja. Mogła ją zaskoczyć szybkość jego poruszania się, ale ona spodziewała się z jego strony ciosu, uderzenia. Miała to wypisane na twarzy. Zastanawiał się, co musiało ją spotkać w przeszłości, że odczuwała taki lęk.

W tym momencie skarcił się za absurdalne współczucie w stosunku do osoby, która była odpowiedzialna za śmierć Johna. Przynajmniej upewnił się, że nie będzie jej na pogrzebie.

Zaparkował przed domem pogrzebowym i zamknął auto. Robiło się chłodno. Dziwna pogoda, pomyślał, w ciągu kilku dni z lata zrobiła się zima. Cóż, listopad w Teksasie, pomyślał.

Wszedł do kaplicy przedpogrzebowej i zobaczył rodzinę Johna pogrążoną w rozmowie. Frank dostrzegł Tony'ego i podszedł się przywitać.

- Przywiozłem tylko to - powiedział do Franka, pokazując kopie dokumentów. - Zamieńmy parę słów z rodziną Johna, zanim pójdziemy na kolację.

Kiedy dyrektor ich zobaczył, podszedł odebrać papiery i wrócił do swojego gabinetu.

- Możesz być zszokowany... - wymamrotał Frank, wchodząc do sali.

- Co masz na myśli? - zapytał Tony.

John nie miał zbyt wielkiej rodziny. Jego rodzice od dawna nie żyli. Miał siostrę, Idę. Była na miejscu, nie wyglądało na to, żeby płakała. Spojrzała w kierunku drzwi i uśmiechnęła się do nich.

- Tony! Jak miło znów cię widzieć. - Podbiegła do niego i uściskała go. - Wyglądasz świetnie.

- Bardzo mi przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach - zaczął Tony.

- Tak, to dopiero idiota, zrobić taką głupotę - Ida wymamrotała. - Miał polisę na życie na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Płaciliśmy za niego z Jackiem składki i teraz przez to, że się zabił, nie dostaniemy ani centa!

Tony spojrzał na nią mętym wzrokiem, jakby dostał celne uderzenie między oczy.

- O, jest Merle. Przepraszam cię kochanie, ale muszę z nią pomówić o kwiatach. Obiecała mi dobrą cenę na wieniec...

Ben, kuzyn Johna, podszedł, by się przywitać.

- Ale bałagan - powiedział do mężczyzn. Pokręcił głową z dezaprobatą. - Wyciągnąłem go z więzienia za kaucją. Nie mogę powiedzieć w tej sytuacji, że nie wywiązał się ze zobowiązania, ale już nie odzyskam tego, co za niego zapłaciłem - powiedział zrzędlwym tonem. - Obiecał, że odda. - Odszedł, wciąż kręcąc głową.

Starsza kobieta z tlenionymi na blond włosami, ubrana w paskudną czarną sukienkę przyglądała się Tony'emu badawczo. W końcu uśmiechnęła się i powiedziała:

- Ty musisz być tym bogatym przyjacielem Johna. Opowiadał, że masz kilka wysp na Atlantyku i podarujesz mu jedną razem z jachtem, żeby mógł się na nią dostać.

- Tak, zgadza się Blanche - powiedział Frank z uśmiechem. - Teraz musisz nam wybaczyć, jesteśmy umówieni. Zobaczymy się na pogrzebie.

- Bardzo chciałabym zobaczyć jacht - dodała Blanche. Frank wziął Tony'ego pod ramię i skierowali się ku wyjściu.

Piętnaście minut później siedzieli w dobrej włoskiej restauracji i składali zamówienie.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział z wściekłością Tony. - Jego własna rodzina, a wydaje się, że nikomu nie jest żal, że nie żyje.

- Był dla nich nie lada utrapieniem - odpowiedział Frank. - Nie pracował - dodał, wprawiając Tony'ego w kolejne zdziwienie tego dnia. - Powiedział w urzędzie, że ma uszkodzony kręgosłup, przekupił tanim winem dwóch włóczęgów, żeby potwierdzili, że widzieli wypadek, który spowodował tę kontuzję. Przekonał lekarza, który wystawił mu odpowiednie zaświadczenie i dzięki prawnikowi załatwił sobie częściową niezdolność do pracy. - Pokręcił głową. - Ledwie mu starczało, żeby przeżyć. Zadręczał krewnych prośbami o pomoc. Kiedy ostatnim razem został aresztowany za nękanie, poprosił Bena o poręczenie i wpłatę kaucji. Ostrzegałem Bena, ale powiedział, że John obiecał mu szybką spłatę przez swojego bogatego przyjaciela.

- Znałem Johna od liceum, ty poznałeś go jeszcze wcześniej. Wiem, że był dobrym człowiekiem - powiedział Tony.

Frank zamilkł na czas podania przystawek i napojów.

- On się zmienił - powiedział cicho. - Bardziej niż ci się wydaje. Widywałeś go tylko w wakacje, kiedy żyła jeszcze twoja przybrana matka, a przez ostatnie lata bardzo rzadko. Ja widywałem go ciągle.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wymamrotał Tony, wpatrując się w przyjaciela.

Frank bawił się widelcem.

- Parę miesięcy temu zaprzyjaźnił się z gangsterami. To było dla niego nobilitujące, że zadaje się z ludźmi, którzy prawo mają za nic i nienawidzą glin. Odkąd był aresztowany za nękanie...

- Tak - przerwał Tony. - Ta kreatura Millie!

- Kreatura!? - Frank wyprostował się, był zgorzony. Tony poczuł się niepewnie.

- To ona przyczyniła się do śmierci Johna, pamiętasz?

- Kto ci to powiedział?

- John. Wysłał mi list - Tony wyciągnął z kieszeni kopertę. - Przyszedł w dniu, kiedy dowiedziałem się o jego śmierci. Musiał go wysłać wcześniej. Pisał, że ona go torturowała... do diabła, sam przeczytaj. Przesunął kopertę w stronę Franka.

- Wyobrażam sobie, co tam jest - powiedział Frank, ignorując list. Przełknął kęs sałatki. - Oskarżał kobiety o drażnienie się z nim, kiedy one chciały tylko, żeby je zostawił w spokoju. Millie jest lepsza niż większość kobiet, wciąż mu wybaczała. Kiedy odmówiła spotkań, on zaczął opowiadać o niej niestworzone historie jej kolegom z pracy.

Spojrzał na Tony'ego, który siedział sztywno, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- Sam widziałeś Millie. Powiedz, czy wygląda na kobietę, która czekałaby na Johna w jego apartamencie ubrana w kostium francuskiej pokojówki z butelką szampana w jednej i kieliszkiem w drugiej ręce?

- Trudno to sobie wyobrazić - przyznał Tony - ale kobiety jeszcze bardziej niewinne potrafią robić bardziej szalone rzeczy.

- Jasne, ale Millie nie jest taka - twarz Franka złagodniała. - Zanim przyjechałeś, ona siedziała z twoją przybraną matką w szpitalu, towarzyszyła jej na łożu śmierci. Była tam każdego wieczora po pracy.

- Pewnie, bronisz jej, bo uczestniczyłeś w trójkącie z nią i Johnem - wypalił Tony.

Frank wlepił w niego wzrok.

- Co takiego?!

Reakcja przyjaciela sprawiła, że Tony poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Nalał sobie wody.

- John mi o tym opowiedział.

- Na litość boską! - wykrzyknął Frank. - Nigdy w życiu nie brałem udziału w trójkącie, a już na pewno nie z Millie.

- Może pomylił imiona - wymamrotał Tony.

- A może opowiadał o mnie brednie - Frank się odchylił. - Zrobiłbym wszystko, żeby Millie mnie zauważyła. Czy wiesz, jak mało mogę zaoferować kobiecie z jej inteligencją? Ona ma dyplom z bibliotekoznawstwa, a ja ledwie skończyłem szkołę średnią. Jestem tylko ochroniarzem - dodał ciężko. - Nikim.

- Przestań - powiedział natychmiast Tony - nie jesteś „tylko” ochroniarzem. To ciężka robota. Potrzebny jest nie lada facet, żeby ją wykonywać.

- Na pewno w Nowym Jorku faceci rozklejający reklamy marzą, by zostać ochroniarzami w klubie - powiedział Frank sarkastycznie. - Tu, w San Antonio, to nie jest wymarzona robota.

- Podkochujesz się w Millie i dlatego jej bronisz.

- To prawda. Spróbowałbym nawet swoich sił, gdyby konkurencja nie była taka mocna. To Johna też doprowadzało do furii, nie mógł znieść konkurencji. Wiedział, że nigdy nie zastąpi faceta, w którym Millie jest zakochana od prawie sześciu lat.



- Jakiego faceta? - zapytał Tony bez zainteresowania.

- Ciebie.

Tony poczuł się tak, jakby czas stanął i wszystko zaczęło dookoła wirować w zwolnionym tempie.

Odłożył widelec i spojrzał na Franka, jakby ten oszalał.

- Co takiego?

- Czy myślisz, że Millie potrzebowała zajęć z prawa karnego, żeby zostać bibliotekarką? - powiedział Frank z przekąsem. - Poszła na te zajęcia ze względu na ciebie. Dowiedziała się od twojej matki, że zamierzasz na nie pójść, żeby szybciej dostać dyplom. To był pretekst, by znaleźć się bliżej ciebie.

Dla Tony'ego było to straszne, ale miało sens. Nawet nie zapytał Millie, dlaczego chodzi na te zajęcia.

- Świetnie - wymamrotał Tony. - Morderczyni mojego najlepszego przyjaciela myśli, że jestem seksowny.

- Ona go nie zabiła, ale żadna ława przysięgłych by jej nie skazała nawet wtedy, gdyby to zrobiła. - Zaoponował Frank. - On sprawił, że wyrzuciliby ją z pracy. Poszedł do jej szefa i powiedział, że Millie rozbija się po barach i uprawia seks przed publicznością. Powiedział to również trzem najbogatszym czytelnikom, a jeden z nich zasiadał w zarządzie biblioteki. Zażądali jej zwolnienia.

Tony spojrzał na przyjaciela niepewnie.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Ponieważ poszedłem do mojego przyjaciela w lokalnym komisariacie i wyciągnąłem oskarżenie Johna o gwałt, żeby pokazać w zarządzie biblioteki.

Tony nagle poczuł się chory.

- Oskarżenie o gwałt? John był oskarżony o gwałt?

- Tak. O oszustwo, zniesławienie, drobne kradzieże, trzy zarzuty o nękanie i z pół tuzina innych zarzutów. Mam

zeznanie ostatniej kobiety, którą nękał. Recepcjonistka z gabinetu dentystycznego, do którego chodził. Przysięgała w sądzie, że groził jej śmiercią. On natomiast przekonał adwokata, że dziewczyna kłamie, sfabrykował dowody i świadków, którzy rzekomo słyszeli, że dziewczyna chciała wysłać Johna do więzienia. Członkowie gangu zeznali na jego korzyść w sądzie. Parę tygodni później recepcjonistka została zgwałcona. Nikogo nie złapano i nie postawiono żadnych zarzutów.

Tony pochylił się w stronę Franka.

- Chyba nie chcesz powiedzieć że John miał z tym coś wspólnego.

- Nigdy się nie przyznał - powiedział Frank ciężko

- ale ja wiem, że miał. Parę miesięcy później jeden z członków gangu został zatrzymany za gwałt i chwalił się oficerowi, który go aresztował, że może się z tego wywinąć, kiedy będzie chciał, bo ma alibi. Okazało się, że dawali je inni członkowie gangu. Na nieszczęście dla faceta przy drugiej sprawie o gwałt nowy członek gangu pracował dla policji i miał podsłuch.

- Przecież John nie był taki. Był dobrym człowiekiem

- zaprotestował Tony.

- On był chory - powiedział Frank stanowczo. - Całkowicie zniszczył Millie życie tylko dlatego, że go nie chciała. Nawet jego krewni przepaszali ją za to, co wyprawiał. Pamiętaj, że do tej pory sajeszczki ludzie, którzy chodzą do biblioteki są przekonani, że Millie organizowała orgie w piwnicy, ponieważ to John tak im powiedział.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć - sam do siebie powiedział Tony.

- Oczywiście. Nie wiesz, kim stał się dorosły John. Pamiętasz tylko dzieciaka, który grał z tobą w baseball w dziewiątej klasie.

- Był oskarżony o gwałt. Przez myśl by mi to nie przeszło.
- Miał problemy psychiczne. Jest coś jeszcze. Mój przyjaciel z komendy powiedział, że przeszukując pokój Johna, znaleźli wyciąg bankowy na stoliku kawowym. Wynikało z niego, że John podjął pięć tysięcy dolarów w gotówce. Najprawdopodobniej sprzedał wszystko, co stanowiło jakąkolwiek wartość. Były tam też ładnie poukładane kwity z lombardu.
- Znaleźli również zaadresowaną do Millie notatkę z groźbą: „Pożałujesz”. Policja nic jej jeszcze nie powiedziała i nakazali milczenie również mnie. Boję się o nią.
- Jak sądzisz, co John zrobił z pieniędzmi? - Tony zapytał.
- Nie wiem.

Tony zmarszczył brwi.

- Czy któryś z tych facetów z gangu był kiedykolwiek oskarżony o morderstwo?
- Tak - padła szorstka odpowiedź. - John miał mściwą naturę. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby zlecił morderstwo Millie.

John, którego znał Tony, był nastolatkiem, niezdolnym do czegoś takiego. Mężczyzna, którego teraz poznawał, był zdolny do wszystkiego. Czuł, że jego mózg ledwie pracuje.

Przyjechał do domu z poukładaną historią o dobrym facecie i złej kobiecie, a teraz jego przekonania legły w gruzach. Przypomniawszy sobie Millie i jej zboląły wyraz twarzy, kiedy obciążył ją winą za śmierć Johna. Wspomniawszy też to, co Frank właśnie powiedział, że Millie na nim zależało. Teraz mógłby się założyć, że już jej nie zależy.

Frank spojrzawszy na zegarek i powiedział:

- Muszę wrócić do kaplicy. Millie chciała zobaczyć Johna. Próbowałem jej to wybić z głowy, ale powiedziała,

że musi to zrobić, bo czuje się odpowiedzialna. Nawet po tym co on jej zrobił, było jej żal człowieka. Tony przymknął oczy i jęknął. Nie wiedział, jak ma powiedzieć Wojemu przyjacielowi, że Millie już była u Johna i o tym, że potraktował ją jak śmiecia, przestraszył i zmusił do ucieczki z kaplicy. To na pewno nie były rewelacje, których oczekiwał Frank.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Frank się skrzywił, kiedy Tony opowiedział mu o spotkaniu z Millie w domu pogrzebowym.

- Dobry Boże - powiedział ciężko. - Biedna dziewczyna. Jak mogłeś?

- O niczym nie miałem pojęcia - bronił się Tony. - Miałem tylko list od Johna i wspomnienie ostatniej wizyty tutaj, kiedy skarżył się, płakał i opowiadał jak fatalnie jest przez nią traktowany. Byłem pewien, że zabiła go swoją bezwzględnością.

Frank westchnął ciężko.

- Żałuję, że przyszła do kaplicy wcześniej - powiedział.

- Tak, ja też - odparł Tony. Pomyślał, że nigdy nie zapomni jej szaleńczego pędu do drzwi. Będzie go to teraz prześladować.

- Słuchaj, czy mógłbyś poprosić tego swojego kumpla z komendy, żeby popytał na mieście, czy nie mówi się o nowym zleceniu?

- Mogę to zrobić - powiedział Frank i odrobinę się rozchmurzył.

- Może John przekazał pieniądze na schronisko dla

zwierząt, a ją chciał tylko przestraszyć - zasugerował Tony.

Frank spojrział na niego z wyrzutem. Tony podniósł ręce.

- Przepraszam - powiedział.

- To nie ma znaczenia, czego się dowie - powiedział Frank. - Policja i tak nie ma pieniędzy na ochronę dla zwykłych obywateli. Jeśli nawet, to nie dadzą rady nikogo jej przydzielić.

- Jestem wolny aż do nowego roku. Mogę się tym zająć. Frank zamrugał.

- Jestem przekonany że bardzo się ucieszy, kiedy będzie cię miała blisko, szczególnie po tak miłym przyjęciu, jakie jej zafundowałeś w domu pogrzebowym.

Tony się wzdrygnął.

- Tak, będę ją musiał przeprosić.

Frank nie odpowiedział, ale uważał, że przekonanie Millie o tym, iż Tony'emu naprawdę jest przykro, wcale nie będzie łatwe. Tony spędził większość życia w świecie pełnym przemocy. Jego umiejętności społeczne były nieco siermiężne, szczególnie jeśli chodziło o kobiety pokroju Millie.

Gust Tony'ego i jego obycie dostosowane były do zachowania kobiet, które można spotkać w barach i nocnych klubach. Tymczasem Millie była wysublimowana i zachowywała rezerwę. Taka kombinacja mogła być dla Tony'ego trudnym orzechem do zgryzienia.

Następnego dnia skruszony Tony dołączył do Franka w domu pogrzebowym. Siedzieli razem, towarzysząc przyjacielowi w jego ostatniej drodze. Razem z nimi była niewielka grupka ludzi, głównie rodzina. Kilku dziwnie i obco wyglądających mężczyzn siedziało z boku i roz-

glądało się dookoła. Tony zastanawiał się, czy nie byli to znajomi Johna z gangu.

Po krótkim nabożeństwie Tony zabrał Franka na cmentarz. Ceremonia była równie krótka. Tony zwrócił uwagę, że ci mężczyźni również przyjechali za nimi.

- Jesteśmy obserwowani - powiedział przyjacielowi Tony, kiedy wrócili do wozu.

- Zauważyłem - odpowiedział Frank. Praca ochroniarza pomogła mu w wykształceniu szóstego zmysłu, który ostrzegał o kłopotach.

Udawali, że rozmawiają normalnie. Kiedy wsiedli do auta, Tony spojrzął we wsteczne lusterko i zobaczył, że jeden z mężczyzn spisuje numery z jego tablicy rejestracyjnej.

Tony zaczął się śmiać i ruszył. Minał dwa samochody rodziny i wyjechał z cmentarza.

- Co cię tak bawi? - zapytał Frank.

- To gliny - odpowiedział.

- Co?

- To gliny - powtórzył Tony. - Członkowie gangu nie byliby w ogóle zainteresowani moimi tablicami.

A ci chcą wiedzieć kim jestem i jakie miałem powiązania z Johnem.

Spojrzał na przyjaciela.

- Zapytaj twojego kumpla z policji, co chcą o mnie wiedzieć. Zadzwoń i podam im szczegóły.

Frank zachichotał.

- Jasne. Zadzwoń, jak tylko wrócę do domu. Tony uśmiechnął się. Bawiło go, że jest podejrzewany i sprawdzany. Nie zwracał na siebie uwagi i nie wspominał o pracy.

Podrzucił Franka do domu i umówił się z nim na lunch następnego dnia, po czym wrócił do hotelu.

Zauważył, że znów jest śledzony. Oddał kluczyki parkingowemu a sam wszedł do recepcji, zwolnił kroku i podszedł do windy. Na plecach poczuł czyjś wzrok. Ktoś go śledził. Tony chciał się dobrze zabawić. Wsiadł do windy i udawał absolutny brak zainteresowania tym, co dzieje się dookoła. Mężczyzna, którego rozpoznał jako jednego z obcych z pogrzebu, wsiadł z nim do windy, również grając obojętność.

Tony wysiadł z windy na niewłaściwym piętrze. Obcy został w windzie, ale zapisał sobie numer piętra.

Tony zszedł schodami i czekał na dole, aż śledzący go mężczyzna wysiadzie z windy. Mężczyzna spojrział w czarne oczy Tony'ego i aż podskoczył.

Tony popatrzył z miną światowca:

- Jeśli chcesz wiedzieć kim jestem i dlaczego przyjechałem na pogrzeb Johna, to zapraszam do baru na drinka. Wszystkiego się dowiesz.

Mężczyzna podniósł brwi i zaczął się śmiać.

- Jak się domyśliłeś? - zapytał, kiedy usiedli w barze.

- Pracowałem już z glinami - powiedział Tony - pomiędzy jednym zagranicznym zleceniem a drugim.

- Co to za zlecenia?

Tony zachichotał, sięgnął do kieszeni po portfel i okazał dokumenty.

Mężczyzna gwizdnął cicho.

- Myślałem, żeby do nich dołączyć, ale po sześciu miesiącach inwigilacji, wezwań, testów na wykrywaczu kłamstw, weryfikacji pochodzenia i innych śledztw do upadłego poddałem się i zostałem w policji. Płacą marnie, ale przez dziesięć lat uczestniczyłem tylko w jednej strzelaninie. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Założę się, że nie możesz powiedzieć tego samego.

- Masz rację - przyznał Tony. - Noszę w sobie tyle



ołowiu, że mógłbym wypełnić nim magazynek. Nie mogli wyjąć części nabojów z powodu ich umiejscowienia.

- Znasz zmarłego, jak sądzę - zapytał policjant. Tony kiwnął głową.

- Był moim najlepszym przyjacielem od liceum

- skrzywił się, i dodał: - okazało się jednak, że w ogóle go nie znałem. Nękał kobietę, którą oboje znaleźliśmy, a ja myślałem, że ona kłamie.

Mężczyzna wyjął notatnik.

- To musi być panna Millicent Evans.

- Tak.

- Ona nie kłamała - powiedział detektyw. Dzwoniła do nas na dziesięć szesnaście, domowa przemoc fizyczna. Fatalnie ją poturbował.

Tony poczuł się paskudnie, kiedy przypomniał sobie zaskakującą, gwałtowną reakcję Millie w domu pogrzebowym. Nie mógł wydusić z siebie słowa.

- Kiedy przyszedł czas wniesienia oskarżenia i złożenia zeznań, nie zrobiła tego. - Powiedział policjant stanowczo.

- Byliśmy rozczarowani. Nie lubimy damskich bokserów. Mówiła, że był bardzo pijany, przeprosił i to był pierwszy raz, kiedy ją uderzył.

- Czy to na pewno był jeden raz? - Tony musiał to wiedzieć.

- Tak sądzę. Ona nie należy do kobiet, które pozwalają, żeby stało się to normą. Tydzień później John popełnił samobójstwo. - Detektyw przysunął się bliżej. - Dowiedzieliśmy się, że szef gangu wziął pieniądze za zabicie jej. To dlatego byliśmy na pogrzebie. Masz przyjaciela o imieniu Frank, prawda?

- Tak.

- On i mój porucznik też są dobrymi przyjaciółmi

- powiedział. - Mieliśmy szukać mężczyzny, który pasuje do profilu zabójcy. Tony roześmiał się.
- I ja pasuję do tego opisu - stwierdził.
- Widziałem najemnika mafii, który wyglądał dokładnie tak, jak ty - policjant pokręcił głową. - Jesteś Włochem?

Tony uśmiechnął się.

- Irokezem - powiedział. - Mąż matki mnie zaadoptował.
- Jak widać jesteś świetnym dowodem na to, że nie należy osądzać ludzi po wyglądzie.
- Dokładnie tak.

Następnego ranka Tony poszedł do biblioteki w nadziei, że przeprosi Millie, ale kiedy ta go dostrzegła, wyszła drzwiami z napisem „Tylko dla personelu” i zniknęła. Poprosił o spotkanie z nią przy kontuarze, ale dyżurująca dziewczyna pojawiła się po minucie zaczerwieniona i jękając się, wydukała:

- Przepraszam ale... nie mogę jej znaleźć;

Tony uśmiechnął się smutno. Nie winił Millie za to, że nie chce go widzieć.

- W porządku - powiedział. - Dziękuję.

Wyszedł. Najwyraźniej będzie ją musiał chronić na odległość, chyba że uda mu się skłonić ją do wysłuchania go.

Po powrocie do hotelu próbował do niej dzwonić, ale rozłączała się natychmiast, kiedy tylko usłyszała jego głos. Westchnął i zadzwonił do Franka.

- Uciekła innym wyjściem - powiedział przyjacielowi. - Spodziewałem się tego, ale muszę ją przekonać, że potrzebuje ochrony. Jak mam to zrobić? Masz jakieś pomysły? Musisz mi pomóc.

- Tak, pójdę do niej i pogadam z nią.
  - Dzięki. Powiedz jej, że mi przykro. Wiem, że to niczego nie załatwi, ale naprawdę tak jest.
  - Tak. Wiem.
  - Jednemu z naszych ogonów postawiłem drinka - powiedział Tony. - Powiedział, że szukają faceta, który pasuje do profilu mordercy na zlecenie i uważają, że ja się nadaję.
- Frank wybuchnął śmiechem.
- Jeśli pantofelek pasuje...
  - Dzięki wielkie - wymamrotał Tony.
  - Dam ci znać po rozmowie z Millie, obiecuję.
  - O.K. Będę na miejscu.
- Frank zadzwonił następnego ranka.
- Pogada z tobą - powiedział - ale nie jest w stanie uwierzyć, że John mógł zrobić coś tak drastycznego jak wynajęcie mordercy. Nie będzie ci łatwo ją przekonać, że potrzebuje ochrony - dodał.
  - Cóż, popracuję nad moimi zdolnościami społecznymi - odpowiedział Tony.
- Zamilkli na chwilę. - Słyszałem, jak kiedyś jakiś komik powiedział, że więcej możesz zdziałać uśmiechem i bronią niż samym uśmiechem - powiedział Frank.
- Tony wybuchnął śmiechem.
- Spróbuję złagodzić, zanim się z nią spotkam. Jakies wieści od znajomego detektywa?
  - Jeszcze nie, poza tym, że mnie uprzedzili - zaśmiał się. - Mają już kogoś, kto rozpracowuje gang, sprawdza, czy nie wynajęli mordercy. Może uda mu się coś ustalić.
  - W międzyczasie ja zrobię, co będę mógł, żeby ochronić Millie. - Odpowiedział Tony. - Do zobaczenia.
  - Cześć.

Wybierając się do biblioteki, Tony ubrał się swobodnie, żeby nie przykuć niepotrzebnie czyjej uwagi i na wypadek, gdyby już ktoś obserwował Millie. Założył dzinsy i podkoszurek pod skórzaną marynarkę. Wyglądał jak kowboj, brakowało mu tylko kapelusza z rondem. Nie miał w zwyczaju noszenia nakrycia głowy i przykrywania swoich falowanych, związanych w kucyk włosów. Był niezależny, jeśli chodzi o sposób i styl ubierania się, bez względu na to, czego wymagała praca. Podszedł do biurka i uśmiechając się do bibliotekarki, poprosił Millie. Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem, najwyraźniej spodobał się jej. Podniosła słuchawkę, nacisnęła przycisk i powiedziała Millie, że ma gościa. Podczas rozmowy przeglądała pocztę.

- O, jest też dla ciebie paczka - dodała, sięgając po płaską, ale miejscami jakby wypełnioną grudkami kopertę, zaadresowaną ostrym charakterem pisma.

- Nie dotykaj tego - powiedział szybko Tony, wyjmując jej z ręki telefon. Natychmiast wezwał policyjny wóz patrolowy i brygadę saperską.

Dziewczyna patrzyła na niego jak na szaleńca.

- Wyprowadź wszystkich z budynku - powiedział stanowczym tonem. - Pospiesz się - dodał, kiedy się zahała. - Tu jest dość materiału wybuchowego, żeby wysadzić blok mieszkalny.

Dziewczyna poszła na zaplecze w momencie, kiedy wyszła Millie. Stała przy kontuarze, kiedy Tony dyskutował z dyspozytorem na temat ekipy saperów.

- Słuchaj, pracuję dla rządu - powiedział głębokim, opanowanym tonem. - Widziałem już listy z bombami. Wiem, o czym mówię. Chcesz przeczytać jutro w gazetach, że biblioteka wyleciała w powietrze, ponieważ ty nie potraktowałeś poważnie zagrożenia? Na pewno przeliteru-

ją twoje nazwisko... tak, dokładnie to powiedziałem. Brygada saperów. I pospieszcie się!

Spojrzał na Millie, miał surowy wyraz twarzy i błyszczące oczy.

- Musimy stąd uciekać - powiedział.

- Jak to? Mam tu paczkę...

Złapał ją za rękę, kiedy sięgała po kopertę.

- Jeśli chcesz mieć obie ręce i całą głowę, zrobisz to, co mówię. Chodź! - krzyknął do bibliotekarki, która pospiesznie wyprowadzała kilka osób do frontowego wyjścia.

- Postradałeś rozum - powiedziała Millie sztywno.

- Zostaję...!

- Przepraszam - powiedział, biorąc ją na rękę i niosąc do głównych drzwi. - Nie mam czasu na kłótnie

- dodał.

Wóz policyjny i brygada saperów znajdowali się pod budynkiem. Tony poszedł porozmawiać z dowodzącym sierżantem.

- To bomba w liście, leży w środku na kontuarze

- powiedział. - Miałem bardzo podobny przypadek w Nairobi, ale nie mogłem przekonać nikogo, żeby mnie posłuchali. Wybuch zabił dwóch zagranicznych pracowników.

- Dobrze, sprawdzimy to, ale jeśli się mylisz, będziesz miał poważne kłopoty - odparł sierżant z westchnieniem.

- Nie myślę się - powiedział Tony i pokazał swoje dokumenty. Sierżant nie odezwał się już słowem, tylko ruszył do pracy.

Pracownicy biblioteki z Millie na czele oraz czytelnicy byli sceptyczni. Wszyscy jednak stali cierpliwie na zimnie, podczas gdy saperzy niepewnie weszli do budynku w poszukiwaniu brązowej koperty, którą opisał Tony.

Sierżant wyszedł z ponurą miną.

- Nie jestem zupełnie przekonany - powiedział do Tony'ego, ale postąpimy zgodnie z procedurami. Wygląda to podejrzanie.

Po kopertę wysłano do budynku robota z chwytym ramieniem. Cała ta operacja trwała dość długo i zebrało się wielu gapiów. Przyjechały dwie dodatkowe jednostki policji, żeby pomóc w kontroli nad tłumem. Pojawiła się też ekipa z lokalnej telewizji z kamerą. Ludzie robili zdjęcia telefonami, niektórzy się śmiali. Jeden z czytelników zrzędził, że dostanie grypy tylko dlatego, że policja traci czas na bombę, która okaże się paczką ze zdjęciami albo czymś równie głupim.

Podczas tego gadania robot dotarł do specjalnego pojemnika, w którym saperzy trzymają podejrzane paczki. Chwilę później nastąpiła olbrzymia eksplozja, która przewróciła robota na plecy, a gapie zaczęli uciekać z krzykiem. Tony spojrzał na sierżanta, jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

Odwrócił się do Millie. Była blada, mdliło ją.

Gdyby Tony się nie pojawił, gdyby otworzyła paczkę, myślała przerażona.

Złapał ją, kiedy osuwała się na chodnik.

Gdy wróciła jej świadomość, leżała na tylnym siedzeniu w aucie Tony'ego. Czują jak jedną ręką ją podtrzymuje a w drugiej ma jakąś puszkę z napojem, który próbuje jej wlać do ust.

- Wypij, dobrze ci to zrobi - powiedział cicho. Udało jej się przełknąć trochę musującego napoju.

Odkaszlnęła.

- Zemdlalam. Ja nigdy nie mdleję.

- Jeśli ktoś wysłałby mi bombę, też pewnie bym zemdlął - odpowiedział z uśmiechem. - Nic się nikomu nie stało.

Spojrzała na niego łagodnie.

- Dlaczego?

29

Jego uśmiech zgasł.

- Niektórzy mężczyźni zabierają do grobu to, co do nich należy. John nie mógł mieć ciebie. Chciał mieć pewność, że nikt inny też nie będzie cię miał. Zapłacił komuś dużo pieniędzy, żeby to zrobił i nieomal się udało. Teraz będziemy musieli utrzymać cię przy życiu, dopóki nie dowiemy się, kogo wynajął John.

Wyprostowała się i oddychała ciężko.

- Może nie będą już więcej próbować? Wiedzą, że policja jest teraz czujna.

- Policja nie ma budżetu, żeby cię ochraniać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zamachowiec wie o tym i na pewno spróbuje jeszcze raz.

- Przecież dostał już pieniądze - powiedziała z wahaniem.

- Nie sądzę. Raczej John ułożył wszystko tak, że morderca dostanie pieniądze po wykonaniu zlecenia i będzie mógł to udowodnić. Jeśli to szef gangu ma pieniądze, będzie traktował sprawę honorowo. Nie patrz tak, oni też mają swój kodeks honorowy. Szczególnie wtedy, kiedy szef gangu był przyjacielem Johna i miał wobec niego jakieś zobowiązanie.

- Wiedziałaś, że to bomba, bez jej dotykania - przypomniała sobie. - Skąd?

- To nie była moja pierwsza bomba - odpowiedział. - Nie zajmuję się rozbieraniem, ale znam ludzi, którzy to robią. Dużo się nauczyłem, przyglądając się ich pracy, sporo też przeżyłem.

Millie zmarszczyła brwi.

- W armii? - zapytała.

- Pracuję dla rządu pomiędzy innymi zleceniami - powiedział. - Jestem niezależny i pracuję na kontrakty.

- Jako kto?

- Jestem profesjonalnym żołnierzem. Antyterrorystą.

Była bardzo spokojna. Spojrzała w jego ciemne oczy.

- Czy twoja przybrana matka wiedziała o tym? Pokręcił głową.

- Nie zaakceptowałyby tego.

- Rozumiem - odparła.

Zmrużył oczy, dostrzegając dystans malujący się na jej twarzy.

- Ty też tego nie aprobujesz, prawda?

Nie chciała tej rozmowy. Zatarła zziębnięte ramiona.

- Moja opinia i tak nie miałaby dla ciebie znaczenia. Zaczęła wysiadać z samochodu, ciągle niepewnie czując

się na nogach. Powstrzymał ją.

- Weź płaszcz i torebkę i chodź ze mną - powiedział. Mamy ze sobą do pogadania.

- Ale... - próbowała zaprotestować.

- Nie spieraj się ze mną, Millie - przerwał jej. - Jeśli tam zostaniesz, narazisz swoich współpracowników.

O tym nie pomyślała. Wyglądała na przerażoną.

- Ale ja muszę pracować! Mam rachunki do zapłacenia...!

- Możesz poprosić o urlop, prawda? - nalegał. - Z powodu kilku dni wolnego nie skończysz na ulicy.

To, co mówił, miało sens i Millie wiedziała, że Tony ma rację, bała się jednak, że jeśli poprosi o wolne, może stracić pracę. Pracowała w bibliotece całe swoje dorosłe życie, i uwielbiała się tym zajmować. Jej przełożona nadal nie otrząsnęła się z plotek o jej szalonym życiu, które rozsiewał John. Bóg jeden raczy wiedzieć, co powie, kiedy usłyszy o bombie.

- Możliwe, że stracę pracę po tym, jak moja szefowa się dowie, co tu dzisiaj zaszło. Do przyszłego poniedziałku nie ma jej w mieście.

- Chodź. Wejdę tam z tobą.



Eskortował ją z powrotem do budynku i nalegał, żeby być obecnym przy jej rozmowie z kierownikiem. Wyjaśnił sytuację rzeczowo, dodając tylko, że zapewne jej koledzy nie chcieliby się narażać na następny podobny wypadek. Na pewno nie mieliby nic przeciwko temu, by wzięła wolne do czasu, aż winowajca zostanie zaaresztowany.

- Oczywiście, że nie - odparł bez chwili wahania Barry Hinson. - Millie, damy sobie bez ciebie radę. Jestem pewien, że pani Anderson zgodziłaby się ze mną.

- Chyba nie mam innego wyjścia - westchnęła Millie. - Bardzo mi przykro.

- To nie twoja wina. Nikt z nas nigdy cię nie winił za to, co zrobił ten człowiek. Powinni go byli zamknąć - powiedział stanowczo Barry.

Millie zarumieniła się. Nie patrzyła na Tony'ego.

- Cóż, zbiorę swoje rzeczy i idę - powiedziała. - Wrócę w przyszłym tygodniu.

- Oczywiście - uśmiechnął się Barry, po czym spojrzał ostrożnie na Tony'ego. - Nie pozwoli pan, by coś złego jej się przytrafiło?

Był pewien, że ten mężczyzna pracuje dla policji.

- Nie - zapewnił go Tony. - Nie pozwolę.

To było miłe, ale Millie nie chciała czuć tego ciepła, które wywołały jego słowa. Zaryzykowała kiedyś swoje serce dla tego mężczyzny i została zdruzgotana jego zachowaniem. Gdyby tylko, pomyślała, można było odrzucić od siebie uczucia raz na zawsze. Rozmyślając tak, poszła po płaszczy i torebkę.

- I co teraz? - zapytała Millie, stając obok swojego małego, czarnego volkswagena na parkingu.

- Teraz pójdziemy gdzieś, porozmawiamy i podejmiemy decyzje.

- Na tej ulicy jest kawiarnia, gdzie zwykle jadam lunch - powiedziała Millie. Wymieniła nazwę.
  - Tam się spotkamy - odparł. Przytaknęła pokornie i wsiadła do samochodu.
- Dziesięć minut później jedli kanapki i popijali kawą. Przez zamieszanie z bombą był to późny lunch. Millie jadła i piła jak automat, nie czując smaku. Była rozstrojona myślą o tym, że John naprawdę chciał ją zabić.
- Przestań się zadręczać - powiedział Tony, sącząc kawę. - Nie pomoże ci to.
  - Nigdy nie myślałam, że John mógłby chcieć mnie zabić - odparła.
  - Bił cię - Tony przymrużył oczy. Millie zaniemówiła ze zdziwienia.
  - Skąd o tym wiesz? - zapytała.
  - Frank.

Millie przygryzła wargę.

- Pił - powiedziała. - Mówił, że to z mojej winy jego życie się rozpada. Bo nie chcę za niego wyjść. Próbowałam po raz dwudziesty chyba wytłumaczyć mu, że nie kocham go, ale on nie chciał słuchać. Stracił nad sobą panowanie i w następnej chwili uderzał moją głową o ścianę. Nawet wtedy, kiedy to się działo, nie potrafiłam w to uwierzyć. Krzyczałam i krzyczałam, aż mnie puścił, wtedy zamknęłam się w sypialni i zadzwoniłam na policję.
- Nie wniosłaś oskarżenia - powiedział cicho Tony.
- John był we łzach, zanim policja zdążyła przyjechać. Przysięgał, że to przez alkohol, że nie zdawał sobie sprawy, ile wypił. Mówił, że mnie kocha i nie wierzy, że zrobił coś takiego. Błagał mnie, żebym nie wniosła oskarżenia. - Potrząsnęła głową. - Powinnam była, ale było mi go żal. Miał

problemy psychiczne i nie chciał im sprostać, nie szukał pomocy. Myślałam, że ja mogę mu jakoś pomóc.

- Nie da się naprawić chorego umysłu - powiedział ciężko Tony. - Miał obsesję na twoim punkcie. Jego ton wskazywał, że nie rozumiał, dlaczego. Wiedziała, co Tony o niej myśli, ponieważ John mówił to jej niejednemu raz. Tony uważał, że jest najbardziej nudną kobietą na świecie i musiałyby się upić, żeby chcieć jej dotknąć. Patrząc na wyraz jego twarzy, Millie była pewna, że John nie kłamał. Była skromna, sztywna, nieciekawa. Z tym faktem pogodziła się już dawno.

Przysunęła kubek z kawą.

- Od tamtej nocy nie mogłam przekroczyć progu swojego mieszkania, żeby się nie natknąć na Johna. Mówił, że chce się upewnić, czy w moim życiu nie ma innego mężczyzny, i będzie mnie obserwował dzień i noc. Spędzał całe dni w bibliotece, wygadywał głupstwa, w końcu jego obsesja zaczęła mnie tak męczyć, że cierpiało na tym moja praca. Wreszcie doszłam do wniosku, że nie mam innego wyjścia i muszę wnieść wobec niego oskarżenie o nękanie.

Dotknęła dłonią swoich długich brązowych włosów, upiętych w beładny węzeł, opadający na szyję.

- To właśnie doprowadziło go do załamania. Obawiałam się tego, dlatego długo czekałam z podjęciem decyzji. Po tym, jak to się stało, przysięgał, że wyrówna rachunki. - Millie wyglądała na zmęczoną, pozbawioną życia. - Kiedy się dowiedziałam, że John nie żyje, było mi strasznie wstyd i żal, ale poczułam też ulgę. Uwolnił mnie od siebie.

- Przyszłaś jednak do domu pogrzebowego - zauważył Tony.

Przez jej twarz przebiegł skurcz. Jeszcze miała w oczach zagniewaną twarz Tony'ego.

- Tak, to poczucie winy kazało mi tam przyjść - ciągnęła.

- Musiałam go zobaczyć, ostatni raz. Pomyślałam, że winna mu jestem pożegnanie. Mimo wszystko.  
- A tam napotkałaś mnie - odparł. - Musisz mnie zrozumieć, Wałem tylko wersję Johna. A opowiadał mi bardzo dużo. Zostawił też list, w którym obwinia cię o swoją śmierć. W tamtym momencie nie miałem powodu, by mu nie wierzyć. Tak było do czasu, aż Frank powiedział mi prawdę.

Oczywiście, że uwierzył przyjacielowi, pomyślała. Nie przyszłoby mu do głowy, że Millie nie była dziką dziewczyną. Nie znał Millie. Nie chciał jej znać.

Bolało ją to.

- Przykro mi, że zareagowałem w ten sposób - powiedział stanowczo. - Nie wiedziałem.

Millie potrzęsła głową.

- Nikt nie wiedział. Latami byłam przez niego nękana, szantażowana i pomawiana, sprawił, że wszyscy myśleli, że to moja wina, że sama go do tego zachęcałam - jej spojrzenie było puste, niemal bez życia. - Był najbardziej odpychającym mężczyzną, jakiego znałam.

Tony zmarszczył brwi.

- Był przystojny - zauważył. Millie spojrzała na niego.

- Nie możesz zmusić ludzi do kochania - powiedziała.

- Nieważne, jak wyglądał. Był grubiański, brzydki w środku. A to wewnątrz naprawdę się liczy.

Nieważne, że miał atrakcyjną powierzchowność. Mówią, że diabeł jest piękny.

- Też racja.

Millie dokończyła kawę.

- Gdzie mam teraz iść?

- Do swojego mieszkania. Idę z tobą, muszę się zorientować, czego będę potrzebował do inwigilacji.

- Inwigilacji? - zmarszczyła brwi Millie. Tony przytaknął.

- Chcę mieć wszędzie kamery i mikrofony. Tylko tak można ci ocalić życie.

W tej właśnie chwili Millie po raz pierwszy uświadomiła sobie, w jak dramatycznej sytuacji się znalazła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mieszkanie Millie znajdowało się na trzecim piętrze budynku oddalonego o jakieś dziesięć przecznic od biblioteki. Niewielki balkon w letnich miesiącach był zastawiony różnymi kwitnącymi roślinami, teraz donice wyglądały smutno z martwymi resztkami jesiennych liści. Ostatnie tygodnie, jak widać, nie sprzyjały porządkowaniu.

Ściany mieszkania zastawiono regałami z książkami; Millie bardzo dużo czytała. Jej zainteresowania były bardzo szerokie, od historii, przez ogrodnictwo i języki obce aż po analizy prawdziwych zbrodni. Tony uśmiechnął się, widząc romanse. Po okładkach rozpoznał, że treść kilku z nich dotyczyła zawodowych żołnierzy. Aż do tej pory nie powiedział jej, czym się zajmował, a ona nie starała się odgadnąć. Najwyraźniej jednak miała żądną przygód naturę, którą trzymała w ryzach. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Zwrócił też uwagę, że lubiła pastelowe kolory. Wyposażenie mieszkania nie było drogie, mimo to prezentowało się dobrze. Widać było, że lokatorka, aczkolwiek dysponująca niewielkim budżetem, przejawia dobry gust.

Tony wtykał nos w każdy kąt i zakamarek mieszkania, robiąc notatki w niewielkim notesie. Dotyczyły one wejść, wyjść i możliwych dróg włamania. Kłopotliwym miejscem okazał się balkon. Człowiek z karabinem mógł swobodnie zajrzeć do wnętrza mieszkania przez rozsuwane szklane drzwi bez zasłon. W drzwiach były zwyczajne zamki, bez rygli. Mniej niż dwa metry dzieliły mieszkanie od windy i schodów, więc dostęp do niego nie nastęczał żadnych trudności. Budynek nie był objęty ochroną. Jadąc windą, Tony zauważył paru podejrzanych mężczyzn.

Schował ręce do kieszeni. Zrozumiał, że nie może się do niej przeprowadzić i czekać na atak, chociaż wcześniej wydawało mu się to całkiem dobrym pomysłem.

- To się nie uda - powiedział stanowczo.

Millie odwróciła się od szafy w przedpokoju, z której właśnie wyciągała płaszcz i sweter. Popatrzyła na Tony'ego bezmyślnie:

- Co? - zapytała.

- Twoje mieszkanie to śmiertelna pułapka - odparł bez emocji. - Łatwe wejście i wyjście, żadnych rygli, idealna linia strzału dla każdego snajpera. Dodaj do tego brak ochrony i kilku mętnych typków, mieszkających w tym budynku, a sytuacja stanie się absolutnie nie do opanowania. Nie możesz tu zostać.

- Ale tu właśnie mieszkam - powiedziała żałośnie. - Nie mogę się przeprowadzić tylko dlatego, że jakiś szaleniec chce mnie zabić. Poza tym, czy on nie będzie po prostu mnie śledził?

- Pewnie tak - musiał przyznać Tony.

- Więc co mam zrobić? Mieszkać w samochodzie i zmieniać co noc parkingi?

Tony się roześmiał. Nie przypuszczał, że Millie miała poczucie humoru.

- Przydałby ci się większy samochód - zgodził się.
  - Chyba mogłabym zrobić coś nielegalnego - myślała na głos - i dać się zaarrestować. W więzieniu byłabym bezpieczna.
  - Nie bardzo - odparł. - Gangi działają w każdym więzieniu w tym kraju, jak również i w innych krajach. Są jak korporacje, Millie. Są międzynarodowe.
  - Żartujesz - Millie osłupiała.
  - Taka jest prawda. Mają hierarchię nawet w więzieniu, oraz pewną dozę kontroli i swobody działania. Mogą zlecać zabójstwa wewnątrz i na zewnątrz.
- Millie usiadła ciężko na sofie.
- Zadzwońmy do biura szeryfa federalnego. Powiedzmy im, żeby mnie objęli programem ochrony świadków. - To się nie uda, o ile nie zeznasz przeciwko komuś naprawdę złemu. Przykro mi.
  - Auć! - jęknęła.
- Tony wzruszył ramionami.
- Musimy więc wynaleźć inne rozwiązanie. Zabiorę cię z sobą z powrotem do hotelu...
- Millie zarumieniła się i wstała.
- Nie zamierzam z tobą mieszkać.
  - W porządku. A kogo ze swoich współpracowników chciałabyś ustawić pierwszego na linii ognia? Ponieważ tylko taki możesz mieć wybór.
- Millie wyglądała na zmartwioną.
- Nie znam żadnego z moich współpracowników na tyle dobrze. A nawet gdybym znała, nie miałabym odwagi prosić ich, żeby poświęcili za mnie swoje życie.
- Przyglądał się jej z zaciekawieniem.
- Pracujesz tam od lat i nie znasz dobrze nikogo ze swoich współpracowników?
- Przygryzła dolną wargę.



- Nie pasuję do nich za dobrze. Żyję w trochę innym świecie, niż większość współczesnych ludzi.

- Nie rozumiem - powiedział Tony.

Millie się roześmiała. Jej śmiech zabrzmiał pusto.

- Chodzę do kościoła - zaczęła tłumaczyć - płacę na czas rachunki, przestrzegam prawa i chodzę spać z kurami, do tego sama. Nie pasuję do społeczeństwa, które nagradza lekkie obyczaje, a degraduje cnotę. Nie prowadzam się z ludźmi, którzy uważają, że oszukiwanie jest najlepszym sposobem na życie, a pieniądze niewiele dla mnie znaczą, poza tymi, za które mogę się utrzymać. Zarabianie pieniędzy zdaje się napędzać świat, niezależnie od tego, co robisz, by je zdobyć.

Tony poczuł się niezręcznie. Opisywała jego świat, do którego on całkiem nieźle pasował. Millie to zauważyła.

- Przepraszam - westchnęła. - Mówiłam, że nie jestem całkiem normalna.

- Przecież nic nie mówiłem - bronił się. Przyjrzała się jego oczom.

- Frank wspominał, że kobiety są dla ciebie dozwoloną przyjemnością oraz że im bardziej są bezczelne, tym bardziej ci się podobają.

Zacisnął zęby.

- I co w tym złego? - zapytał. - Jestem kawalerem i nie chcę się ustatkować.

Millie uniosła rękę.

- Nie chciałam cię urazić, tylko pokazać, że nasze poglądy na życie bardzo się od siebie różnią - wytłumaczyła się. - Dla mnie to żadna przyjemność przebywać całą noc w pokoju z mężczyzną, którego ledwie znam.

Tony mógłby z tym dyskutować, znali się w końcu wiele

lat, nawet jeśli niezbyt blisko. Ale nie nalegał. Uniósł brew i powiedział:

- Nie zaoferowałem ci spania w jednym łóżku. I nigdy tego nie zrobię. Nie jesteś w moim typie.

- Wydawało mi się, że sama przed chwilą to powiedziałam - odrzekła.

Tony wydał z siebie niski pomruk. Poczul się urażony. Rozejrzał się po mieszkaniu.

- Mam apartament - powiedział po chwili. - Będziesz miała własną sypialnię. We drzwiach jest zamek.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie, żeby ci był do czegoś potrzebny.

To miało ją obrazić. Millie zrozumiała. Od lat jednak chowała przed nim swoje uczucia, więc nie zareagowała. Wciąż myślała o chwilach grozy, które przeżyła w bibliotece. Kumpie Johna chcieliby widzieć ją martwą. Jedynie Tony stał pomiędzy nią, a domem pogrzebowym, a ona miałyby się spierać? Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów i odwróciła się od niego. Nie wiedziała, co ma zrobić.

- Nie mogę tu chyba zostać - powiedziała do siebie.

- Nie, nie możesz - odparł. - A miejscowa policja nie ma dostatecznego budżetu, żeby cię objąć ochroną. To może się ciągnąć tygodniami, Millie.

- Tygodniami? - wykrzyknęła przerażona. - Niemożliwe! Ta bomba...

- To mogła być tylko próba - przerwał. - Sprawdzian tego, jak szybko policja reaguje na telefon alarmowy.

- O tym nie pomyślałam - wyznała.

- A powinnaś. To nie jest jakiś drobny przestępca. Jest zawodowcem. Może nie najlepszym; ten materiał wybuchowy nie był szczególnie dobrze ukryty. Wie jednak, jak do ciebie trafić i przez to jest niebezpieczny. Powinniśmy

umieścić cię w miejscu, do którego nie ma łatwego dostępu, zwabić go i sprawić, żeby popełnił błąd. Wtedy go schwyjemy.

- W jaki sposób?

- Przeprowadzisz się do mnie - powiedział po prostu. - Poczekamy, aż wiadomość się rozniesie i zdamy się na rozwój wydarzeń.

- Poczekaj - zaczęła zmartwiona. - Ja nie mogę zbyt długo czekać. Mam przecież pracę, z której się utrzymuję.

- Żeby robić te rzeczy, musisz najpierw pozostać przy życiu - upomniał ją. - Zadzwoń do Franka. Jego znajomy w policji może nam pomóc.

- Może to najlepsze wyjście - zgodziła się. Chciałaby się cofnąć w czasie do okresu, kiedy nie знаła Tony'ego Danzetty. Tak długo ukrywała swoje uczucia do niego, że stało się to jej nawykiem. Teraz on chronił ją przed niebezpieczeństwem z powodów, których jeszcze nie ujawnił. Był szczery do bólu, przyznając, że nie pociąga go jako kobieta. Może to poczucie winy, zastanawiała się. Miała szansę poznać odpowiedź na to pytanie w nadchodzących dniach.

Apartament hotelowy był ogromny. Millie była zafascynowana, przyglądając się, jak niektórzy ludzie żyli. Wiedziała, ile kosztuje apartament w tym luksusowym hotelu i zastanawiała się, w jaki sposób praca Tony'ego dla rządu umożliwia mu pławienie się w takich luksusach. Może, myślała, to jego ojciec, przedsiębiorca budowlany, zostawił mu mnóstwo pieniędzy. Najwyraźniej był przyzwyczajony do tego, by korzystać z najlepszych rzeczy.

- Głodna? - zapytał, kiedy położył walizkę Millie w pokoju, który miał jej służyć za sypialnię.

- Szczerze mówiąc, tak - odparła. - Gdzie możemy zjeść jakąś sałatkę?

Wydął usta i uśmiechnął się.

- Jaką sałatkę? - zapytał.

- Na przykład sałatkę Cezar.

- To może zjemy do niej stek i pieczonego ziemniaka z masłem, szczypiorkiem i śmietaną?

Millie otworzyła szeroko oczy.

- Brzmi doskonale! - przyznała. - Do tego poproszę kawę.

Skinął głową. Podniósł słuchawkę telefonu i po chwili złożył zamówienie. Pewnie zadzwonił do służby hotelowej, pomyślała Millie. Zrobiło na niej wrażenie, że Tony mógł po prostu podnieść słuchawkę i zamówić jedzenie. Ona w ten sposób zamawiała tylko pizzę, do tego zawsze małą.

- Pół godziny - powiedział, odkładając słuchawkę.

- Nigdy nie miałam obsługi hotelowej - wyznała. - Raz pojechałam na konferencję do Dallas i mieszkałam w małym hotelu. Wtedy jednak jadałam w McDonalddie nieopodal.

Tony zaśmiał się cicho.

- Ja nie potrafiłbym żyć bez obsługi hotelowej - powiedział. - Pewnej nocy wróciłem z Iraku i o drugiej nad ranem zamówiłem wielki stek z sałatką, a na deser ogromną porcję lodów.

- O tej porze też przynoszą jedzenie? - zdziwiła się. Tony nie wspomniał o cenie, jaką musiał za to zapłacić,

gdyż obsługa hotelowa zwykle nie pracuje w takich godzinach. Poza tym znał się z managerem tego konkretnego hotelu.

- Tak, w Nowym Jorku - powiedział.

Millie usiadła w jednym z ogromnych foteli. Tony wyciągnął się na sofie.

- Pewnie wiele podróżowałaś? - spytała.

Tony zamknął oczy, podłożył sobie dłonie pod głowę i uśmiechnął się.

- Wiele - powiedział.

- Chciałabym odwiedzić Japonię - powiedziała marzycielsko. - Znam takie starsze małżeństwo, pochodzące z Osaki. Uwielbiam słuchać ich opowieści o ojczyźnie.

- Japonia jest piękna. - Tony obrócił się przodem do Millie i podłożył sobie poduszkę pod głowę. - Spędziłem kilka dni w Osace, pracując nad pewną sprawą. Pojechałem pociągiem Shinkansen do Kyoto. Jest tam samurajska forteca z potężnymi, drewnianymi bramami. Została wybudowana chyba w siedemnastym wieku. Mają tam słowicze podłogi...

- Co?

- Słowicze podłogi. Montowali pod podłogami gwoździe i kawałki metalu, które wydawały dźwięki, gdy ktoś po nich chodził. Przypominało to śpiew słowika, ale dzięki temu samuraje wiedzieli, kiedy zabójcy ninja zamierzali ich zaatakować. Ninja byli znani ze swoich umiejętności skradania się, ale słowicze podłogi nie dawały im szans.

- Super! - wykrzyknęła Millie.

Tony popatrzył na nią z nowym zainteresowaniem. Kiedy była podekscytowana, na jej twarzy pojawiał się rumieniec, a oczy błyszczały. Wyglądała olśniewająco.

- Bardzo dużo czytałem o Japonii - mówił dalej. - Ale takie drobne szczegóły rzadko można znaleźć w przewodnikach. Trzeba tam pojechać, żeby je poznać.

- Często oglądam dokumenty podróżnicze w telewizji - przyznała się Millie. - Najbardziej podobają mi się takie, w których zwyczajni ludzie trafiają do egzotycznych miejsc. Widziałam nawet, jak jeden facet mieszkał z Mongołami i jadł pieczonego szczura.

Tony się roześmiał.

- Miałem z nimi do czynienia - powiedział. - Że nie wspomnę o wężu i, jeden jedyny raz, starym, twardym kocie.

- O kocie? - zapytała przerażona. - Zjadłeś kota? Tony spojrzał na nią wilkiem.

- Posłuchaj, kiedy umierasz z głodu, nie możesz grymasić. Byliśmy w dżungli, ukrywaliśmy się przed powstańcami, a zjedliśmy już wszystkie węże i robaki, jakie były w okolicy!

- Ale kot! - zawodziła Millie. Tony się skrzywił.

- To był stary kot. Ledwie się trzymał na nogach, naprawdę. Zrobiliśmy z niego gulasz - jego twarz nagle się rozjaśniła. - Wszyscy wymiotowaliśmy, taki był paskudny w smaku.

- I dobrze! - wykrzyknęła wściekła. Tony przewrócił się na plecy.

- Cóż, w karcie była jeszcze tylko małpa, która rzucała w nas kokosami, a ja nie zamierzam jadać małp. Nawet jeśli rzeczywiście smakują jak kurczak.

Tony zamyślił się i po chwili się roześmiał.

- Co cię tak bawi? - zapytała Millie.

- Za każdym razem, kiedy ktoś spróbuje czegoś egzotycznego, mówi, że to smakuje jak kurczak.

Millie zrobiła dziwną minę.

- Jestem pewna, że kot smakował inaczej - odparła.

- Co do tego, masz całkowitą rację. Smakował jak... - Tony zatrzymał się w pół słowa. - Wolałbym zjeść pemikana, chociaż trudno o niego w innych zakątkach świata. Moja prababka go robiła.

Odwiedziliśmy ją kilka razy, kiedy mój ojczym pracował w Atlancie, a my mieszkaliśmy razem z nim.

Mieszkała w Północnej Karolinie,

niedaleko rezerwatu - przypominał sobie. - Była niesamowita. Umiała leczyć wszystkie choroby ziołami. Codziennie rano chodziła zbierać liście i korzenie. Żałuję, że nie przykładałem do tego większej wagi.

- Była Irokezką? - zapytała Millie, znając odpowiedź.

- Czystej krwi - dopowiedział Tony. - Tak jak ja. Moja matka wyszła za włoskiego przedsiębiorcę budowlanego. To im się nie spodobało. Był obcy. Wydziedziczyli ją, wszyscy poza moją prababką. Umarła, kiedy byłem dzieckiem. Od tamtej pory nie byłem na ziemiach moich przodków.

- To smutne. Wciąż masz tam rodzinę, prawda?

- Tak. Wuja i kuzynów. Wuj odezwał się do mnie kilka lat temu. Mówił, że powinienem wrócić i pojednać się z nimi.

- Ale nie wróciłeś.

- Mojej matce było ciężko. Kiedy trafiliśmy do przybranych rodziców, to było dla nas jak koniec świata. Szczególnie, kiedy nas rozdzielili - na jego twarzy pojawił się grymas bólu. - Zabiła się.

- Twoja siostra? - zapytała.

- Tak - spojrzał na nią. - Czy moja przybrana matka nic ci o tym nie mówiła?

Millie się zarumieniła. Ta kobieta opowiadała jej wiele o Tonym, ale nic osobistego. Nie chciała przyznać, że próbowała wyciągnąć od niej jak najwięcej wiadomości. Unikała jego wzroku.

- Musiało być ci ciężko po stracie siostry - powiedziała.

- Tak. - Tony wpatrzył się w sufit. - Zaszła w ciążę z jakimś chłopakiem, który starał się ją potem zmusić do aborcji. Ona nie chciała. Była bardzo religijna i uważała przerwanie ciąży za grzech. Tak mu powiedziała. On zaczął jej grozić, a siostra nie miała się do kogo zwrócić

- westchnął. - Nigdy by tego nie zrobiła, gdyby była przy zdrowych zmysłach. Samobójstwo też było dla niej grzechem. W końcu jednak wybrała to jedyne wyjście, jakie umiała znaleźć.

- Mam nadzieję, że skończył w więzieniu - powiedziała Millie półgłosem. - Mam na myśli tego chłopaka.

- Tak się stało - wydał z siebie niski pomruk. - A wkrótce potem zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Dziwne rzeczy przydarzają się złym ludziom.

Millie zastanowiła się, czy Tony maczał w tym palce, ale nie chciała pytać wprost. Ktoś zapukał do drzwi. Tony zerwał się na równe nogi.

- Jedzenie - zgadł, uśmiechając się.

Wyjrzał przez wizjer i zobaczył kelnera z wózkiem. Otworzył drzwi i wpuścił go do środka.

Lunch był pyszny. Millie po raz pierwszy jadła w ten sposób, z rozłożonymi na białym, lnianym obrusie półmiskami przykrytymi metalowymi pokrywkami. Smakowała swoją sałatkę z nieklamana przyjemnością, po czym wgryzła się w stek, rozpluwając się nad jego delikatnością oraz przepyszny smakiem pieczonego ziemniaka. Kawa była równie wspaniała.

Przy całym jej zachwycie Tony poczuł pokorę. Wykwintne jedzenie i hotele były dla niego czymś zwyczajnym. Dawno przestało to robić na nim wrażenie. Millie żyła jednak skromnie. Tony'emu przyszło do głowy, że nie tylko nigdy nie była gościem luksusowego hotelu, ale nawet nigdy nie była w eleganckiej recepcji. Wyobraził sobie, że zabierają na przejażdżkę swoim kabrioletem albo na rejs po Bahamach jachtem, potem wspólnie leżą na słońcu, opalają się... Zauważył, że Millie miała piękne ciało. Zastanowił się, jak by to było kochać się z nią na



piaszczystej, tropikalnej plaży. Potem nagle zbeształ się za te myśli. Millie nie należała do takich kobiet. Nigdy nie poszłaby do łóżka z facetem, który nie był jej mężem, niezależnie od uczuć pomiędzy nimi.

Przypomniawszy sobie to, co mówił Frank, że Millie była kiedyś w nim zakochana. Pamiętał jej ciche, nieśmiałe zachowanie w domu jego przybranej matki, kiedy była tam zapraszana, oraz jej radość, kiedy wpadała do biblioteki, żeby się spotkać z nią i swoją matką. Tony uznał, że musiał być wtedy ślepy. Czy to z jego powodu intrower-tyczna kobieta siedząca po drugiej stronie stołu tak jaśniała? Millie przestała jeść i przyglądała się Tony'emu, próbując zrozumieć, dlaczego patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem.

- Czy zrobiłam coś nie tak? - zapytała, spoglądając na bogatą zastawę. - Nie jestem przyzwyczajona do takiego luksusu...

- To tylko lunch, Millie - przerwał jej. - Nie przyglądałem się, jak jesz. Myślałem o czymś...

- Och - nadal była niespokojna, nie przekonał jej. Tony upił kawy.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, co się działo między tobą a Johnem dwa lata temu, kiedy wróciłem do domu?

Millie serce zabiło szybciej.

- Wiedziałam, że mi nie uwierzysz. Nigdy mnie nie lubiłeś.

- Nie znałem cię.

- I nie chciałeś znać - zaśmiała się gorzko. - Byłam niewidzialną kobietą, która przychodziła do twojej przybranej matki. Czasami mnie zapraszała, ponieważ wiedziała, że moje życie jest puste. Ty nigdy nawet nie zauważyłeś, że jestem w pobliżu. Starczyło ci czasu, żeby powiedzieć

parę słów, po czym pędziłeś spotkać się z jakąś gorącą panną, którą wynalazł dla ciebie Frank w barze, gdzie akurat był bramkarzem.

Jej słowa sprawiły, że Tony poczuł się nieswojo.

- Nie chciałem się angażować - powiedział po dłuższej pauzie. - Z tymi dziewczynami można się zabawić, ale nie planuje się z nimi przyszłości.

Czy chciał przez to powiedzieć, że są to dziewczyny na jedną noc, zastanawiała się Millie. Poczula się tym zażenowana. Po raz kolejny uświadomiła sobie różnice dzielące ich światy. Wbiła widelec w pieczonego ziemniaka i zjadła kęs. Nie zrobiła tego dla smaku, chciała po prostu zająć czymś ręce.

- Dlaczego nie powiedziałaś Johnowi, żeby zajął się swoim życiem i dał ci spokój? - dopytywał się Tony.

- Próbowałam wiele razy. Doprowadzało go to tylko do wściekłości.

- Może by zrozumiał, gdybyś przestała mu wybaczać

- drażył temat Tony. - Szczególnie po tym, jak cię pobił. Żadna szanująca się kobieta nie zniosłaby podobnego traktowania ze strony mężczyzny.

Millie się zaczerwieniła. Odłożyła widelec i wbiła wzrok w siedzącego naprzeciwko niej Tony'ego.

- Łatwo to powiedzieć mężczyźnie - powiedziała niskim głosem, w którym pobrzmiwała złość. -

Ciebie nigdy nie pobił ktoś silniejszy od ciebie za to, że go nie kochałeś. Cała byłam posiniaczona i bałam się, że mnie zabije! Krzyczał na mnie i wyzywał, groził, że zbije mnie na śmierć, jeśli nie zgodzę się za niego wyjść. - Millie otoczyła rękami swoje ciało, jakby przeszył ją nagły chłód.

- Uwierzyłam mu. Byłam pewna, że mnie zabije. W końcu już tylko krzyczałam. Spodziewałam się śmierci. To cud, że udało mi się zamknąć w sypialni i zadzwonić po pomoc.

Dźwięk syren policyjnych był wtedy dla moich uszu najpiękniejszą muzyką.

Po tym ostatnim zdaniu Tony poczuł się jeszcze gorzej.

- Policjantka, która przyszła, spojrzała na Johna z wściekłością, a kiedy rzucił się w jej stronę, wymierzyła mu pistolet prosto w nos. Wiedziałam, że jeśli John zrobi choćby jeden krok więcej w jej stronę, ona strzeli. John też chyba to wiedział, bo zatrzymał się w miejscu. Usiadł na sofie i zaczął płakać. Powiedział, że to była moja wina, bo nie chciałam za niego wyjść.

- Pił?

- Tak, ale nie tyle, żeby stracić nad sobą panowanie -powiedziała gorzko. -Tak mówiła policjantka. Mówiła, że powinnam wnieść oskarżenie, ale John padł na kolana i zaczął mnie błagać o wybaczenie. Łkał. Poczulałam się zawstydzona i winna, i zgodziłam się na to, żeby go nie aresztowali. Nie zyskałam tym w oczach policji. Nie wiem, czy aresztowanie go znowu pomogłoby w czymkolwiek. W każdym razie nękał mnie dalej i rozsiewał kłamstwa. Był już wcześniej aresztowany, ale zawsze wychodził po kilku dniach i wszystko zaczynało się od nowa. Jakoś poradziłam sobie z tym biciem. Nigdy później nie poszłam do jego mieszkania ani nie wpuściłam go do swojego. Kiedy przychodził do biblioteki, trzymałam się blisko innych ludzi.

Tony poczuł się upokorzony.

- Frank mówił, że John opowiadał twoim przełożonym straszne rzeczy o tobie.

- Tak. I gościom - zamknęła oczy, wspominając to gorzkie doświadczenie. - Myślałam, że wyrzucą mnie z pracy na zawsze. Tak by było, gdyby Frank nie porozmawiał z kilkoma ludźmi. Okazał się w tym wszystkim najlepszym przyjacielem. Nie mam pojęcia, co bym bez niego poczęła.

- On czuje do ciebie miętę - powiedział Tony z rozmysłem. - Ale myśli, że nie dałabyś mu szansy, bo ma słabą pracę.

- Praca kie miałaby znaczenia, gdybym czuła do niego to samo. Chciałabym, żeby to było możliwe - powiedziała cicho. - Ale nie potrafię.

To wyznanie poprawiło Tony'emu nastrój. Nie musiał wiedzieć, dlaczego. Dokończył kawę.

- Masz ochotę na deser? - zapytał. Roześmiała się.

- Musiałabym go schować do kieszeni - powiedziała. - I tak za dużo zjadłam, więcej nie dam rady.

- Ja też. Dobrze dają tu jeść.

- Racja. - Millie dokończyła swoją kawę. - Czy nie powinniśmy im zwrócić tego wózka?

- Rany, nie! - odparł. - Sami po niego przyjdą. Zarumieniła się. Poczowała się jak idiotka.

Tony zauważył to i powiedział:

- Millie, ja nie zawsze byłem bogaty - powiedział łagodnie. - Też musiałem się nauczyć savoir-vivre'u. Wzruszyła ramionami.

- Ja jestem prostą dziewczyną ze wsi - powiedziała ze słabym uśmiechem. - Żyję skromnie. To - objęła apartament gestem ręki - jest dla mnie jak inna planeta.

- Uczucie się nowych rzeczy nie boli - powiedział, i zaśmiał się cicho. - Kiedy po raz pierwszy jedliśmy z Jaredem w pięciogwiazdkowej restauracji, musieliśmy pytać kelnera o sztuce i dania. Na szczęście był grzeczny. Mógł nas poniżyć, ale nie zrobił tego. Jared dał mu sto dolarów napiwku.

Millie zaniemówiła. To była niemal jej tygodniowa pensja.

- Wiem. Dla mnie to też było wtedy mnóstwo pieniędzy

- ciągnął Tony. - Byłem żołnierzem, a wcześniej zwykłym robotnikiem, pracującym na budowach.
  - Jak ci się udało zarobić tyle pieniędzy? - zapytała, szczerze zaciekawiona.
  - Wykonywałem prace dla rządów jako niezależna firma - powiedział po prostu. - Dla naszego rządu również. Jared i ja znaleźliśmy się trochę na walce z terroryzmem. On prowadził firmę ochroniarską, dla której pracowałem. W niektórych kręgach ceni się antyterrorystów. To szczególna praca. Bardzo dobrze opłacana.
  - Bierzesz udział w walce?
  - Jeśli trzeba. W strefie walki nie naucza się w klasie
  - powiedział z uśmiechem. - Szkoliliśmy małe oddziały w akcjach zbrojnych i taktykach podjazdowych, uczyliśmy jak rozpoznawać ajdiki i organizować miejscową milicję. Takie rzeczy.
  - A co to jest... ajdik?
  - Sama mogłabyś odpowiedzieć na to pytanie, bo jednego ci wysłano - zaśmiał się cicho. - To bomba domowej roboty.
- Uśmiech na jego twarzy zgasł, kiedy przypomniał sobie, jak niebezpieczne było jej pierwsze spotkanie ze światem terroru. To urządzenie, choć niezdarnie wykonane, mogło ją zabić w mgnieniu oka.
- Mówiłeś, że nie był najlepiej skonstruowany.
  - Nie był. Naprawdę dobre mogłyby uchodzić za mały list. To tchórzliwy sposób na pozbycie się kogoś.
- Millie westchnęła, wpatrując się w dywan.
- Nie mogę uwierzyć - powiedziała, kręcąc głową - że John był tak zdesperowany. Zabić kogoś tylko dlatego, że nie potrafi cię pokochać, to...
- Nie mogła znaleźć właściwego słowa.
- Szaleństwo - dopowiedział Tony przez zaciśnięte

zęby. - John miał problemy psychiczne. Nie rozumiem, jak to się stało, że ja i Frank nie dostrzeżliśmy tego wcześniej, a ty tak.

Poczuł się niezręcznie z jeszcze jednego powodu, ale nie zamierzał zdradzać jej tajemnic ze swojej przeszłości. Jeszcze nie teraz.

Millie zaśmiała się gorzko, patrząc na niego.

- To dlatego, że nie próbowałem was zmusić do ślubu. Tony odetchnął głęboko i spojrzął na zegarek.

- Muszę się spotkać z jednym facetem w sprawie roboty - powiedział. - A ty nigdzie się stąd nie ruszaj. Skinęła głową.

- Dzięki za lunch - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zostawił ją siedzącą na kanapie i poszedł na dół zobaczyć się z rządowym agentem z jego działu.

Wzdłuż meksykańskiej granicy nastąpiła seria porwań bogatych ludzi. Uznano, że umiejętności Tony'ego mogą się przydać. Zanim wysiadł z windy, przestał myśleć o Millie.

Pod jego nieobecność Millie postanowiła zwiedzić apartament, zaglądając z ciekawością do wszystkich pomieszczeń. W sypialni Tony'ego podniosła z podłogi koszulę, która została porzucona w pośpiechu, pewnie kiedy się przebierał tego ranka. Przyłożyła ją do twarzy i wchłonęła jej zapach. Uśmiechnęła się z zamkniętymi oczami. Ludzie mają rozmaite zapachy, każdy inny. Toniego rozpoznałaby natychmiast, bez spoglądania na niego. Pachniał świeżym powietrzem, ziołami i sosną. Uwielbiała to. Przypomniła sobie, jak się czuła, kiedy wynosił ją, protestującą, na rękach z biblioteki. Jego ramiona były ciepłe i silne, chciałaby w nich pozostać tak długo, żeby tego nie zapomnieć.

Odłożyła koszulę. Chwilę później zdała sobie sprawę, że tak spostrzegawczy mężczyzna jak Tony będzie wiedział, że jej dotykała. Rzuciła ją z powrotem na dywan i zamknęła za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Było już późno, kiedy Tony wrócił. Millie oglądała w telewizji film. Ubrana była w lekkie spodnie i żółtą bluzkę z dzianiny, leżała zwinięta na sofie z podkulonymi pod siebie bosymi stopami. Widząc ten obrazek, Tony się uśmiechnął. Przez chwilę pomyślał o małym kotku, miękkim i słodkim.

- Znalazłaś coś ciekawego do oglądania? - droczył się z nią.

Millie wzięła do ręki pilota.

- Film w zwykłej telewizji - powiedziała szybko, czerwieniejąc.

Spojrzał na nią bacznie.

- Możesz oglądać płatne filmy, jeśli chcesz - powiedział. - Posłuchaj, dzieciaku, trzy czy cztery dolary za film nie rozbije banku.

- Dzięki - odparła, rumieniąc się jeszcze bardziej.

Jej zażenowanie sprawiło, że poczuł się nieswojo. Był przyzwyczajony do kobiet, które zamawiały najdroższe dania w menu, które domagały się biletów na najdroższe koncerty, chciały biżuterii w prezencie. Ta była zdener-



wowana na samą myśl, że mógłby ją podejrzewać o oglądanie płatnego programu w telewizji. Poczul się dziwnie. Usiadła i założyła pantofle.

- Masz ochotę na jakieś przedstawienie czy koncert? - zapytał.

- Przedstawienie? - odpowiedziała mu pytaniem.

- Mają tu dobry teatr, wystawiają przedstawienia baletowe, dają koncerty. Pewnie będzie coś bożonarodzeniowego, mimo że to nie jest jeszcze sezon świąteczny.

Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła pójść, ale przypomniała sobie, że nie ma żadnej eleganckiej sukienki. Jej szafa była niemal pusta, jeśli nie liczyć kilku zestawów ubrań, które nadawały się do pracy. Nie miała nawet wieczorowych butów. Tony pewnie trzymał marynarkę albo nawet smoking w tym pokrowcu, który zauważyła na drzwiach od łazienki.

- Hm... raczej nie - powiedziała przeciągle. - Nie sądzę. Dzięki.

Nieświadom jej garderobianych kłopotów, Tony przyjął, że Millie po prostu nie dbała o kulturę wysoką.

- Grasz w karty? Potrząsnęła głową.

- Przykro mi.

Tony wzruszył ramionami i westchnął.

- To będzie długi tydzień - powiedział pod nosem. Przyjrzał się Millie z zaciekawieniem. - No dobrze

- dodał. - Kiedy jesteś w domu, co robisz wieczorami?

Wyglądała na skrepowaną tym pytaniem.

- Czytam książki, przede wszystkim, jeśli nie ma nic ciekawego na programie o historii wojskowości.

Oczy mu zaśniły.

- Lubisz historię wojskowości?

- Uwielbiam - odparła z uśmiechem.

- Z jakiego okresu?

- Z każdego - powiedziała. - Przeczytałam wszystko, co tylko mogłam znaleźć o Aleksandrze Wielkim, Juliuszu Cezarze, Napoleonie, dziewiętnastowiecznych bitwach pomiędzy kawalerią a Indianami, generałach drugiej wojny światowej. Jeszcze nie spotkałam bitwy, o której nie chciałabym poczytać.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Zrobiłem magisterkę z prawa karnego - powiedział. - Ale licencjat mam z historii. Mój ulubiony okres to druga wojna światowa, teatr europejski.

- Pamiętam - uśmiechnęła się Millie. - Twoja matka opowiadała mi, że rysowałeś jej przy kolacji plany bitew.

Tony zaśmiał się.

- Nie rozumiała ani słowa z tego, co jej opowiadałem, ale zawsze była cierpliwa i miła - uśmiech zgasł na jego twarzy. Spojrzał na swoje buty. - Przekonała mnie, że nie wszyscy przybrani rodzice są źli. Poznałem kilkoro, odkąd opuściliśmy rezerwat w Północnej Karolinie i przenieśliśmy się do Georgii. To doświadczenie zostawiło w nim swe blizny. Millie wiedziała o tym od jego przybranej matki, która bardzo nad tym bolała.

- Mówiłeś, że twoja matka umarła, kiedy byłeś mały. Spojrzał na nią pustymi, pozbawionymi życia oczami.

- To nie do końca prawda - powiedział. - Od lat o niej nie rozmawiałem. O nim też. Mam na myśli ojczyma.

Jego szerokie ramiona wzniosły się i opadły.

- Każdemu, kto pyta, opowiadam coś innego. Chyba całe życie uciekałem od prawdy.

Millie nic nie mówiła. Tylko słuchała, czekała. I miała nadzieję.

Tony zwrócił na to uwagę i uśmiechnął się.

- Mój prawdziwy ojciec był dalekim kuzynem mojej matki. Mieszkał w rezerwacie Irokezów w Północnej Karolinie, gdzie i ona dorastała. Tylko że on był żonaty. Zaszła w ciążę i nie miała pieniędzy na aborcję. Był też ten wielki, głośny włoski robotnik budowlany, pracujący niedaleko rezerwatu. Zaczęła z nim chodzić, i kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, on pomyślał, że dziecko jest jego. Urodziłem się sześć miesięcy po ślubie, całkiem normalny i można rzec - pełnowymiarowy. Wściekł się i znienawidził ją. Ale byli razem jeszcze przez trzy lata, w czasie których przyszła na świat moja siostra. W końcu wziął nogi za pas i zostawił ją samą.

- Musiało być wam ciężko. Była młoda?

- Matka miała dziewiętnaście lat, kiedy mnie urodziła. Moja siostra była półkrwi Irokezką, i matka nie umiała znieść ciągłej krytyki ze strony rodziny. Wynieśliśmy się z rezerwatu, kiedy miałem siedem lat, i pojechaliśmy autobusem do Atlanty. Nie wiedzieliśmy o tym, ale pracował tam jej mąż. Od rodziny się dowiedział, gdzie pojechała. I znów się do nas wprowadził. Matka może i znowu chciałaby uciec, ale on jej powiedział, że ma prawo zabrać dzieci, gdyby tak zrobiła. Została więc. Dlatego ja w związku z tym mam włoskie nazwisko, które nie ma nic wspólnego z moim pochodzeniem - zaśmiał się. Po chwili jego oczy zabłyśły. - Jestem dumny ze swojego pochodzenia. Irokezi są nadal dumnym ludem, niezależnie od piekła, przez jakie przeprowadził nas rząd, kiedy zmusił nas do marszu zimą do Oklahomy w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym.

- Słyszałam o tym - odparła. - To był tragiczny epizod.

- Jeden z wielu - zgodził się Tony.

Millie dostrzegła ból na jego twarzy. Opowiadał historię swojego ludu, starając się ominąć własną, zapomnieć. Ona

zaś chciała, żeby mówił jej o sobie, poradził sobie z własną przeszłością, jaka by ona nie była. Mogła być jedyną osobą, z którą naprawdę o tym porozmawia. Wiedziała, że może mu to pomóc.

- Twój rodzice nie byli szczęśliwym małżeństwem
- odpowiedziała.

Tony potrząsnął głową. Z nieobecnym wyrazem twarzy pocierał kciukiem paznokcie palca wskazującego.

- Mój tak zwany ojciec pił. Dużo. A kiedy był pijany, przypominał sobie, że nie jestem jego dzieckiem. Płaciłem za to. Co kilka miesięcy trafiałem na ostry dyżur, cały posiniaczony i poraniony. Raz ze złamaną ręką.

Millie skrzywiła się na myśl o tym, jak trudne musiało być dla niego takie złe traktowanie przez człowieka, którego uważał za ojca.

- Czy twoja matka nie robiła nic, żeby cię obronić?
- zapytała drżącym głosem.
- Nie mogła. Była tylko małą kobietą. On ją cały czas bił. Był wielkim facetem, bała się go śmiertelnie. Nie miała do kogo się zwrócić i on o tym wiedział. Cieszył się z tego

- Tony zacisnął szczęki. - Wtedy jednak zaczął robić różne rzeczy mojej siostrzyczce, która miała osiem lat. Matka przyłapała go na tym pewnej nocy. Była bardzo spokojna. Poszła do kuchni i wzięła największy ostry nóż, jaki znalazła, i schowała go za plecami. Uśmiechnięta wróciła do salonu. Powiedziała, że wszystko jest w porządku, i że nie będzie robić problemów. Ten łajdak myślał, że ona nic mu nie zrobi. Zagroził jej. Ona podeszła do niego krokiem lunatyczki i wbiła mu nóż po rękojeść w brzuch, aż ostrze sięgnęło serca. Nie spodziewał się tego. Uśmiechała się nadal, kiedy padł na podłogę.

Tony zamknął oczy.

- Nigdy nie widziałem tyle krwi - powiedział. - Matka

się nie ruszała. Stała nad nim, nadal trzymając nóż, gdy z niego uciekało życie. Nie przestała się uśmiechać nawet wtedy, gdy zabrali ją radiowozem.

Millie była przerażona. Nic dziwnego, że Tony nie chciał się ustatkować, nie pociągało go małżeństwo.

- Co się z nią później stało? - zapytała łagodnie. Tony wziął głęboki oddech.

- Trafiała na oddział zamknięty. Powiedzieli, że oszalała.

Millie poczuła ucisk w sercu.

- Tak było? - zapytała. Tony spojrzał jej w oczy.

- Nigdy nie byłem tego pewien, Millie - powiedział łagodnie, podczas gdy jego twarz wyrażała cierpienie. - Umarła na długo, zanim pojawiły się testy, które mogły poprzeć ich teorie.

Tony uniósł się nieco.

- Nasi pierwsi rodzice zastępczy mówili nam bardzo niewiele, ale wspomnieli, że psychiatrzy mówili o schizofrenii - wyjaśnił. - Podatność na nią jest dziedziczna, gdzieś to przeczytałem.

Nic dziwnego, że nie chciał opowiadać o swojej rodzinie. Dręczył go wstyd, może nawet strach.

Pewnie myślał, że sam oszaleje.

Millie wstała z sofy i przykucnęła przed nim, jedną dłonią trzymając go za potężne kolano.

- Czytałam o chorobach psychicznych. Niektóre procesy chorobowe mają podłoże genetyczne. Lecz to wcale nie oznacza, że ktoś w rodzinie musi zachorować na tę samą chorobę - powiedziała stanowczo. - Jesteś równie zdrowy psychicznie, jak ja. Gdybyś miał problemy psychiczne, wierz mi, że ujawniłyby się one wcześniej. Bardzo wcześniej. Zauważyłbyś to.

Spojrzał na nią.

- Tak uważasz? - zapytał.

- Wiem to. Czy kiedykolwiek torturowałeś zwierzęta dla zabawy? Palłeś ogniska w domu? Moczyłeś się w łóżku mając kilkanaście lat?

Roześmiał się.

- Żadne z powyższych.

- Nie jestem psychologiem - powiedziała. - Ale bardzo dużo czytam. Ludzie zdradzają objawy chorób psychicznych już w dzieciństwie. Ponieważ brałeś udział w programie rodzin zastępczych, jestem pewna, że twoi opiekunowie obserwowali cię bardzo dokładnie, zważywszy na chorobę twojej matki. Natychmiast posłaliby cię na terapię, gdyby myśleli, że możesz mieć problemy.

Tony zaśmiał się głucho.

- Od razu widać, że nie miałaś do czynienia z systemem - powiedział z westchnieniem. - Są ludzie, którzy zrobią wszystko dla dobra swoich przybranych dzieci. Kobieta, którą znałaś, ta, która przywiozła mnie do San Antonio i dzięki której skończyłem liceum, była na pewno jedną z najlepszych przybranych matek. Ale mieszkałem też w Atlancie z rodziną, która miała siedmioro przybranych dzieci. Pieniądzy, które przekazywał im stan, używali do hazardu. Co miesiąc jeździli do kasyna i przepuszczali wszystko w jednoręcznych bandytach, licząc, że się wzbogacą. W tym samym czasie dzieciaki chodziły do szkoły bez mundurków, jedzenia, opieki i wszystkiego im brakowało. Żaden opiekun społeczny nie postawił nogi w tym domu. Nikt się nie przejmował, że chodzimy do szkoły brudni. W końcu urzędnicy stanowi zmądrzeli, kiedy jeden z nauczycieli zaczął zadawać kłopotliwe pytania. Zabrano nas z tego domu. Ale widzisz, nie było już rodziny, która chciałaby się zająć nami obojgiem, mną i siostrą. Wtedy

nas rozdzielono, tuż przed tym, jak zostałem oddany pod opiekę mojej matce, która mnie adoptowała.

- Przykro mi - powiedziała Millie.

Tony uniósł jej dłonie do swoich ust i pocałował je.

- Zawsze miałaś miękkie serduszko - powiedział łagodnie, zaskakując ją. - Pamiętam, jak uwielbiałaś dzieciaki. W czasie wakacji opowiadałaś im historie w bibliotece, a one leciały do ciebie jak pszczoły do miodu - zaśmiał się cicho. - Uwielbiałem ci się przyglądać, kiedy opowiadałaś te historie.

Rozpalałaś się jak choinka na Boże Narodzenie.

- Kiedy mnie widziałeś z dziećmi? - zapytała zaskoczona Millie.

- Wiele razy - odparł, jeszcze bardziej ją zaskakując. Uśmiech na jego twarzy zbladł. - Wiele o tobie myślałem. Miałem niebezpieczne zajęcie i daleką drogę do ustatkowania się. Ale zawsze myślałem, że gdybym tego zapragnął, ty byłabyś wysoko na mojej liście.

Jego twarz stężała.

- Wtedy jednak John zaczął opowiadać mi niestworzone historie na twój temat, a ja go słuchałem - przyznał.

Millie chciała wstać, ale on ją przytrzymał za nadgarstki.

- Chciałbym to odwrócić - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy. - Ale nie mogę. Przepraszam za to, jak cię potraktowałem. Szczególnie w domu pogrzebowym.

Dotyk jego potężnych, ciepłych dłoni na jej nadgarstkach nie wywoływał w niej strachu. Był jak pieśczoła.

- Nie znałeś mnie - powiedziała.

- Nie chciałem cię poznać - skrzywił się. - Może nie stracę nad sobą panowania, jak moja matka. Mam jednak przeszłość, która nie ułatwi kobiecie życia ze mną. Jestem najemnikiem, Millie. - Przyglądał się jej twarzy. - Pracuję dla rządowej agencji, która posyła po mnie, kiedy nie ma już innego wyjścia. To niebezpieczna praca. Nie mogę

sobie pozwolić na myślenie o czymkolwiek innym, poza moim zadaniem. To dlatego nie spotykam się z miłymi dziewczynami. Takimi jak ty.

Wszystko zaczynało się układać. Dziewczyny, z którymi się spotykał dotychczas, nie spodziewały się szczęśliwego zakończenia. Tak samo jak Tony, żyły chwilą. On zaś lubił swoją pracę, nie myślał o tym, by ją rzucić. Dawał Millie do zrozumienia, żeby zostawiła go w spokoju. W miły sposób, myślała, ale przekaz był jasny.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Ostrzegasz mnie przed sobą - powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi nonszalancki ton. - Czy powinnam to odebrać jako komplement?

Tony puścił jej nadgarstki.

- Nie chcę cię skrzywdzić - powiedział poważnie. - A mógłbym. Nie jesteś zbyt światową dziewczyną. Millie wstała i wróciła na sofę.

- Chyba nie. Jestem bibliotekarką - powiedziała. - Praca w bibliotece to nie robota dla Indiany Jonesa.

- Nie. Ale jeśli czytasz historię wojskowości, jesteś przynajmniej kanapową poszukiwaczką przygód - droczył się z nią.

Uśmiechnęła się, ukrywając smutek.

- A ty, co lubisz czytać?

- Klasykę - odparł. - Ale nie zapominam też o historii wojskowości.

- Masz jakieś hobby? - zapytała, zafascynowana tym, czego się o nim dowiadywała.

- Lubię gotować. Potrafię ugotować niemal wszystko. Umiem nawet robić wypieki z ciasta francuskiego.

Zaśmiała się.

- Ja też - odparła. Tony wyduł usta.



- Szkoda, że nie mamy tu kuchni.

- Prawda?

Tony wstał i przeciągnął się, potężne mięśnie zagrały na jego torsie i ramionach.

- To był długi dzień - przyznał. - Zwykle późno kładę się spać, ale dzisiaj jestem trochę zmęczony.

Jeśli chcesz, możesz sobie obejrzeć następny film. Nie będzie mi to przeszkadzało.

Przytaknęła, ale nie wyglądała na zadowoloną.

- Co jest? - zapytał. Skrzywiła się.

- Byłam taka zdenerwowana, że zapomniałam o piżamie.

- Żaden problem - odparł.

Poszedł do sypialni, przerzucił trochę rzeczy w swojej walizce i wrócił z nieskazitelnie białym podkoszulkiem.

- Cała się w nim zmieścisz - roześmiał się. - Dla ciebie to jak koszula nocna.

Spróbowała się nie zarumienić. Naprawdę był ogromnym mężczyzną. Podkoszulek sięgnie jej do kolan, a mogłaby się nim owinać chyba ze trzy razy.

- Dzięki - powiedziała.

- Śpimy w jednej kwaterze. Musimy sobie pomagać - puścił do niej oko. - Śpij dobrze.

- Ty też.

Tony wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Millie wyłączyła telewizor i też wycofała się do swojej sypialni. Zgasła światło i leżała w ciemnościach, czując dotyk i zapach jego podkoszulka.

Szukała w myślach wymówki, która pozwoliłaby jej go zatrzymać.

Millie cieszyła się, że Tony opowiedział jej o swoim dzieciństwie. Teraz rozumiała go dużo lepiej.

Jego powody, żeby nie angażować się w związki z kobietami,

wydawały się zrozumiały. Zastanawiała się jednak, czy nie poczuł potrzeby towarzystwa, trwającego dłużej niż jedną noc. Mówił, że obserwował Millie czytającą dzieciakom i radoło go to wspomnienie. Poczula zalewającą ją falę ciepła na myśl o tym, że Tony jednak czuł coś do niej. Gdyby nie te kłamstwa Johny'ego, które wszystko zabiły.

Poczula ciężar na sercu. Miło było jej myśleć, że wzruszyła Tony'ego, ale on nie wspomniał, że ją kochał czy też chciałby spędzić z nią życie. Pomagał jej zapewne z poczucia winy, które odczuwał po tym, jak ją potraktował. To nie było preludium do życia w szczęśliwej wspólnocie. Traktował ją po prostu jak kolejną robotę. Ona była dla niego robotą. Oh! Co za los, powinna o tym pamiętać. Kiedy niebezpieczeństwo minie, ona wróci do swojej biblioteki, a Tony odejdzie, nie oglądając się wstecz. Zamknęła oczy i spróbowała zasnąć. Nastął prawie ranek, kiedy wreszcie jej się to udało.

Dwa dni minęły spokojnie, bez żadnego znaku od wynajętego zabójcy. Tony kontaktował się zarówno z Frankiem, jak i jego znajomym detektywem. Ulice milczały w sprawie tego zlecenia. Martwiło to Tony'ego. Był pewien, że zabójca wie, gdzie przebywa Millie i prawdopodobnie czeka po prostu na odpowiedni moment do ataku. To mogło się ciągnąć tygodniami. Millie zaś nie mogła bez końca z nim mieszkać, na Tony'ego czekało kolejne zlecenie za oceanem, a ona chciała wrócić do pracy.

Wyglądało na to, że nie było sposobu na wywabienie zabójcy z kryjówki.

Tony przyzwyczajał się do Millie. Coraz częściej przyłapywał się na tym, że ją obserwuje. Zauważył, że była na swój sposób bardzo ładna, miała delikatne rysy i łagodny

sposób bycia. No i ta jej uwodzicielska figura. Podniecało go to. Nie ubierała się prowokacyjnie, ale łatwo było dostrzec jej krągłe, zadarte do góry piersi z wyraźnymi sutkami, odznaczającymi się pomimo staników i bluzek z dzianiny, które nosiła. Coraz więcej czasu spędzał zastanawiając się, jak by to było je całować. Muskać językiem.

Z tego powodu chodził rozdrażniony. Był przyzwyczajony do bezpośrednich kobiet. Podobał się Millie, dostrzegał to wyraźnie. Frank przecież coś gadał wcześniej, że Millie była w nim zadurzona. Kusiła go myśl, żeby sprawdzić, jak daleko pozwoli mu się posunąć, nie był jednak pewien, czy sam umiałby się w porę zatrzymać. Od miesięcy nie przebywał z kobietą, a nie należał do mężczyzn, którzy dobrze znoszą abstynencję.

Millie zauważyła jego rosnące poirytowanie. Myślała, że przeszkadza mu wieść życie, do jakiego był przyzwyczajony. Było oczywiste, że nie mógł sobie pozwolić na schadzki z innymi kobietami, kiedy zajmował się jej ochroną. Czuła się winna. Wolałaby wrócić do domu, żeby Tony znów zaczął się do niej uśmiechać, nawet jeśli miałyby to oznaczać oddanie go w ręce jakiejś szybkiej uwodzicielki. Była pogodzona z faktem, że Tony nigdy jej nie zapragnie. Kilka razy mówił, że nie jest w jego typie. Następnego wieczora Tony chodził po apartamencie tam i z powrotem, aż Millie poczuła się na tyle nieswojo, że chciała iść do siebie.

- Nie uciekaj z mojego powodu - powiedział Tony oschle. - Nie jestem po prostu przyzwyczajony do takiej beczynośći.

- Nie, naprawdę jestem śpiąca - zapewniła go. - Dobrej nocy.

- Pewnie. Dobranoc - odparł z sarkazmem.

W sypialni Millie założyła jego podkoszulek i nie gasząc światła, wyciągnęła się na łóżku. Czuła się równie niespokojnie jak on. Czegoś jej brakowało. Pocałunków, pieszczot, dotyku mężczyzny. Tony nie dotykał jej od czasu, gdy trzymał ją za ręce podczas rozmowy o jego matce. Obserwował ją jednak pożądanym wzrokiem spod przymrużonych powiek. Może i była niewinna i niedoświadczona, ale która kobieta nie rozpozna żaru, trawiącego mężczyznę, kiedy na nią spogląda. W niej też płonął ogień i nie wiedziała, co ma z nim począć. Nigdy wcześniej nie ogarnęło jej równie przemożne uczucie. Przeciągnęła się znowu. Jęknęła z cicha na myśl o tym, jak słodko byłoby leżeć teraz w ramionach Tony'ego, pozwolić mu się całować, dopóki tęsknota za nim by nie zagasła.

Usłyszała dzwonek telefonu. Kilka minut później Tony zapukał do jej sypialni i otworzył drzwi, nie pytając, czy jest ubrana.

Zamarł w progu, wpijając wzrok w jej sterczące piersi i odkryte, długie, piękne nogi. Zacisnął szczęki.

- Rekin musi czuć to samo, zanim wbije zęby w swoją ofiarę - powiedział chropawym głosem i roześmiał się.

- Co takiego? - zapytała z zamierającym oddechem.

Tony zamknął drzwi za sobą, cisnął na kredens komórkę, którą trzymał w dłoni, i ruszył prosto w kierunku jej łóżka.

Millie nie zdążyła się zastanowić, co by należało zrobić, gdy poczuła ciepłe dłonie Tony'ego na swoich piersiach. Zaczął ją całować, jakby czekał na to od dawna i wreszcie spełniło się jego pragnienie. Połączenie rozgrzanych, pośpiesznych pocałunków i jego wielkich, ciepłych dłoni na jej wyprężonych piersiach stanowiło zbyt silne doświadczenie dla jej skrupułów. Wygięła się w łuk i jęknęła

z takim pożądaniami, że Tony bez chwili wahania wcisnął się między jej nogi i dał jej poczuć to, co już wiedziała: że jej pragnął.

To było dla niej jak spełnienie wszystkich erotycznych marzeń, jakie kiedykolwiek miała. Tony pachniał korzennymi przyprawami i mydłem. Jego długie, falujące, czarne włosy były teraz rozpuszczone, opadały mu na ramiona. Millie chwyciła je w dłonie i napawała się ich jedwabistym dotykiem. Spojrzała zamglonym wzrokiem na jego usta pieścące jej miękką skórę, na wargi otaczające jej drobną pierś. Był to tak podniecający widok i uczucie, że Millie wyprężyła się, by jeszcze mocniej poczuć na sobie jego usta. Zamknęła oczy, drżąc z napięcia, które narastało i narastało, aż miała wrażenie, że umrze z pragnienia.

Podkoszulek leżał gdzieś na podłodze, razem z dołem od jego piżamy. Obsypał ją pocałunkami, jej szyję, usta, piersi. Posunął się z doskonałym wyczuciem w dół, na jej płaski brzuch i zatrzymał się tam, podczas gdy jego dłonie pieściły brzegi jej majtek. Czuł, że Millie drży pod jego dotykiem, słyszał jej urywany oddech. Jeszcze kilka sekund, pomyślał, a Millie nie będzie w stanie go powstrzymać. Płonął, zapędził się tak daleko, że w głowie kręciło mu się od zapachu jej skóry pokrytej gradem jego pocałunków.

Millie poczuła jego dłoń pod swoimi majtkami. Kiedy jej dotknął, zamiast wznieść się jeszcze wyżej, ulec pożądanemu, Millie nagle zdała sobie sprawę, co to w istocie oznacza. On wyjedzie z miasta i wróci do pracy, zapominając, że cokolwiek się wydarzyło między nimi. Ona pozostanie sama ze zdruzgotanym marzeniem i być może dzieckiem, gdyż nie używała żadnych środków antykoncepcyjnych.

Lecz kiedy Millie odpychała od siebie jego ramiona,

Tony nie zdawał sobie sprawy, że próbuje go powstrzymać. Ściągał właśnie z niej majtki, i niewiele brakowało by...

- Nie! - wykrzyknęła. - Tony, nie mogę! Musisz przestać!

Tony uniósł głowę. Spojrzał na nią szklistym wzrokiem, oddychając ciężko. Jego muskularna, owłosiona pierś unosiła się przy każdym oddechu.

- Co? - wykrztusił.

- Nie... Nie mogę! - powtórzyła.

Jego oddech nie zwolnił, dłoń ciągle się poruszała.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- Nie biorę pigułek - wyrzuciła z siebie.

- Nie bierze pigułek - zamrugął, nic nie rozumiejąc.

- Mogę zająć w ciążę!

Wrócił chłodny rozsądek. Tony wziął kilka głębokich wdechów, aż zaczął się kontrolować. To tylko pogorszyło sytuację, gdyż nagle zdał sobie sprawę, że Millie widziała, jak stracił nad sobą panowanie. W oczach zabłysnął mu gniew, potępienie. Jednym ruchem odsunął się od niej i stanął obok łóżka. Wciągnął na siebie spodnie od pizamy i zwrócił się do niej, wciąż potępiając ją wzrokiem, podczas gdy ona próbowała się uspokoić i szukała podkoszulka, by się ubrać.

- To chyba przebiję wszystko! - mamrotał z wściekłością. - Najpierw kuszysz mnie spojrzeniem, przyjmujesz z otwartymi ramionami i odwzajemniasz. Potem, w ostatniej chwili, kiedy już tracę nad sobą panowanie, odskakujesz jak oparzona i każesz mi przestać, bo możesz zająć w ciążę! To po prostu doskonałe! Doskonałe!

- Nie wiedziałam... - próbowała się bronić.

- Ze wszystkich podłych sztuczek, jakie robicie wobec mężczyzn, ta jest najpaskudniejsza - powiedział tonem, który mógłby zamrozić piekło. - Próbowałaś się na mnie

odegrać, co? Źle cię potraktowałem na pogrzebie Johna, więc chciałaś wyrównać rachunki? Millie zarumieniła się i spuściła wzrok. Nie chciała płakać. Przygryzła dolną wargę, walcząc o odzyskanie nad sobą panowania.

- Wcale nie chciałam wyrównać rachunków - powiedziała.

- Pewnie, że nie! - odparł z pogardą.

- Nie miałam żadnego zabezpieczenia - protestowała drżącym głosem. - Ja nigdy... Nie chciałam... Nie wiem...

- Wiedziałaś to wszystko, kiedy tu wparowałem - powiedział chłodno. - Mogłaś wtedy powiedzieć: „nie”.

Miał rację, oczywiście. Powinna była to zrobić wcześniej. Ale też nigdy wcześniej nie była w ramionach Tony'ego, nie była przez niego całowana. Gotowa byłaby oddać życie za to doświadczenie. To było dla niej jak wizyta w raju, te kilka gorących minut, zanim odzyskała nad sobą panowanie. Nie umiała się bronić. On pewnie czuł ból. Millie zacisnęła zęby. Nie umiała znaleźć właściwych słów przeprosin.

Tony patrzył na Millie, schowaną pod narzutą po szyję, zakrywającą oczy, z twarzą białą jak płótno. Gdyby nie czuł tak silnego bólu, może byłby mniej brutalny wobec niej. Odwrócił się i wyszedł z pokoju, przeklinając pod nosem, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Jego komórka dzwoniła i dzwoniła. W końcu Tony zdał sobie sprawę, że zostawił ją na kredensie w pokoju Millie. Dziewczyna nie drgnęła, gdy sięgnął po telefon.

- Halo! - powiedział z wściekłością.

- Witaj, nieznajomy - dał się słyszeć mrużący, seksowny głos. - Frank mówi, że jesteś w mieście.

Może chciałbyś się trochę zabawić? Nudzę się dziś wieczorem.

- Nudzisz się? - głos Tony'ego zabrzmiał inaczej, na

niskich rejestrach. Był uwodzicielski, świadom przy tym, że stoi w drzwiach do pokoju Millie i że słyszy ona każde jego słowo. - Nie możemy na to pozwolić. Posłuchaj, kotku, może wpadniesz do mnie, wypijemy kilka drinków i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Doskonały pomysł! - zabrzmiał entuzjastycznie głos po drugiej stronie. - Skoro znam już nazwę hotelu i numer pokoju, zobaczymy się za jakieś... dziesięć minut?

- Za dziesięć minut, odpowiada mi. Akurat dość czasu, żeby wziąć prysznic i przebrać się w coś wygodnego. Do zobaczenia, skarbie.

Nie spojrzął za siebie. Mógł sobie wyobrazić wyraz twarzy Millie. Poczul się z tym dobrze. Ona sprawiła mu niemiłą niespodziankę, więc uczciwie było odpłacić jej podobnym. Poszedł prosto do swojego pokoju, zgarnął jakieś czyste ubranie i skierował się do łazienki. Wziął prysznic, ani przez chwilę nie żałując, że tak postąpił.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Millie słyszała bezwstydnego zaproszenie Tony'ego, skierowane do innej kobiety. Była to dla niej nieopisana udreka. Nie spojrzał nawet w jej stronę, kiedy ruszył do swojego pokoju. Może go przygnębiła, może się gniewał, ale to nie był dostateczny powód, by przyprowadzać tu jedną z tych łatwych kobiet i uwodzić ją tuż pod bokiem Millie.

Może go rozczarowała, ale nie była wycieraczką do butów. Nie zamierzała tu zostać i słuchać, jak baraszkuje z tą swoją przyjaciółką. Za nic!

Ze złością narzuciła na siebie ubranie i płaszcz, przełknęła łzy, chwyciła torebkę i zachowując ostrożność, wyszła z apartamentu. Ostatnią rzeczą, jaką słyszała, był odgłos prysznicza.

Tony miał na sobie spodnie i niebieską koszulę, która podkreślała jego ciemną karnację. Przywitał Angel z uśmiechem, i zaprosił ją do środka. Była ubrana w seksowne, obcisłe spodnie i koronkową bluzkę, a jej długie, czarne włosy były rozpuszczone. Spojrzała na niego figlarnie, wchodząc do apartamentu.

- Kopę lat - zaśmiała się. - Dobrze wyglądasz.

- Ty również - pochylił się i pocałował ją, nie namiętnie, lecz po przyjacielsku. Poszedł nalać drinki. - Co u ciebie słychać?

Opowiedziała mu. Udawał, że słucha, ale głowę zaprzętało mu to, co zdarzyło się w sypialni Millie. Teraz, kiedy emocje opadły, zdał sobie sprawę, że to nie Millie zaczęła. To on rzucił się na nią jak wygłodniały rekin. Ona, z jej oczywistym brakiem doświadczenia, nie umiała mu się oprzeć. Gdyby siedziała cicho, nie było najmniejszych szans, żeby zatrzymał się na czas. W tej chwili rozmawialiby pewnie o testach ciążowych i dzieciach. Zaczerwienił się ze wstydu na tę myśl.

- Coś nie tak? - zapytała Angel.

- Nie, nic - odparł szybko, uśmiechając się lekko.

- Widziałaś się ostatnio z Frankiem? Angel wypuściła głośno powietrze.

- Tony, przecież właśnie ci opowiadałam o Franku

- zwróciła mu uwagę. - W Dallas czeka na niego robota, którą chce przyjąć. Manager klubu oferuje mu awans na szefa ochrony wraz z przeszkoleniem. Dobrze płatna praca.

- Co ty powiesz? Nic mi o tym nie wspominał.

- Był w Dallas na rozmowie. Właśnie wrócił. Widziałam go w klubie, kiedy kończyłam zmianę. Jutro ci wszystko opowie - łyknęła drinka, odstawiła go i bezwstydnie usiadła na kolanach Tony'ego. - Nie mówmy o Franku. Czuję się samotna.

Przycisnęła swoje usta do jego z cichym westchnieniem.

Dawniej wystarczyłoby to, żeby rozpalić płomień, ale nie tego dnia. Tony przypomniał sobie wyraz twarzy Millie. Biedna dziewczyna siedziała w sypialni, słuchając jego i Angel, i pewnie wypłakiwała oczy nad jego nieczułością i brakiem skrupułów.

Odsunął się od Angel.

- Będziemy musieli się wstrzymać ze wszystkim poza drinkami i rozmową - powiedział łagodnie. - Jestem w robocie. Jest tu kobieta, którą chronię.

Skinął głową w kierunku sypialni.

- Śpi - dodał. - Ale w każdej chwili może się obudzić.

- To twoja dziewczyna?

- Jest bibliotekarką - odparł.

- Mój Boże, biedaku! - roześmiała się Angel. - Bibliotekarka! Komu udało się namówić cię na taką robotę? Tony poczuł się urażony jej nastawieniem do Millie.

- Wcale nie jest tak łatwo dostać pracę w bibliotece - powiedział mrużąc oczy. - Żeby tak pracować, moja przybrana matka skończyła studia, a i tak musiała potem okazać się lepsza od konkurencji.

Podobnie kobieta, którą chronię. Do tego potrzebne jest dobre wykształcenie.

- O, przepraszam - roześmiała się Angel. - Nie powinnam się nabijać z wykształconej dziewczyny, mając tylko maturę.

Tony poczuł się niezręcznie. Odsunął Angel i wstał.

- To tylko praca - powiedział.

Ona również wstała. Patrzyła na niego rozbawiona, podnosząc torebkę. Stanęła naprzeciwko niego.

- A ile ma lat ten mól książkowy, którym się opiekujesz? - zapytała.

- Nie wiem. Dwadzieścia kilka.

- Ładna?

- Ma dobre serce - odparł.

- Biedaku - westchnęła. Stanęła na palcach i pocałowała Tony'ego w policzek. - Chyba każdy w końcu napotka swoje Waterloo. Ona chyba jest twoim.

Zachichotała.

- Powodzenia - dodała.

Ta sama myśl zaczynała kiełkować również w jego głowie. Uśmiechnął się zmieszany.

- Dzięki - odparł. Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Dobrze się bawiłem.

- Ja też. Do zobaczenia.

Mrugnęła do niego porozumiewawczo i wyszła.

Tony wstał, patrząc na zamknięte drzwi z rękami w kieszeniach i duszą na ramieniu. Strasznie się wszystko skomplikowało, pomyślał. Przypuszczał, że Millie go za to znienawidzi.

Zatrzymał się przy drzwiach do jej sypialni. Chciał ją przeprosić, przyznać, że zaproszenie Angel było wstrętne, i powiedzieć, że tego żałuje. Było mu przykro, że przyparł ją do muru i sprawił, że czuła się winna, podczas gdy to wszystko było jego winą. Sam spowodował problem, a potem zrzucił odpowiedzialność na Millie. Wiedział, że te przeprosiny będą bolesne. Ze smutnym uśmiechem zapukał delikatnie do drzwi.

- Millie? - zawołał.

Nie było odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz. to samo. Może jest w łazience i nie słyszy, pomyślał.

Delikatnie otworzył drzwi i zajrzał do środka. Łóżko było puste. Brakowało też jej torebki i płaszcza.

Tony rzucił się do łazienki. Była pusta. Millie odeszła! Wyszła pewnie, kiedy brał prysznic i chełpił się przed samym sobą, że zaprosił Angel i pokaże Millie, jak mało o nią dba. A teraz ona była w niebezpieczeństwie. Jeśli zabójca miał na nią oko, zobaczy, że wychodzi z hotelu sama w ciemną noc. Będzie miał doskonałą okazję, żeby ją zabić. I Tony był za to odpowiedzialny.

Chwycił komórkę i wcisnął przycisk szybkiego wybierania. Miał nadzieję, że Frank nie wyłączył telefonu.

Na szczęście usłyszał w słuchawce sygnał oczekiwania na połączenie. Przy drugim sygnale Frank odebrał.

- Frank! - powiedział bez chwili wahania Tony. - Zadzwoń natychmiast do twojego znajomego detektywa i powiedz mu, że Millie jest w drodze do swojego mieszkania, sama. Ja muszę wydostać swój samochód z garażu, co zajmie trochę cennego czasu. Powiedz mu, żeby natychmiast posłał kogoś pod jej adres!

- Poszła sama do domu? - Frank nic z tego nie rozumiał. - Ale jak udało się jej zgubić ciebie? I dlaczego wyszła w środku nocy?

Tony zazgrzytał zębami.

- Później ci powiem - odparł. - Zrób, co możesz, żeby wysłać kogoś do jej mieszkania, dobra? Może jest całkiem bezpieczna, ale mam przeczucie... Nieważne. Dzięki.

Rozłączył się, zanim Frank miał okazję do zadania większej liczby krępujących pytań. W drodze na parking zbiegł po schodach, wyprzedzając windę. Z każdym krokiem modlił się, żeby nie było za późno. Ta kochana, delikatna kobieta nie miałaby szans, gdyby zabójca czaił się gdzieś w okolicy.

Tony przekroczył wszelkie ograniczenia prędkości i przejeżdżał na czerwonych światłach, żeby jak najszybciej dotrzeć do mieszkania Millie. Miał wiele szczęścia, że nie napotkał po drodze policji. Zaparkował na pierwszym miejscu, które było wolne, wysiadł i wbiegł do budynku. Nie zauważył, żeby podjeżdżał tu jakiś inny samochód ani żeby ktoś jeszcze wchodził do klatki. Może, pomyślał, może będzie miał szczęście.

Wbiegł po schodach na czwarte piętro i poszedł ostrożnie korytarzem. Zatrzymał się przed drzwiami do mieszkania Millie, rozglądając się na boki. Poczul ulgę widząc,

że w budynku panuje spokój. Odetchnął głęboko i już miał zapukać do drzwi, kiedy usłyszał głosy. Jeden z nich był męski.

O mało co, nie spróbował wyważyć drzwi w chwili paniki, ale zdał sobie sprawę, że był to najszybszy sposób, żeby doprowadzić do śmierci Millie, jeśli rzeczywiście rozmawiała z wynajętym zabójcą. Zdjął więc buty i otworzył zamek wytrychem z niezwykłą łatwością. Teraz dziękował Bogu, że nie założyła żadnego skobla. Wyciągnął pistolet z kabury pod pachą.

- Nie sądziłem, że będzie to takie łatwe - dał się słyszeć męski śmiech. - To tyle, jeśli chodzi o umiejętności twojego chłopaka.

- Mógłbyś mnie po prostu zastrzelić - powiedziała Millie zmęczonym głosem - a nie zagadywać mnie na śmierć.

- Masz charakter - odparł mężczyzna z niechętnym podziwem. Uniósł pistolet z tłumikiem domowej roboty przyklejonym do lufy. - Pozdrowienia od Johna.

- Nie, pozdrowienia ode mnie - mówiąc to, Tony miał już wycelowany w niego pistolet. Dłonie mu nie drżały, a głos miał chłodny i opanowany.

Zamachowiec odwrócił się zaskoczony i jeszcze raz uniósł broń. W tym momencie Tony nacisnął spust. Zabójca padł na podłogę i więcej się nie poruszył.

Tony odłożył pistolet, upewnił się, że zamachowiec już nie wstanie i przyklęknął przy Millie, która siedziała oniemiała na brzegu łóżka. Jej oczy były puste. Była w szoku. Spojrzała na Tony'ego niewidzącym wzrokiem.

Ktoś nerwowo zapukał do drzwi.

- Panno Evans? - zawołał głos pełen troski.

- Nie ruszaj się - powiedział łagodnie Tony. - Ja otworzę.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Stał za nimi policjant i detektyw, przyjaciel Franka.

- Usłyszeliśmy strzał, kiedy wysiedliśmy z windy. Czy panna Evans...? - zaczął mówić porucznik.

- Nic jej nie jest - odparł Tony. - Na swoje nieszczęście zabójca nie usłyszał, jak wchodzę do mieszkania.

Porucznik zauważył pistolet w kaburze. Tony sięgnął po swoje dokumenty, ale porucznik machnął ręką.

- Nie ma potrzeby - powiedział. - Tego popołudnia rozmawiałem przez telefon z twoim szefem. Gdzie denat?

- Tutaj. - Tony zaprowadził ich do sypialni Millie. Dziewczyna siedziała nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń.

- Jest trochę wstrząśnięta - wyjaśnił Tony pozostałym.

- Panno Evans, czy nie wolałaby pani pójść do salonu, podczas gdy my zajmiemy się wykonywaniem naszych obowiązków.

Millie spojrzała na niego bez zrozumienia. Porucznik się skrzywił.

Tony schylił się i podniósł Millie na ręce, trzymając ją nieco zbyt blisko swojej muskularnej piersi.

Zaniósł ją delikatnie do salonu. Musnął ustami jej czoło, kładąc ją na kanapie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział łagodnie. - Obiecuję.

Millie milczała. W krótkim czasie całe jej życie stanęło na głowie. Noc ze spełnionego snu przemieniła się w koszmar. Tony całował ją, potem był na nią wściekły i obrażał ją. Przyprowadził swoją przyjaciółkę, by ją poniżyć. A teraz jeszcze poznała Tony'ego, który zabija innego mężczyznę bez chwili wahania, Tony'ego o wzroku tak zimnym, że jego oczy wydawały się martwe. Spojrzała w dół

i zobaczyła małe kropki krwi na swoim płaszczu. To krew zabójcy, pomyślała. Zdjęła mechanicznie płaszcz, i rzuciła go szybko na podłogę. Zadrżała. Aż do tego dnia niewiele wiedziała

O prawdziwym charakterze pracy Tony'ego. Teraz zobaczyła, na czym polega jego skuteczność, jakim niebezpiecznym był człowiekiem. Jej oczy bezwiednie skierowały się w stronę postaci, leżącej na podłodze sypialni. Wokół niej rozprzestrzeniła się ciemna plama. Millie znów przeszedł dreszcz. Dotychczas widziała martwych ludzi jedynie w trumnach. To było przerażające. Zdała sobie sprawę, że na podłodze mogłoby leżeć teraz jej ciało, gdyby nie umiejętności Tony'ego.

Tony odetchnął cicho.

- Tak mi przykro - powiedział. Ściągnął z fotela wzorzysty koc i otulił nim Millie. - Nie chciałem, żeby to się tak skończyło.

Millie znów zadrżała. Nie odpowiedziała Tony'emu ani nawet na niego nie spojrzała.

Po mieszkaniu kręcili się różni ludzie. Ludzie z laboratorium kryminalnego w niebieskich butach, maskach i rękawiczkach zbierali ślady, odciski palców, dowody. Gdyby Millie nie była w szoku, pewnie bawiłoby ją oglądanie tego, co dotąd widziała tylko w telewizji.

Przez cały ten czas Tony stał obok detektywa, przyglądając się funkcjonariuszom oraz ich pracy i komentując ją. W pewnym momencie podszedł do Millie z formularzami

i zapytał, czy czuje się na siłach, by spisać, co się wydarzyło, kiedy przyszła do domu. Skinęła głową na pół przytomna, chwyciła długopis i zaczęła pisać. Tony napisał własne zeznanie, siedząc przy stole w drugim końcu pokoju, pokazując porucznikowi, że nie uzgadniał z Millie zeznań.



Minęły godziny. Wiele godzin. Policja i specjaliści od medycyny sądowej opuścili mieszkanie, zabierając ze sobą zwłoki.

- Nie możesz tu zostać - powiedział cicho do Millie Tony - Nie po tym, co się tu wydarzyło.

Ktoś zastukał do drzwi. Tony otworzył. Do mieszkania wszedł Frank.

- Właśnie skończyłem robotę - powiedział i zawahał się kiedy Millie rzuciła się w jego ramiona. Płakała, jakby musiała wylać z siebie wszystkie łzy tego świata. Przytuliła się do Franka, łkając bezładnie. Przytrzymał ją, poklepując delikatnie po plecach, podczas gdy Tony patrzył z udumą. Nie musiał pytać, dlaczego nagle poczuła potrzebę bliskości innego mężczyzny. Widziała, jak Tony zabija człowieka, i bała się go. Tony znieruchomiał, ogarnęła go desperacja. Chyba pierwszy raz poczuł się tak źle.

- Nie możesz tu zostać - powiedział łagodnie Frank. - Możesz zamieszkać z moją matką. Już z nią o tym rozmawiałem. .

- To takie... miłe z jej strony - powiedziała Millie zdławionym głosem, ocierając oczy wierzchem dłonią

- Lubi cię. Nie martw się o bagaże - dodał szybko, kiedy Millie spojrzała przerażona w kierunku zaklejonych taśmą drzwi do sypialni. - Pożycz ci ubranie. Chodź już.

- Dobrze - powiedziała, trzymając się rękawa Franka. Unikała wzroku Tony'ego.

- Dziękuję za uratowanie mi życia - powiedziała, jak dziecko recytujące formułkę, której nauczyli go rodzice.

- Bardzo proszę - odparł Tony chłodno. Był bardziej wstrząśnięty, niż dawał to po sobie poznać. Właśnie zabił człowieka. Nie był to pierwszy raz. Nigdy jednak nie spojrzał na siebie oczyma niewinnej istoty. Millie nie

umiała już nawet na niego spojrzeć. Poczł się, jakby część jego człowieczeństwa została utracona. Frank to dostrzegł.

- Zadzwońię do ciebie później - powiedział do przyjaciela.

Tony wziął głębokł oddech.

- Pewnie - odparł.

Frank wyprowadził Millie, zostawiając otwarte drzwi. Tony stał i patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Wrócił do hotelu, ale nie poszedł spać. Był wciąż na nogach, gdy nadszedł ranek, zaczął więc jeszcze trochę i zamówił śniadanie. Zadzwońił do Franka, kiedy przymierzał się do drugiego kubka czarnej, mocnej kawy.

- Jak się czuje? - zapytał przyjaciela.

- Nadal roztrzęsiona - odparł Frank. - Nie mogła przestać mówić o tym, z jaką łatwością ten mężczyzna dostał się do jej mieszkania. Nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza. Przypuszcza, że musiał ją obserwować i pójść za nią do domu.

- Sam bym na to stawiał.

Coś znajomego zabrzmiało w głosie Tony'ego.

- Nigdy tak naprawdę nie przyzwyczaileś się do tej cholernej pracy, co? - zapytał.

- Nie - westchnął Tony. - Choć w tej robocie inaczej się nie da. Ostatnimi czasy zajmowałem się raczej strategią, niż samą walką. Minęło sporo czasu, odkąd sam musiałem załatwić napastnika.

- Masz za wielkie serce i zbyt silne sumienie do takiej roboty - powiedział Frank stanowczo. -

Powinieneś pomyśleć o zmianie, zanim osiągniesz wiek emerytalny. Pomyśl, jak by to było żyć za rządowe pieniądze.

Zaśmiał się cicho. Tony również się roześmiał, ale nie było w tym śmiechu przekonania.

- Twój znajomy porucznik miał coś do dodania w sprawie ostatniego wieczora? - zapytał.
- W kwestii zabójcy? Znał tego faceta. Wykreślił się od dwóch oskarżeń o morderstwo w zeszłym roku. W jednej z tych spraw zastrzelił ciężarną kobietę, zabijając zarówno ją, jak i jej dziecko. Co ciekawe, dwaj świadkowie zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach na tydzień przed złożeniem zeznań. Słyszeli, jak mówił, że zrobiłby wszystko dla pieniędzy i że to żadna strata.
- Mimo to był człowiekiem - powiedział Tony bezbarwnym, cichym głosem. - Miał rodzinę, która go kochała, przynajmniej kiedy był mały. Miał matkę...
- Zrzucił ją ze schodów, kiedy miał osiem lat. Zginęła na miejscu. Cała historia była w jego aktach. Psychiatra doszedł do wniosku, że to był nieszczęśliwy wypadek, i że nie można oskarżać biednej sieroty.
- Żartujesz sobie ze mnie?
- Psychiatra został później oskarżony przez rodzinę ofiary.
- Nic dziwnego.
- Przestań zadrećcać swoje sumienie - poradził Frank.
- Chciałbym ci opowiedzieć o mojej nowej pracy.
- Pewnie w Dallas. Była u mnie Angel... - Tony ugryzł się w język. To nie powinno mu się wymknąć. Nastąpiła dłuższa pauza.
- A więc to dlatego Millie wróciła sama do domu, co?
- zapytał wreszcie Frank zmienionym głosem. - Poczekaj, sam zgadnę. Przystawiłeś się do Millie, ona nie chciała, zadzwoniłeś więc do Angel, żeby przysłała i cię utuliła, tak żeby Millie wszystko słyszała i zrozumiała, co straciła?
- Cholera! - wymamrotał Tony. Frank znał go do szpiku kości i wcale mu się to nie podobało.
- Ona jest dziewczicą, idioto! - upomniał go Frank.

- Taka kobieta nie wskoczy na jedną noc facetowi do łóżka. Ona wierzy, że to grzech.
  - Cóż, nie myślałem wtedy zbyt jasno - bronił się Tony.
  - Teraz już myślisz. Zawaliłeś sprawę. Ona nie zechce cię więcej widzieć.
- Tony poczuł, że wielki ciężar kładzie mu się na sercu.
- Przeczuwałem, że tak będzie - powiedział.
  - Któregoś dnia zakochasz się w kobiecie. Jako przyjaciel mam nadzieję, że ona nie potraktuje cię tak, jak ty potraktowałaś Millie.
  - Pewnie weźmiecie ślub, i będziecie żyli długo i szczęśliwie, co? - zapytał sarkastycznie Tony.
  - Chciałbym - westchnął Frank. - Jak myślisz, dlaczego przeprowadzam się do Dallas?
  - Z powodu Millie? Dlaczego nie próbowałaś czekoladek, kwiatów i nastrojowej muzyki? - odparł Tony, starając się nadać swojemu głosowi ton niefrasobliwości.
  - Próbowałem wszystkiego. Powiedziała mi kiedyś, że nie da się sprawić, żeby ludzie cię pokochali - powiedział gorzko. - Miała rację. Mam dość tych ciągłych porażek.
  - Nie będzie miała z kim rozmawiać - powiedział Tony cicho. - Ona nie należy do towarzyskich typów. Nigdy nie miała żadnej przyjaciółki, której mogłaby się zwierzać. Nie pozwala ludziom zbliżyć się do siebie.
  - Niewiele o niej wiesz, co? - zapytał Frank.
  - Nie, nie bardzo - odparł Tony po chwili wahania.
  - Jej ojciec był draniem. Pracował przy wieżach wiertniczych, a kiedy wracał do domu, pił. Matka Millie próbowała go zostawić, ale on zatrzymał Millie przy sobie. Groził, że ją pokaleczy, jeśli matka nie wróci. Millie zbyt się bała, żeby oponować. Całe jej dzieciństwo to był jeden długi horror, bała się komukolwiek zaufać. Poczula niemal ulgę, kiedy ojciec zmarł na zawał serca. Zyskały

z matką spokoj, ale było już za późno, żeby Millie zmieniła swój charakter. Nikomu już nie ufa. A szczególnie po tym, co zrobił jej John. To było dla niej jak powrót ojca.

- Nigdy mi tego nie mówiła - zawstydził się Tony.

- A dlaczego by miała to robić? Wiedziała przecież, że nie jesteś nią zainteresowany.

- Tak.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

- Co teraz zamierzasz robić? - zapytał Frank.

- Co? A, mam zlecenie po drugiej stronie granicy. Tajne przez poufne.

- Jak zwykle - zaśmiał się Frank. - Zostawię swój adres Angel, będziesz mógł wpaść do mnie do Dallas.

- Pewnie, że wpadnę. Na pewno nie wrócę do San Antonio, skoro ciebie tu nie będzie.

Obaj pominęli milczeniem fakt, że Millie wciąż tu mieszka.

- Możesz jej przekazać moje przeprosiny? - zapytał po chwili Tony. - Naprawdę jest mi przykro.

Próbowałem sam ją przeprosić zaraz po śmierci zamachowca, ale była w szoku i za bardzo się mnie bała, żeby posłuchać.

- Dziwi cię to? Większość ludzi boi się ciebie.

- Jeśli chodzi o większość, to wcale mi to nie przeszkadza - odparł Tony szorstko. - Ona wiele przeszła. Więcej niż powinna. Gdybym nie słuchał Johna, mógłbym przynajmniej część tego jej oszczędzić.

- Gdybyś.

- Właśnie. Czy twój porucznik uważa, że najgorsze już za nią?

- Tak. Jeden z informatorów powiedział, że szef gangu, który przechowywał pieniądze na wynajęcie zabójcy, zdecydował się kupić sobie nowy samochód. Nie będzie

nikogo więcej wynajmował. To dobra wiadomość dla Millie.

- Świetnie - Tony poczuł ulgę. Przynajmniej będzie bezpieczna od pośmiertnych zamachów Johna na jej życie.

- Możesz więc zająć się swoim życiem.

- Racja.

- Odzywaj się - powiedział Frank.

- Pewnie, że będę. Do zobaczenia, kolego.

- Trzymaj się.

Tony wpatrzył się pustym wzrokiem w japońskie malowidło na ścianie, przedstawiające kwiaty i ludzkie postacie. Było po wszystkim. On wróci do swoich zadań, Millie do pracy w bibliotece, Frank zajmie się nową robotą w Dallas. Nigdy więcej Tony i Frank nie wrócą do San Antonio. Cóż, myślał, matka Franka wciąż tu mieszka, więc Frank pewnie będzie ją odwiedzał. Tony był jednak pewien, że Frank nie odezwie się więcej do Millie. W każdym razie, próbował się upewnić, on sam nie był emocjonalnie przywiązany do Millie. To, co się stało, wynikało z potrzeby fizycznej i było spowodowane jego abstynencją oraz jej bliskością. Szybko się z tego otrząśnie.

Wstał i zaczął się pakować.

Po kilku dniach Millie wróciła do swojego mieszkania. Frank sprowadził tu ekipę sprzątającą z klubu, żeby dokładnie wszystko wyczyścili. Zapłacił im z własnej kieszeni, ale nie przyznał się do tego Millie.

Po opuszczeniu domu matki Franka Millie nadal przeżywała traumę. Nie mogła znieść myśli, że mieszka w miejscu, w którym zginął człowiek. Lecz kiedy weszła do środka, była zaskoczona.

Sypialnię przemeblowano, była też nieskazitelnie czysta. W oknach powieszono nowe

zasłony, na łóżku leżała nowa narzuta. Cała sypialnia wyglądała jak nowa.

- Nie trzeba było! - wykrzyknęła, uśmiechając się do Franka.

Frank wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Jesteśmy przyjaciółmi. Zrobiłem to przez wzgląd na dawne czasy. Niedługo już mnie tu nie będzie.

- Wiem - Millie wyglądała na zasmuconą. - Spodoba ci się Dallas. Moja matka stamtąd pochodziła.

Odwiedzałyśmy tam moją babkę, dopóki żyła.

- Tak, spodoba mi się - zgodził się Frank.

- To wszystko jest wspaniałe - powiedziała, rozglądając się wokoło. Dotknęła zasłon, pogładziła łóżko. - Tony uratował mi życie, a ja ledwie mu za to podziękowałam

- dodała cicho, patrząc niespokojnie na Franka. - Wiesz, on nawet nie zmrużył oka. Był opanowany do szpiku kości, nie musiał poprawiać strzału. Nigdy wcześniej nie widziałam zastrzelonego człowieka.

- Za pierwszym razem daje się to we znaki - odparł Frank, weteran wojenny.

Millie zwróciła głowę w jego stronę.

- Strzelałeś do ludzi - stwierdziła. Frank przytaknął.

- Byłem w Iraku na początku lat pięćdziesiątych

- przypomniał jej.

Millie udało się uśmiechnąć.

- To pewnie nie wygląda do końca tak, jak w telewizji i na filmach wojennych czy szpiegowskich, prawda? Ten zabójca nie miał metalowego tłumika, tylko takie coś z plastikowej butelki.

- Tłumiki domowej roboty też dają radę. Nie chciał przyciągać niczyjej uwagi.

- Pistolet Tony'ego huknął jak armata - przypomniała

sobie. - Kiedy stamtąd wychodziliśmy, korytarz był pełen ludzi. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak przebiega wizja lokalna. Chciałabym bardziej uważać, ale byłam za bardzo przestraszona.

- Tak jak Tony - odparł Frank. - Nawet płatny zabójca jest człowiekiem. Tony przechodził przez jakieś oczyszczające rytuały. Nie zbliży się do rezerwatu w Północnej Karolinie, ale ma krewnych ze swojego klanu w Oklahomie. Przyjaźni się z kilkorgiem z nich. Budują dla niego rytualną łaźnię i pomagają mu przetrwać te wyrzuty sumienia.

Millie była zafascynowana.

- Nigdy o tym nie słyszałam. Jego matka też chyba nie, bo nic mi o tych sprawach nie wspominała.

- Nie miała o tym pojęcia. Tony wolał jej nie mówić, na czym dokładnie polega jego praca. Mówił, że pracuje dla rządu, a ona myślała, że jest gryziپیórkiem.

- Chronił ją - domyśliła się.

- Tak trzeba.

Millie wróciła w milczeniu do salonu, patrząc na sofę, na której Tony posadził ją delikatnie po strzelaninie. On ją wspierał, opiekował się nią, a ona się od niego odwróciła. To musiało go boleć, szczególnie, że zabił człowieka, by ją obronić.

- Prosił, żebym ci przekazał jego przeprosiny. Millie spojrzała na niego.

- Nie ma powodu, żeby mnie przeproszać.

- Z powodu Angel - dopowiedział Frank. Millie się zarumieniła.

- Och. Migotliwa kobieta. Frank spojrzał nią zdziwiony.

- Co takiego? - zapytał. Millie westchnęła z rezygnacją.



- Zawsze przedstawiałeś mi różne dziewczyny, które pracowały w klubie - przypomniała mi ze smutnym uśmiechem. - To były kobiety w jego typie. Tak mi powiedział. Nie chciał się wiązać.
  - Któregoś dnia mógłby tego zapragnąć.
  - To nie moja sprawa - powiedziała cicho. - Przyprowadził ją do apartamentu, żeby mi pokazać, jak niewiele dla niego znaczyłam. Nie było to konieczne. Już to wiedziałam - spojrzała na Franka i zaśmiała się krótko. - Jestem bibliotekarką. Czy to nie mówi wszystkiego?
  - O ile dobrze pamiętam, dziewczyna w filmie o mumii też była bibliotekarką, a przy tym bohaterką z krwi i kości.
  - To nie ja - westchnęła Millie. - Dzięki za wszystko, Frank.  
Stała na palcach i pocałowała go w opalony policzek.
  - Będzie mi ciebie brakowało - dodała.
- Frank spojrzał na nią z bolesną tęsknotą, którą szybko pokrył uśmiechem.
- Mnie też będzie ciebie brakowało, dzieciaku - odparł.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tydzień za tygodniem szybko mijał. Święto Dziękczynienia minęło błyskawicznie i nagle było już prawie Boże Narodzenie. Millie wysiadła z autobusu na swoim przystanku i zatrzymała się przed wystawą sklepową. Wystawa była pięknie, staromodnie udekorowana. Leżał na niej sztuczny śnieg, stały drzewka i wyrastały góry, przez które pędziła kolejka elektryczna. Millie uwielbiała kolejki. Obiecała sobie, że któregoś dnia, kiedy będzie mogła sobie pozwolić na większe mieszkanie, kupi kolejkę i będzie ją rozstawiała w każde święta.

Było zimno. Millie owinęła się ciaśniej płaszczem. Płaszcz był nowy. Niespodziewany i duży wydatek, ale nie umiałaby nosić starego nawet pomimo wywabienia krwawych plamek. Oddała stary na cele dobroczynne.

Zastanawiała się, jak radzi sobie Frank. Przeprowadził się już do Dallas. Zadzwoił do niej i opowiedział, że koledzy są w porządku, a praca pewnie da mu dużo satysfakcji. Mimo to tęsknił za San Antonio. Dallas było wielkomiejską i kosmopolityczną metropolią o futurys-

tycznej architekturze. San Antonio zachowało swój historyczny powab. Było też mniejsze. Naprawdę jednak miał na myśli to, że tęsknił za Millie. Jej zaś było przykro, że nie może odwzajemnić jego uczucia z równą siłą. Pomimo wszystko, nawet po jego okrutnym zachowaniu, to Tony nadal zajmował szczególne miejsce w jej sercu.

T o n y . Millie owinęła się szczelniej płaszczem, idąc chodnikiem w kierunku swojego mieszkania. Wyobrażała go sobie w jakimś egzotycznym miejscu zabawiającego się wśród nowych migotliwych kobiet. Taki był nowoczesny model życia dla większości kobiet, zmienianie seksualnych partnerów jak rękawiczki bez zobowiązań i wyglądania we wspólną przyszłość. Filmy odzwierciedlały ten pęd, podobnie jak telewizja i książki. Millie żyła przeszłością, w której mężczyźni i kobiety nie współżyli przed ślubem, kiedy liczyła się rodzina, a dwoje zakochanych poznawało się najpierw jako odrębne istoty ludzkie na długo zanim poznawali nawzajem swoją fizyczność. W takim świecie żyła Millie. Pochłaniała książki, których romantyczni bohaterowie dzielili jej staromodne poglądy na życie i społeczeństwo. Co z tego, że to było tylko udawanie. Zmysłowość w rzeczywistych związkach była pusta jak biurowy kosz na śmieci w niedzielę. Pusta i smutna. Tak, jak życie Tony'ego. Pomimo wszystkich jego przygód, nigdy nie pozna radości trzymania w rękach swojego dziecka, czytania mu do snu, przyglądania się, jak się uczy i śmieje. Millie chciała mieć dziecko tak bardzo, że przyglądanie się dzieciom i ich rodzicom sprawiało jej niemal fizyczny ból. Tej radości mogła nigdy nie zaznać. Zastanawiała się, wracając myślami do nocy w hotelu, co by było, gdyby nie powstrzymała Tony'ego. Wybrała cnotę. Być może teraz

nosiłaby dziecko, które urodziłaby skrycie, tak by on nigdy się o tym nie dowiedział. Myśląc o tym czuła głęboki smutek. Mogłaby kochać to dziecko, nawet jeśli Tony nie pozwoliłby jej kochać siebie. Pozostała jej tylko praca. Na szczęście zawsze sprawiała jej przyjemność. Teraz często czytywała tam dzieciom. W Boże Narodzenie do biblioteki przychodziły dzieci z domu dziecka. Wolontariusze dawali dzieciom prezenty i czytali im bajki. To był nowy program, który biblioteka wdrażała.

Wszyscy mieli nadzieję, że okaże się on sukcesem. Millie też na to liczyła. Nosiała czerwoną czapkę Świętego Mikołaja, czerwoną suknię, i przez jeden wieczór mogła udawać, że jest matką. To był jedyny sposób, myślała rozgoryczona, w jaki mogła nią być.

Nowa inicjatywa biblioteki przyciągnęła uwagę miejscowej prasy. Któregoś dnia pojawił się reporter z gazety z aparatem i laptopem, by opisać te działania. Kilku innych ludzi pstrykało zdjęcia aparatami w telefonach komórkowych, i nagrywało wszystko na kamery, żeby opublikować materiał w Internecie. Millie promieniała, czytając „Najmniejszego Aniołka” z dwiema dziewczynkami na kolanach. To było jej ulubione opowiadanie, kiedy była dzieckiem. Patrząc na twarze dzieci, które jej słuchały, można by dojść do wniosku, że dzięki Millie stanie się również ich ulubionym opowiadaniem.

Nieświadoma była poruszenia przy drzwiach do sali. Potężny mężczyzna ubrany w garnitur oraz brązowy, kaszmirowy płaszcz stanął w drzwiach i zaczął ją obserwować. Widok Millie z tymi małymi dziewczynkami na kolanach upewnił go w przekonaniu, jakie żywił już od pewnego czasu - że byłaby doskonałą matką.

- Czy mogę tu chwilę zostać? - zapytał kobietę z identyfikatorem, która stała obok niego. Spojrzała w górę, w jego ogromne, czarne oczy błyszczące w opalonej twarzy. Czarne, falujące włosy miał spięte w kucyk. Uśmiechnęła się.
- Oczywiście - powiedziała. - Czy zna pan jedno z dzieci?
- Mężczyzna potrząsnął głową.
- Znam kobietę, która im czyta - poprawił. - Od dawna jesteśmy przyjaciółmi.
- Ma pan na myśli pannę Evans - uśmiechnęła się smutno. - Ostatnie miesiące nie były dla niej zbyt lekkie, szczególnie kiedy ten człowiek chciał ją zabić. Teraz ma się już znacznie lepiej.
- To prawda.
- Może pan podejść, jeśli ma pan ochotę - dodała.
- Zapraszamy wszystkich do udziału. Mamy nawet nadzieję, że dzieci stworzą tu więzy emocjonalne, które przyniosą im w przyszłości korzyść. Ofiarodawcy są zawsze mile widziani. Mogą też pojawić się możliwości adopcyjne.
- Mam nadzieję - powiedział, marszcząc brwi - że prześwieciliście tych mężczyzn.
- Skrzywiła się.
- Wiem, co ma pan na myśli - powiedziała łagodnie.
- Niestety, to nie byłoby możliwe. Są tu jednak dwaj funkcjonariusze po cywilnemu, więc jeśli ktoś ma nieczyste intencje, napotka niemiłą niespodziankę.
- Uśmiechnął się porozumiewawczo.
- Dobry plan!
- Roześmiała się. Ten mężczyzna był bardzo sympatyczny.
- Może pan podejdzie i porozmawia z panną Evans?

Przez ostatnie parę tygodni rzadko się uśmiechała. Kiedyś nawet widziałam, jak płacze w toalecie, zaraz po tym, jak wróciła do pracy. Po tej strzelaninie. Mówiła, że była zbyt zamknięta w^sobie i że zawiodła kogoś, kto był jej bliski - spojrzała na jego twarz. - Nie chodziło jej chyba o pana?

Mężczyzna westchnął głęboko.

- Zawiodłem ją - powiedział cicho. Kobieta poklepała go po potężnym ramieniu.

- W życiu chodzi głównie o odkupienie - powiedziała łagodnie. - Niech pan idzie i jej to wynagrodzi.

- Nie szuka pani przypadkiem męża? - zapytał, drocząc się z nią. Kobieta zaśmiała się radośnie. Mogła być matką Tony'ego. Jej białe włosy migotały w padającym z góry świetle.

- Zejdź mi z oczu, hultaju.

- Tak jest, proszę pani.

Podszedł do Millie dokładnie w chwili, w której skończyła czytać i pocałowała dziewczynki w policzek.

- Lećcie po ciastka i poncz - powiedziała do nich, stawiając je na własnych nogach. Dziewczynki roześmiały się i pocałowały Millie. Jedna z nich miała kruczoczarne włosy i oczy, druga była ruda. Trzymały się za ręce, biegnąc do stołu z przysmakami.

Millie uśmiechała się, patrząc za nimi, kiedy padł na nią cień. Spojrzała w górę, w twarz Tony'ego. Zaparło jej dech w piersi.

Tony przyklęknął przed nią.

- Tak - powiedział głębokim głosem, szukając jej wzroku za szklami okularów, które nosiła. Tego wieczora nie miała na oczach szkieł kontaktowych. - Też tak się właśnie czuję, kiedy cię widzę.

Zapiera mi dech w piersi. Naprawdę.

Nie miała czasu, by obmyślić odpowiedź, tak bardzo się ucieszyła z jego obecności.

- Nie spodziewałam się tu ciebie - powiedziała.
- Naprawdę? - jego ciemne oczy uśmiechnęły się.
- Trzymałem się z dala, żeby dać ci czas na dojście do siebie po tym, co zrobiłem.
- Uratowałeś mi życie - zaprotestowała. - A ja nawet ci za to nie podziękowałam.
- Dobrze wyglądasz z dziećmi na kolanach - powiedział cicho. - Tak naturalnie.
- Lubię dzieci - odparła.
- Ja też.

Millie przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Dlaczego przyjechałeś? - zapytała w końcu.
- Ponieważ ty tu jesteś, i jest Wigilia. Millie nie rozumiała.
- Ale jak mnie znalazłeś?
- Pracuję dla rządu - odpowiedział. - Wiem, jak znajdować ludzi.

Widząc wahanie na jej twarzy, dodał natychmiast.

- Zajmuję się głównie pracą urzędową - powiedział szybko Tony. - Nie używam już broni. Tej nocy...
- Jego twarz wyrażała cierpienie. - ...tej nocy nie miałem wyboru
- dokończył.

Millie położyła mu dłoń na ustach.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam, że przeze mnie czułeś się winny, że zrobiłeś to, co musiałeś. Gdybyś choć chwilę się zawahał, nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą.

Chwycił jej nadgarstek i pocałował ją gorąco w dłoń. Jego dotyk i pocałunek rozpały w jej wnętrzu ogień. Dostrzegł to, jego czarne oczy zalśniły. Przez długie sekundy patrzyli na siebie w milczeniu,

niebaczni rozbawionych spojrzeń i przytłumionych rozmów.

- Wyjdiesz ze mną na zewnątrz, do mojego samochodu? - zapytał, odkasznawszy.

- Chyba mogę.

Tony podniósł się. Poczekał chwilę, aż założyła płaszcz i porozmawiała z białowłosą damą, z którą flirtował. Starsza pani pokazała mu uniesione kciuki za plecami Millie. Tony się roześmiał.

- O co chodziło? - zapytała, kiedy wychodzili z biblioteki.

- Myślałem o tym, żeby mieć romans z tą panią, z którą właśnie rozmawiałeś - powiedział z bezczelnym uśmiechem. - Jest ostra.

- Masz na myśli panią Mims? - roześmiała się. - Pewnie, że jest. To przewodnicząca naszych „przyjaciół biblioteki”. Zanim przeszła na emeryturę, była reporterem śledczym.

- Nieźle! - Tony dostrzegł w oczach Millie coś, co go zaniepokoiło. - A czym się teraz zajmuje?

- Píše powieści detektywistyczne - odparła. - Bardzo poczytne.

- Powinienem z nią porozmawiać. Mógłbym jej sporo opowiedzieć - zmarszczył brwi. - Cóż, większość z tego jest tajna, ale mimo to mógłbym jej parę rzeczy podpowiedzieć.

- Byłaby zachwycona.

Tony otworzył drzwi wynajętego luksusowego samochodu i pomógł Millie zająć miejsce pasażera.

- Podróżujesz w wielkim stylu - mruknęła.

- Stać mnie na to. - Tony włączył górne światło i wyciągnął coś z kieszeni. - Dużo ostatnio myślałem o swoim życiu.



Spojrzał na nią, kładąc jedną rękę za oparciem jej siedzenia.

- Byłem sam i dobrze się bawiłem. Przeżywałem krótkie romanse i one też mnie bawiły. Ale jestem coraz starszy. Dość mam już życia w samotności.

Millie niemal przestała oddychać, siedząc jak w transie, wpatrując się w jego poważne, czarne oczy. Pochylił się ku niej i dotknął jej miękkich ust opuszkami palców, napawając się jej reakcją, tym że zamknęła oczy, a jej oddech przyspieszył.

- A niech to, reszta może chwilę poczekać. Chodź tu! Przyciągnął ją ku sobie, w swoje potężne ramiona

i zaczął całować tak gorąco, że Millie z trudem mogła oddychać. Zaczęła się nieomal rozplýwać w jego ramionach.

Tony czuł jej oddanie, przyspieszony oddech. Ramionami objął ją mocniej. Po chwili nastąpiła pomiędzy nimi pełna napięcia cisza.

Minutę później Tony zadrżał i znowu chwycił Millie za ramiona. Widziała, że narasta w nim podniecenie, patrzyła na niego z wyrazem nieopisanego tkliwego, starając się choć na moment poskromić w sobie narastający żar.

- Moja przybrana matka przypominała cię - odezwał się z trudem Tony. - Była staromodna i najeżona skrupułami, które we współczesnym świecie są przedmiotem drwin. Mnie to się jednak podoba.

Poszukał w kieszeni szarego aksamitnego pudełeczka od jubilera. Zaraz potem złożył puzderko w jej dłoniach.

- Otwórz - powiedział.

W pudełeczku znajdował się zestaw pierścionków. Był złoty pierścionek ze szmaragdem i brylantowymi akcentami, i złota obrączka ślubna wysadzana naprzemiennie szmaragdami i brylantami.

- Są piękne - wyszeptała. Może wszystko to jest snem, pomyślała. Była o tym niemal przekonana. Uszczypnęła się w ramię i aż podskoczyła.

- To nie sen - powiedział rozbawiony. - Ale rozumiem, dlaczego tak myślisz po tym, jak wszystko skomplikowałem w pokoju hotelowym.

Tony gwizdnął cicho na to wspomnienie.

- Naprawdę niewiele brakowało, dziewczyno. Gdybyś mnie nie powstrzymała, za nic bym nie przestał. Nigdy, przez całe moje życie, nie straciłem w ten sposób nad sobą panowania, nawet jako nastolatek.

Millie usłyszała tylko ostatnie zdanie.

- Naprawdę? - zapytała.

- Naprawdę. Cholernie mnie kręcisz.

- Ja? - zapytała zdziwiona. - Ale ja się na niczym nie znam.

Tony pokazał zęby w uśmiechu.

- Właśnie. To jest najbardziej podniecające.

Millie się zarumieniła. Tony roześmiał się, widząc rumieńce na jej policzkach. Pomyślał, jaka to rzadkość. Nie mógł przestać myśleć o tym, co stało się na hotelowym łóżku.

- Robiłem w życiu złe rzeczy - powiedział bardzo uroczyście. - Lubię myśleć, że robiłem je, służąc swojemu krajowi, by bronić naszego sposobu życia. To była ekscytująca praca, przynosiła też spore korzyści. Ale sporo z tych pieniędzy odłożyłem i pohamowałem swoją żądzę przygód.

Zawahał się. Niełatwo było mu dobrać właściwe słowa.

- Chcę przez to powiedzieć - zaczął jeszcze raz. - To znaczy, chcę cię poprosić...

- Wyjdę za ciebie, choćbyśmy mieli mieszkać w glinianej chacie na bagnach, z milionem komarów. - Przerwała mu.

- Millie!

Przyciągnął ją znowu do siebie i całował tak długo i gorąco, że szyby w oknach całkiem zaparowały. Dobrze się złożyło, bo kiedy ktoś zapukał do okna, woleliby nie być na widoku.

Odskoczyli od siebie i poprawili ubrania, starając się przybrać normalny wygląd.

Tony opuścił okno z wystudiowanym, chłodnym wyrazem twarzy, który nie za bardzo pasował do szminki na jego ustach i twarzy, rozpiętej białej koszuli i rozchełstanego krawata.

- Tak? - zapytał grzecznie. Białowłosa kobieta wybuchła śmiechem.

Tony zmarszczył brwi i spróbował doprowadzić się do ładu. Wiele lat później tę historię będą wielokrotnie opowiadać swoim dzieciom.

- Chciałam tylko powiedzieć - krztusiła się ze śmiechu starsza pani - że otwierają prezenty, i dziewczynki chciałyby, żeby Millie im w tym pomogła.

- Zaraz będziemy - powiedział wzburzony. - Po prostu wyciągaliśmy pierścionki z pudełek...

Starsza pani powiedziała pod nosem, że z tego, co widzi, powinni pierścionki założyć na palce i powiedzieć szybko słowa przysięgi. Pośmiała się jeszcze chwilę i odeszła.

Tony wsunął pierścionek zaręczynowy na palec Millie i pocałował ją raz jeszcze.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o zrobienie niespodzianki twoim kolegom - powiedział niezadowolony. - Wyobrażam sobie, że pani Mims opowie wszystkim, co widziała, zanim tam wrócimy.

- Wcale mi to nie przeszkadza - zaprotestowała nieśmiało Millie.

- Ani mnie - powiedział, wpatrując się w jej uśmiech. Potem znów zaczął ją całować. Udało się im jednak

jakoś wrócić do biblioteki, zanim wszystkie prezenty zostały otwarte. Wkoło panował rozgardiasz i dziecięcy śmiech, nie dla wszystkich dorosłych zrozumiały.

Spędzili Boże Narodzenie ze sobą, rozmowy o wspólnej przyszłości przeplatając pocałunkami. Tony zaproponował, żeby wzięli ślub kościelny, ale w końcu oboje zdecydowali, że może to poczekać do czasu, aż będą mieli więcej niż tylko jednego przyjaciela, którego będą mogli zaprosić. Na razie wystarczył im ślub cywilny, z urzędnikiem w roli świadka.

Gdy dojechali do mieszkania Millie, które znajdowało się bliżej, niż hotel Tony'ego, walczyli z ubraniami jeszcze zanim Tony zamknął drzwi. Nie udało im się nawet dotrzeć do sypialni. Millie przeżyła swoje pierwsze poważne intymne doświadczenie na wyłożonej dywanem podłodze swojego mieszkania. Po raz pierwszy poczuła, że dywan może być gorący, gdy leżeli na nim spleceni w miłosnym uścisku pod ciepłym światłem żyrandola.

- Rany! - wykrztusił Tony.

- O tak - szepnęła Millie z sercem bijącym tak mocno, że miała wrażenie, iż słyszą je sąsiedzi piętro niżej.

Tony przeciągnął się, śmiejąc się.

- A niech to! - mruknął. - Naprawdę starałem się dojść do sypialni...

- Wcale mi to nie przeszkadza - powiedziała, mrużąc z ukontentowania. - Na podłodze, w łazience, na stojąco ... Nawet nie marzyłam, że może to być takie niesamowite uczucie.

Tony obrócił się twarzą w jej stronę, by spojrzeć w roziskrzone, zielone oczy. Okulary, wraz z rozrzuconymi ubraniami, leżały obok nich.

- Na początku cię bolało - powiedział.
- Naprawdę? - zapytała zdziwiona. - Nawet nie zwróciłam uwagi.
- Skrzywiłaś się - mruknął, dotykając swoimi ustami jej nabrzmiąłych warg. Roześmiał się. - Wiedziałem jednak, jak temu zaradzić.

Millie zaczerwieniła się na wspomnienie tego, jak temu zaradził.

Jego usta muskały jej miękkie, ciepłe ciało.

- Ciągle drzę - powiedział. - Było tak jakbym połknął fajerwerki.
- Tak - odparła. Sięgnęła do góry i przyciągnęła go ku sobie, napawając się dotykiem jego muskularnego torsu na swoich nagich piersiach. Przeszedł ją dreszcz. Wygięła się w łuk i objęła go nogami.

- Może zabołec - szepnął.

- Może nie - odszepnęła, dotykając go nieśmiało, lecz odważnie.

Westchnął. Nie umiałby teraz zaprotestować.

- Warto było? Spytała po dłuższej chwili, kiedy już oprzytomniała, a on leżał obok niej, obejmując ją w talii.

Tony roześmiał się głośno.

- Tak, było warto - potwierdził. - Jesteś głodna? Uniosła brwi.

- Pewnie - odparła.

Tony poszedł do kuchni i zaczął przeglądać szafki i zawartość lodówki. Roześmiał się.

- Widzę, że włoska kuchnia nie jest ci obojętna.

- Uwielbiam ją. Ale ty nie jesteś Włochem.

- Nie bardzo. Mam tylko nazwisko po moim ojczymie. Chyba powinienem je zmienić. Ale ten łobuz, z którym zaszła w ciążę, nie pozwolił mojej matce używać

swojego nazwiska. Tego zresztą też nie chcę. Włoskie nazwisko nie jest takie złe. Wprowadza w błąd ludzi, którzy myślą, że znają moje pochodzenie. Lubię wprowadzać ludzi w błąd)\*

Millie wstała i podeszła do niego, obejmując go w pasie, przytulając policzek do ciepłego, silnego ciała.

- Bardzo cię kocham - wyszeptała. - Myślałam, że umrę z miłości.

On też ją objął. Przytulił jej twarz.

- Nie powiedziałem ci tego - szepnął. - Ale musisz wiedzieć, że czuję to w samej mojej duszy. Ostatnie tygodnie bez ciebie były dla mnie piekłem.

Pochylił się i pocałował ją w miękkie usta, jego oczy były pełne miłości.

Łzy wypełniły jej oczy i potoczyły się po policzkach. Tony trzymał i kołysał ją w ramionach.

Delektowali się przynależnością do siebie nawzajem.

- Jest już kilka dni za późno, ale właśnie przyszło mi do głowy, że nie dałem ci na Gwiazdkę żadnego prezentu

- powiedział nagle zaniepokojony.

- Dałeś, dałeś - nie zgodziła się. Spojrzała na niego jasnym wzrokiem. - Dostałam na Gwiazdkę ciebie.

Pocałowała go w podbródek i uśmiechnęła się.

- Jesteś najlepszym spóźnionym podarunkiem, jaki kiedykolwiek otrzymałam! Mój własny tajemniczy prezent

- przytuliła się do niego i dodała z diabelskim ognikiem w oku: - Mój własny agent CIA! Ale obiecuję, że nikomu o tym nie powiem.

Roześmiał się ze szczerego serca i przycisnął ją do siebie z westchnieniem.

- Ty też jesteś najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostałem, skarbie. Wesołych Świąt.

- Wesołych Świąt, kochanie - szepnęła. Zamknęła

oczy. Słyszała głębokie, spokojne bicie jego serca. Przypomniła sobie Wigilię i moment, w którym spojrzała mu w oczy, wspomniła to cudowne uczucie szczęścia, którego wtedy zaznała. Kolejne dni były jeszcze lepsze. To była najlepsza Gwiazdka w jej życiu. Swoje szczęście trzymała w ramionach.

**DIANA PALMER**

**Zimową nocą 02**

**W SERCU GÓR**

*Amanda Corrie Callaway szybko zyskała popularność jako wokalistka grupy rockowej. Gdy pewnego dnia na jej koncercie dochodzi do tragedii, Amanda przeżywa załamanie. Zaszywa się w górskiej chacie na odludziu. Wierzy, że tutaj odzyska spokój i równowagę. Niestety już pierwszego dnia popada w ostry konflikt z jedynym sąsiadem, Quinnem Suttonem. Postanawia trzymać się od niego z daleka. Jednak szalejąca burza śnieżna zmusza ją do schronienia się pod niegościnnym dachem Quinna...*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nieznany odgłos kolejny raz odbił się głuchym echem od drewnianych ścian górskiej chaty. Zaniepokojona Amanda uniosła się lekko w fotelu i szczelniej owinęła wokół ramion indiański koc. Książkę, którą czytała, siedząc przy otwartym palenisku, na wszelki wypadek odłożyła na bok. Do tej pory jej ustronie było istnym rajem na ziemi. W ostatnich dniach przybyło ponad metr śniegu, ale się tym nie przejmowała; w spiżarni miała dość zapasów, by spokojnie przetrwać kilkutygodniowy atak zimy, która w Wyoming potrafi dać się mocno we znaki. Musiała być zapobiegliwa, gdyż do chaty nie dochodziła linia telefoniczna. A co ważniejsze, wokół nie było żywej duszy.

No, niezupełnie. Nieopodal mieszkał pewien mężczyzna. Jego imponujące domostwo posadowione niemal na samym szczycie górowało nad jej chatą przycupniętą u podnóża. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zanuciłby na jego widok: „Jak dobrze mieć sąsiada...”, ale Amanda na szczęście nie utrzymywała z nim żadnych kontaktów. Widziała go tylko jeden jedyny raz i szybko uznała, że był to o jeden raz za dużo.

Spotkała go, o ile to „czołowe zderzenie” można w ogóle nazwać spotkaniem, w ubiegłą sobotę, gdy cały świat był biały od śniegu. Spostrzegła go na skraju ośnieżonej łąki, gdy stojąc w jednokonnym saniach, podawał widłami siano niewielkiemu stadu biało - czerwonych krów. Unosił spore bele tak lekko, jakby nic nie ważyły. Scenka ta

urzekła Amandę, gdyż postępowanie mężczyzny wzięła za przejaw odpowiedzialności i troski. Wysoki, silny ranczer nie zważa na śnieżną zadymkę i jedzie nakarmić głodne zwierzęta. Wzruszające, pomyślała, uśmiechając się do swoich myśli.

Zachęcona podjechała do niego terenowym samochodem i, wychyliwszy przez okno głowę, zapytała o drogę do chaty Duminga, tak bowiem nazywało się miejsce, które wynajęła od jednego z przyjaciół ciotki. Ledwie się odezwała, przyjazne uczucia, które obudził w niej nieznajomy, przysły niczym mydlana bańka.

Ranczer obrócił się wolno i spojrzał na nią tak nieprzyjaznym wzrokiem, że aż przeniknął ją chłód. Zaskoczona, przyjrzała się jego szczupłej twarzy pokrytej jednodniowym zarostem, który i tak nie był w stanie zamaskować uderzającej brzydoty nieregularnych rysów. Mężczyzna miał wystające kości policzkowe, szerokie czoło i sterczący podbródek, a do tego grubą szramę na twarzy, wyglądającą tak, jakby ktoś przejechał mu po policzku brzytwą. Na Amandzie ten ewidentny brak urody nie zrobił najmniejszego wrażenia; Hank Shoeman i pozostali trzej muzycy z jej zespołu byli bodaj jeszcze bardziej szpetni. Tyle że oni potrafili się uśmiechać, to zaś posępne indywiduum z pewnością wygrałoby ogólnokrajowy plebiscyt na największego ponuraka w historii.

- Pytam, czy może pan wskazać mi drogę do chaty Blalocka Durninga... - powtórzyła, czując narastające zniecierpliwienie.

Na ogorzałej twarzy ranczera nie drgnął żaden muskuł.

- Niech pani jedzie prosto tą drogą, a potem skęci w lewo obok masztów - rzekł w końcu sucho, głosem tak głębokim, że kojarzył się z pomrukiem nadciągającej burzy.

- Masztów? - powtórzyła zaskoczona. - Wigwamy? A jak one wygląają?

- Droga pani - powiedział z wymuszoną uprzejmością - maszty to te wysokie sosny. Są strzeliste, mają pnie pokryte brązową chropowatą korą i zielone igły. Te, o których mówię, rosą na rozstaju dróg.

- Nie musi pan być aż tak nieuprzejmy, panie...?

- Sutton - rzucił z przymusem. - Quinn Sutton.

- Miło pana poznać - zaryzykowała. - Jestem Amanda. - Zanim podała nazwisko, zastanowiła się, czy jest szansa, by tu, na tym odludziu, ktoś mógł ją rozpoznać. Mimo wszystko wolała nie ryzykować i na wszelki wypadek przedstawiła się, używając panińskiego nazwiska matki. - Amanda Corrie. Zamierzam spędzić w tej okolicy kilka tygodni - dodała.

- Sezon turystyczny już się skończył - burknął, nie siląc się na grzeczność.

- Całe szczęście! Nie jestem turystką.

- Pani sprawa. Ale proszę na mnie nie liczyć, kiedy zabraknie pani drewna albo zaniepokoją panią jakieś odgłosy. - W jego ciemnych oczach tliła się niechęć. - Zresztą i tak pewnie ktoś panią ostrzeże, że

kobiety nie mają ze mnie pożytku.

Zszokowana, szukała w myślach adekwatnej odpowiedzi, gdy zza sań wybiegł chłopiec, który na oko miał nie więcej niż dwanaście lat.

- Tato! - wołał podniecony. - Na drugim pastwisku cieli się krowa. Chyba będzie poród pośladkowy!

- W porządku, synu! Wskakuj! - odkrzyknął Sutton zaskakująco ciepłym, wręcz czułym głosem. Wystarczyło jednak, że zwrócił się w stronę Amandy, i po łagodności nie było śladu.

- Niech pani porządnie zamyka na noc drzwi - napomniął. - No, chyba że spodziewa się pani odwiedzin Durninga - dodał drwiąco.

W odpowiedzi spojrzała mu twardo w oczy. Chciała powiedzieć temu impertynentowi, że nawet nie zna człowieka, o którym mówi, bo to przyjaciel ciotki, ale dała sobie spokój. Uznała, że nie ma sensu wdawać się w niepotrzebne dyskusje.

- Dziękuję za cenną radę - odezwała się ugodowo. Spojrzała przy tym na chłopca, który przysłuchiwał się rozmowie. - Zdaje się, że jakiejś kobiecie jednak pan się na coś przydał - zauważyła z przekąsem. - Proszę złożyć żonie wyrazy najgłębszego współczucia. Zegnam, panie Sutton.

Nie czekając na jego reakcję, podniosła szybę i wciskając mocno gaz, ruszyła przed siebie. Koła zabuksowały w śniegu, wyrzucając w powietrze deszcz białych grudek, tył zatańczył na nierównej drodze, ale napęd na cztery koła zrobił swoje i samochód bezpiecznie wyszedł z

poślizgu.

Przypominała sobie to spotkanie, wpatrując się w strzelające wysoko pomarańczowe płomienie. Na myśl o arogancji Quinna Suttona burzyła się w niej krew, więc rozgniewana posłała go do wszystkich diabłów, życząc mu z całego serca, żeby smażył się w piekle. Oby nigdy więcej nie musiała mieć z nim do czynienia. Jeśli na swoje nieszczęście będzie potrzebowała czyjejś pomocy, prędzej zwróci się o nią do wygłodniałego wilka niż tego prostaka. Dobrze, że syn nie wrodził się w ojca, pomyślała, wspominając sympatycznego chłopca. W jego rudej czuprynie i błękitnych oczach nie dostrzegła śladu podobieństwa do ponurej powierzchowności rodzica. Swoją drogą ten cały Sutton kojarzył jej się właśnie z dzikim wilkiem. W jego sylwetce, mimice, ruchach było coś, co przywodziło na myśl niebezpieczną bestię. Może to twarz zeszpecona blizną albo oczy, czarne i zimne jak woda w górskim stawie. W znoszonym kozuchu i zgrabnym stetsonie wyglądał jak człowiek z gór, potomek pionierów, którzy przed wiekami osiedlili się w Wyoming. Nie przypominała sobie, by ktoś inny w tak krótkim czasie wzbudził w niej równie silną antypatię.

Nazwisko nieudanego sąsiada poznała już wcześniej, zanim raczył się przedstawić. Ciotka wspominała o nim, przestrzegając ją, by na wszelki wypadek trzymała się z dala od jego rancza, które nazywało się „Ricochet”. Słyszając tę dziwaczną nazwę, natychmiast pomyślała o zbłąkanej kuli. Widocznie któryś z jego przodków lubił razić ołowiem

naprawo i lewo. Prawdopodobnie ta cecha zdominowała rodzinne geny, gdyż współczesny pan Sutton wyglądem bardziej przypominał rzezimieszka niż ranczera. Niechlujny zarost, zorana blizną twarz, krzywy nos... Takiej twarzy nie sposób zapomnieć, zwłaszcza oczu czarnych jak dwa węgle...

Poprawiła koc i bez zainteresowania zerknęła na książkę. Nie miała ochoty czytać. Traumatyczne przeżycia ostatnich tygodni wciąż odbierały jej spokój. Póki co, nie potrafiła się od nich uwolnić. Oparła więc głowę o miękkie oparcie fotela i zapatrzona w taniec płomieni, pozwoliła, żeby powróciły koszmarne wspomnienia.

Stała na scenie w ostrym świetle reflektorów, które spływało po jej długich jasnych włosach i sukni z beżowej skóry; to był jej firmowy znak. I wtedy, całkiem niespodziewanie, straciła głos. Zszokowana, że nie jest w stanie zaśpiewać bodaj jednej nuty, zemdląła na oczach zdezorientowanej i przerażonej publiczności.

Natychmiast przewieziono ją do szpitala, gdzie przeszła wszystkie możliwe badania oraz kuracje. Bez skutku. Współczesna medycyna nie była w stanie przywrócić jej głosu. Amanda mogła wprawdzie mówić, ale nie mogła śpiewać. Lekarze orzekli w końcu, że jej przypadek ma podłoże psychologiczne i nie jest związany z żadną możliwą do zdiagnozowania chorobą. Winą za całe nieszczęście obarczyli długotrwały stres. I zalecili odpoczynek.

Wtedy Hank, lider grupy, zadzwonił do jej ciotki Bess i poprosił,

żeby znalazła dla Amandy jakieś spokojne miejsce. Okazało się, że bogaty narzeczony ciotki ma chatę w górach, w odludnym rejonie pasma Grand Tetons w Wyoming, i chętnie ją udostępni. Początkowo Amanda nie chciała słyszeć o żadnym wyjeździe, jednak pod presją Hanka, chłopaków z zespołu i ciotki w końcu uległa. I oto tu jest, w samym środku mroźnej zimy, bez telewizora, telefonu, w zasypanej śniegiem chacie wyposażonej tylko w podstawowe sprzęty. Żadnych wygód. Ucieczka od cywilizacji, jak to zgrabnie ujął zwalisty, brodaty Hank, pomoże jej odzyskać równowagę.

Uśmiechnęła się na wspomnienie chłopaków z zespołu, którzy w tych trudnych dniach troszczyli się o nią jak rodzeni bracia. Ich grupa nazywała się Desperado. Prócz Amandy, noszącej na scenie słynny skórzany strój, tworzyło ją czterech mężczyzn. Wszyscy byli utalentowanymi muzykami i bardzo porządnymi ludźmi, jednak ich agresywny sceniczny wizerunek nasuwał skojarzenia z *heli 's angels*: koledzy Amandy ciskali się po scenie w poszarpanych dżinsach i czarnych skórach nabijanych ćwiekami. Dopelnieniem demonicznego wizerunku były gęste czarne brody i długie potargane włosy. Mimo odstraszącej powierzchowności byli łagodni jak baranki, tyle że nikomu nigdy nie przyszło do głowy przekonać się, jacy są naprawdę.

Hank, Deke, Jack i Johnson poznali Amandę Corrie Callaway, gdy równocześnie z nimi starała się o pracę w jednym z nocnych klubów Wirginii. Szefowie klubu szukali piosenkarki oraz zespołu, więc uznali

ich jednoczesne pojawienie się za wyjątkowo pomyślne zrządzenie losu. Amanda początkowo nie podzielała tego entuzjazmu, niemal przstraszyła się swoich nowych muzyków. Oni z kolei czuli się przy niej niezręcznie, gdyż do tej pory mieli do czynienia z zupełnie innym typem piosenkarek. Onieśmiała ich ta cicha, zamknięta w sobie, bardzo młoda blondynka. Lecz ich pierwszy wspólny występ okazał się wielkim sukcesem.

Od tamtej pory minęły cztery lata. W tym czasie stali się sławni: nagrywali teledyski, pojawiali się w programach telewizyjnych i na okładkach kolorowych pism, udzielali wywiadów, dużo koncertowali. Ich twarze stały się znane, szczególnie zaś twarz Amandy, która występowała jako Mandy Callaway. Życie, które wiedli, z pewnością nie było złe, zwłaszcza że oprócz sławy dawało im bogactwo. Tyle że ceną za powodzenie i komercyjny sukces był całkowity brak czasu na sprawy prywatne. Prócz Hanka żaden z chłopaków nie był żonaty, a i on był właśnie w trakcie rozwodu. Związek, w którym jedna ze stron musi znosić częstą nieobecność współmałżonka, nie ma większych szans na przetrwanie.

Amanda sama nie wiedziała, kiedy jej myśli powędrowały w stronę Quinna Suttona. Niefortunne spotkanie na drodze nadal budziło w niej niechęć. Na dodatek zaczęła niepokoić się o ciotkę Bess, choć z drugiej strony wierzyła w jej zdrowy rozsądek. Sutton dał jej do zrozumienia, że nie jest pierwszą kobietą, której Blalock Durning użycza



swojej chaty, no ale ciotka, bądź co bądź kobieta doświadczona, powinna dobrze orientować się w sytuacji.

Mogła przecież wyjaśnić temu prostakowi, jaki charakter ma jej znajomość z Durningiem. Albo skontaktować go z Jerrym Allenem, menadżerem grupy, który potwierdziłby, że Amanda nie jest kochanką Blalocka.

Jerry należał do najlepszych fachowców w branży, jednak nawet jego czasem zawodził instynkt. Kiedy krótko po tej strasznej kompromitacji poprosiła go, żeby na jakiś czas zespół mógł zawiesić działalność, nie zgodził się. Jednak szybko okazało się, że mimo starań Amanda nie potrafi poradzić sobie ze stresem wywołanym przez tragiczne przeżycia.

W końcu Jerry uległ namowom Hanka i zgodził się, żeby na jakiś czas zniknęła ze sceny. Jak głosił oficjalny komunikat, grupa Desperado robiła sobie miesięczną przerwę na odpoczynek. Amanda miała nadzieję, że tyle czasu wystarczy jej, by się pozbierać.

Już po pierwszym tygodniu spędzonym w samotności poczuła się dużo lepiej. Mogłaby określić swoje samopoczucie jako bardzo dobre, gdyby nie dziwne hałasy na zewnątrz! Były na tyle uporczywe, że nie potrafiła ich zignorować. Bujna wyobraźnia podsunęła jej mroźący krew w żyłach obraz watahy wilków, które wpadają do chaty i rozszarpują ją na strzępy.

- Halo, jest tam kto?!

Wydawało się jej, że słyszy dziecięcy głos. Zaintrygowana, sięgnęła po pogrzebacz i podeszła do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Elliot! Elliot Sutton!

O nie, jęknęła zirytowana, tylko nie to! Czego on tu chce? Za chwilę przyleci za nim ojciec, a ona naprawdę nie czuje się na siłach znosić towarzystwo tego... dzikusa!

- O co chodzi? - odkrzyknęła przez zamknięte drzwi.

- Mam dla pani prezent!

Prezent? W tej sytuacji nie wypadało odesłać małego z kwitkiem, zwłaszcza że idąc do niej, musiał brnąć po pas w śniegu. A swoją drogą, skoro chłopiec włóczy się sam w taką pogodę, gdzie jest jego ojciec?

Kiedy szeroko otworzyła drzwi, Elliot uśmiechnął się przyjaźnie spod grubej wełnianej czapy.

- Dobry wieczór, przywiozłem prażone orzeszki. Sam je zrobiłem - powiedział.

Spojrzała ponad jego głową na sanie i konia.

- Przyjechałeś saniami? - zapytała, rozpoznając środek lokomocji, którym poruszali się, gdy zobaczyła ich po raz pierwszy.

- Pewnie, w zimie nie da rady inaczej. Widziała pani, jak karmiliśmy bydło, pamięta pani? Zawsze tak robimy, no, chyba że tata się rozchoruje - dodał. Jego zaniepokojone błękitne oczy mówiły więcej niż słowa.

Zanim zadała pytanie, wiedziała, że będzie tego serdecznie żałować. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała znać odpowiedzi. Rozsądek podpowiadał jednak, że żaden mały chłopiec nie przyszedłby bez powodu śnieżną nocą do obcej osoby z torebką prażonych orzeszków.

- Co się stało?

- Słucham?

- Pytam, co się stało? - powtórzyła łagodniej. Po pierwsze Elliot nie był winny temu, że ma nieokrzesanego ojca, a po drugie wyglądał na bardzo zmartwionego. - No... - zachęciła - mów śmiało.

Chłopiec zagryzł wargi i spuścił głowę. Dłuższą chwilę milczał, wpatrzony w czubki zaśnieżonych butów.

- Chodzi o mojego tatę - powiedział w końcu nieśmiało. - Jest bardzo chory, ale nie pozwala mi wezwać lekarza.

Więc to tak! Czują, że nie powinna o nic pytać!

- Mama nie może mu pomóc?

- Nie mam mamy. Uciekła z panem Jacksonem, kiedy byłem bardzo mały - tłumaczył spokojnie, a widząc jej zszokowaną minę, dodał: - Tata się z nią rozwiódł. Umarła kilka lat temu. Tata nie chce o niej rozmawiać. Zajrzy pani do nas? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie jestem lekarzem - odparła niepewnie.

- Wiem - przytaknął - ale jest pani dziewczyną, a dziewczyny potrafią opiekować się chorymi, prawda? - Wyraźnie tracił pewność siebie. Strapiony wyraz jego dziecięcej buzi najlepiej świadczył o tym,

że jest małym, przestraszonym dzieckiem, które nie ma do kogo zwrócić się o pomoc. - Bardzo panią proszę... - szepnął. - Boję się. Tata ma wysoką gorączkę. I dreszcze...

- Zaczekaj, tylko się ubiorę - powiedziała. - Macie w domu syrop na kaszel, aspirynę, tabletki od bólu gardła? - wyliczała, wkładając ciepłą kurtkę i czapkę, pod którą ukryła długie włosy.

- Mamy, proszę pani. Tata nie chce nic wziąć, ale mamy pełną apteczkę.

- A co, miewa myśli samobójcze? - zapytała zgryźliwie, gdy zamknąwszy dokładnie chatę, sadowiła się w saniach.

- Aż tak to nie. Ale czasem ma kiepski humor - wyznał. - Tata nigdy nie choruje - dodał z dumą. - No, może czasem, ale nigdy nie przyznaje się, że coś mu dolega. Dzisiaj naprawdę się przestraszyłem, bo mówił od rzeczy. Nie mam nikogo...

- Nie martw się, pomożemy mu - obiecała, mając nadzieję, że zdoła dotrzymać słowa. - Jedźmy!

- Dobrze pani zna pana Durninga? - zainteresował się. Co chwila popędzał konia, który mozolnie wciągał sanie pod górę.

- Jest znajomym mojej krewnej - odparła wymijająco. Z przyjemnością wystawiała twarz na mroźne podmuchy wiatru, w którym wirowały płatki śniegu, i wciągała głęboko górskie powietrze. - Pomieszkać w jego chacie tylko przez kilka tygodni. Muszę odpocząć, odzyskać siły - powiedziała bardziej do siebie niż do chłopca.

- A co, pani też była chora?

- W pewnym sensie - przyznała, nie wchodząc w szczegóły.

Sanki kołysały się niebezpiecznie na wyboistej ścieżce, trzymała się więc kurczowo drewnianej ławki, modląc się w duchu, żeby koń nie pośliznął się ani nie potknął na oblodzonej stromiźnie. Kiedy wreszcie zajechali na podwórze, odetchnęła z ulgą. Dom Suttona prezentował się bardzo okazale; zbudowany z sekwojowego drewna, był rozległy i na pierwszy rzut oka dostatni. Z licznych okien w spadzistym, krytym gontem dachu oraz tych wychodzących na obszerny ganek sączyło się ciepłe światło.

- Piękny dom - pochwaliła.

- Tata przebudował go specjalnie dla mojej mamy jeszcze przed ślubem - powiedział Elliot. - Tak naprawdę, to ja jej wcale nie znam. - Wzruszył ramionami. - Wiem tylko, że była ruda jak ja. Tata nie lubi kobiet. Nie będzie zadowolony, że panią przywiozłem... - uprzedził, zerkając na nią niepewnie.

- Nie martw się, dam sobie radę. - Uśmiechnęła się, by go uspokoić. - Zobaczmy, co mu dolega.

- Dobrze, ale najpierw poproszę Harry'ego, żeby wyprzągł konia. - Krzyknął w mrok. Po chwili ze stodoły wyszedł starszy siwy mężczyzna. - Harry jest w tym domu od czasu, gdy tata był dzieckiem. Potrafi zrobić wszystko, nawet gotować - opowiadał Elliot, gdy minąwszy hol, szli po drewnianych schodach na górę. Gdy jednak

zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami ojcowskiej sypialni, stracił cały animusz. - Tata będzie wściekły. Na pewno mnie skrzyczy - zmartwił się, patrząc na nią z wyrazem niepokoju w błękitnych oczach.

- Trudno. Chodźmy, lepiej mieć to jak najszybciej za sobą.

Zaczekała, aż chłopiec otworzy drzwi i pierwszy wejdzie do środka. Miała nadzieję, że jego trawiony gorączką ojciec nie leży nagi w poprzek łóżka. Na szczęście miał na sobie dzinsy. Uff, odetchnęła z ulgą, czując, jak na policzki wypełza zdradziecki rumieniec. To straszna kompromitacja dla kobiety, która bądź co bądź ma dwadzieścia cztery lata! Chrząknęła, by dodać sobie odwagi. Nie patrząc na uśmiechniętą buzię chłopca, mężnie wkroczyła do jaskini lwa.

Quinn Sutton leżał na brzuchu, z nagimi ramionami wyciągniętymi nad głową; jego muskularne plecy były mokre od potu, a pasma gęstych czarnych włosów lśniły wilgocią. W sypialni było raczej chłodno, więc bez trudu uwierzyła, że jej gburowaty sąsiad rzeczywiście gorączkuje.

- Przynieś miskę z gorącą wodą - zwróciła się do Elliota.

Gdy wybiegł z sypialni, zdjęła kurtkę, podwinęła rękawy bluzy i ostrożnie przysiadła na brzegu łóżka.

- Panie Sutton, czy pan mnie słyszy? - zapytała, dotykając delikatnie jego ramienia. Było gorące, wręcz rozpalone. - Panie Sutton...

- powtórzyła, potrząsając nim lekko.

- Odejdź! Nie wolno ci tego robić! - jęknął.

- Panie Sutton...

Przewrócił się na plecy, nieświadomy tego, co się dzieje. Jego ciemne oczy były szkliste i nieobecne, lecz Amanda nie zwróciła na to uwagi; jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pięknie wyrzeźbiony tors, silne muskularne ramiona i szczupłe biodra. Ciało Quinna Suttona, kwintesencja męskiej urody, robiło kolosalne wrażenie na kobiecie tak niewinnej jak ona. Mimo swojego wieku i wbrew powszechnym obyczajom panującym w branży muzycznej, miała nikłe doświadczenie w sprawach damsko - męskich. Dlatego teraz gapiała się na leżącego przed nią mężczyznę jak nastoletnia gąska.

- Czego pani chce? - burknął nagle Quinn. Odezwał się tak niespodziewanie, że przestraszona Amanda aż drgnęła. To tyle, jeśli chodzi o podziw dla bohatera, pomyślała cierpko.

- Elliot się o pana martwi - powiedziała cicho. - Przyjechał do mnie po pomoc. Niech pan go za to nie gani. Dobrze zrobił, bo rzeczywiście ma pan bardzo wysoką gorączkę.

- Co tam gorączka! Niech się pani stąd wynosi! - warknął tonem tak nieprzyjaznym, że nawet wilk podkuliłby ogon.

- Nic z tego - rzekła spokojnie, obracając się w stronę drzwi, w których stanął Elliot z miską gorącej wody oraz przewieszoną przez ramię ściereczką i ręcznikiem.

- Przyniosłem wszystko, o co pani prosiła - oznajmił. - Cześć, tato - dodał cicho, spłoszony wściekłą miną ojca. - Jak wyzdrowiejesz, możesz mi spuścić lanie.

- Masz to jak w banku! - wymamrotał Quinn.
- Spokojnie, panie Sutton. Jest pan chory. Majaczy pan -  
uspokajała go.
- Niech Harry ją stąd wyrzuci! Nie chcę jej tu widzieć!
- Przynieś aspirynę i coś do picia - zwróciła się do chłopca,  
ignorując pogroźki Suttona. - Coś rozgrzewającego. Może whisky?
- Nie lubię whisky - zaprotestował Quinn.
- Tata woli wino.
- Może być. - Skinęła głową, zanurzając ściereczkę w ciepłej  
wodzie. - Podkręć trochę ogrzewanie, żeby ojciec nie dostał dreszczy,  
kiedy będę go myła.
- Nie ma mowy o żadnym myciu - awanturował się Quinn, ona  
jednak nie zwracała na to uwagi.
- Przynieś to, o co cię prosiłam. I jeszcze syrop na kaszel - poleciła  
Elliotowi.
- Już się robi, proszę pani!
- Mam na imię Amanda.
- Amanda - powtórzył chłopiec i wybiegł z pokoju.
- Ja ci jeszcze pokażę! - krzyknął za nim Quinn, ale głowa zaraz  
opadła mu na poduszkę. Gdy Amanda dotknęła jego ramienia wilgotną  
ściereczką, przeszył go dreszcz. - Przestań!
- Panie Sutton, niech pan będzie rozsądny. Jest pan tak rozpalony,  
że można na panu smażyć jajecznicę. Trzeba jak najszybciej zbić



gorączkę. Elliot mówił mi, że pan majaczy.

- Sam majaczy! Po co cię tu przywoził?! - mruknął. Gdy niechcący musnęła palcami jego brzuch, skulił się, jakby go uderzyła. - Zostaw mnie w spokoju - jęknął.

- Boli pana brzuch? - zaniepokoiła się. - Przepraszam, jeśli zadałam panu ból - mówiła, przecierając mu twarz, ramiona i klatkę piersiową.

Leżał bez słowa, z szeroko otwartymi oczami; oddychał z wyraźnym wysiłkiem, miał ściągnięte rysy twarzy i mocno zaciśnięte usta. Wszystko z powodu gorączki, pomyślała, walcząc ze swoimi włosami, które co chwila opadały na jego piersi i brzuch.

- Niech cię szlag trafi - wycodził przez zęby.

- Nawzajem. - Uśmiechnęła się i odstawiła miskę. - Czy ma pan coś z długimi rękawami?

- Wynoś się!

Do pokoju wszedł Elliot z lekarstwami i kieliszkiem wina.

- Harry zaraz nam przyniesie gorącą czekoladę.

- Czy ojciec ma górę od pizamy albo koszulę z długimi rękawami?

- Jasne.

- Zdrajca! - zgromił go Quinn.

Gdy Elliot podał jej flanelową górę od pizamy, zaczęła ubierać Quinna, nie zważając na jego chaotyczne protesty.

- Nienawidzę cię! - wycodził przez zęby.

- Z wzajemnością - szepnęła, pochylając się nad nim, żeby nałożyć mu drugi rękaw. W trakcie tego manewru przysunęła policzek tak blisko jego piersi, że poczuła łaskotanie gęstych włosów porastających muskularny tors. Jednocześnie poczuła, że jej włosy opadają na jego ramiona i brzuch. Niespodziewany kontakt z rozpalonym, umięśnionym ciałem nieznanego obudził silny dreszcz podniecenia. Zaskoczona tą reakcją, czym prędzej zapięła guziki piżamy, starając się nie dotykać przy tym ciała chorego. Za każdym razem, gdy go dotykała albo gdy musnęło go pasemko jej włosów, drżał na całym ciele. Uznała taką reakcję za przejaw wysokiej gorączki.

- Skończyłaś? - warknął.

- Prawie - odparła, okrywając go elektrycznym kocem. Po krótkich targach zmusiła go, żeby wziął lekarstwa i wypił kilka łyków wina. Trochę się bała, że przesadza, aplikując mu taką końską kurację. Pocieszała się jednak, że kofeina w gorącej czekoladzie zneutralizuje wpływ alkoholu, który mógłby wejść w interakcję z lekarstwami. Kilka łyków czerwonego wina jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

- Czekolada gotowa - oznajmił Harry, stawiając na stoliku tacę, na której stały kubki z parującym napojem pod czapą bitej śmietany.

- Wygląda i pachnie wspaniale - pochwaliła. - Serdecznie panu dziękuję - dodała, uśmiechając się nieśmiało.

- Miło, jak człowieka docenią - zauważył Harry, zerkając znacząco na Quinna. - Tu nikt już nie pamięta, że istnieje takie słowo jak

„dziękuję”.

- Trudno dziękować trucicielowi - wtrącił się Quinn.

- Przeżyje. Takiego padalca nawet diabli nie wezmą - mruknął na odchodnym Harry.

- Święte słowa - potaknął Quinn. Jeszcze przez chwilę walczył z sennością, ale w końcu powieki same mu opadły i zasnął jak kamień.

Amanda przysunęła sobie fotel i usiadła obok łóżka. Czuła, że nie powinna zostawiać go teraz samego. Elliot musi iść rano do szkoły, a Harry z pewnością ma mnóstwo pracy w obejściu, więc przyda się ktoś do opieki nad chorym.

- Chodzisz do szkoły, prawda? - zagadnęła.

- Pewnie. Jeżdżę na koniu do drogi, przy której staje szkolny autobus. Tam puszczam go wolno, bo potrafi sam wrócić do stajni. Zostanie pani u nas na noc?

- Tak, myślę, że tak będzie lepiej. Posiedzę przy twoim tacie. W nocy może mu się pogorszyć. Jutro powinien zbadać go lekarz. Macie tu jakiegoś doktora?

- Tak, w miasteczku, to znaczy w Holman, przyjmuje doktor James. Jeśli tata nie poczuje się lepiej, poproszę, żeby do nas zajrzał.

- Zobaczymy, co będzie rano. A teraz idź już spać - powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie.

- Dziękuję, że pani ze mną przyjechała..., pani Amando. Pierwszy raz w życiu miałem takiego pietra - wyznał.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Dobranoc, miłych snów.

Kiedy wyszedł, życząc jej przedtem spokojnej nocy, poprawiła się w fotelu i spojrzała na uśpioną twarz swojego podopiecznego; doszła do wniosku, że gdy ma zamknięte oczy, wygląda nad wyraz łagodnie. Przy okazji spostrzegła, że Quinn Sutton ma najdłuższe rzęsy na świecie. Gęste, ładnie zarysowane brwi tworzyły harmonijne łuki nad głęboko osadzonymi oczami. Usta miał raczej wąskie, ale ładnie wykrojone i bardzo zmysłowe. Musiała przyznać, że podoba jej się jego mocno zarysowana broda, oznaka stanowczości i uporu. Oraz nos, wydatny i prosty. Ten nieokrzesany Sutton wcale nie jest taki szkaradny, pomyślała. Można by nawet nazwać go przystojnym... zwłaszcza gdy śpi. Być może to zimne spojrzenie decydowało o tym, że w pierwszej chwili sprawiał wrażenie wyjątkowo nieprzystępnego. Zresztą nawet teraz, pogrążony w głębokim śnie, wyglądał dosyć groźnie. Było w nim tyle szorstkości...

Odczekała kilka minut, po czym lekko dotknęła jego spoconego czoła. Nieco chłodniejsze. Dzięki Bogu, odetchnęła. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, do rana powinien poczuć się lepiej. Póki co, ją samą ogarnęło znużenie, poszła więc do łazienki i opłukała twarz chłodną wodą. Potem wróciła na swoje miejsce obok łóżka i czuwała przy Quinnie kilka długich godzin, jednak w środku nocy poddała się zmęczeniu i sama nie widząc kiedy, zasnęła, mając za poduszkę swoje bujne włosy rozrzucone na oparciu fotela. Obudziły ją męskie głosy.

- Harry, ona tu siedziała przez całą noc?

- Na to wygląda. Biedactwo, musi być wykończona.

- Zastrzelę tego smarkacza!

- Co pan wygaduje, szefie! Za co? Bardzo się przestraszył, a ja, choć stary, zupełnie nie wiedziałem, co robić. Baby znają się na choróbskach lepiej niż my. Moja matka potrafiła leczyć ludzi, choć nikt jej tego nie uczył. Znała się na ziołach i takich tam...

Amanda, czując na sobie ich spojrzenia, otworzyła oczy. Quinn Sutton siedział oparty o wezgi i mierzył ją badawczym wzrokiem.

- Jak się pan czuje? - zagadnęła sennym głosem, nie podnosząc głowy z oparcia fotela.

- Podle - mruknął. - Ale trochę lepiej niż wczoraj.

- Zje pani śniadanie? - zainteresował się Harry. - Może zaparzyć kawy?

- O tak! Bardzo proszę o kawę, ale za śniadanie dziękuję. Nie chcę sprawiać kłopotu. - Uśmiechnęła się, prostując się w fotelu. Ziewając, przeciągnęła się leniwie. Bawełniana bluza przylgnęła do jej pełnych piersi, zdradzając mimowolnym świadkom ich piękny kształt.

Quinn poczuł, jak jego ciało powoli napina się i tężeje. Podobnie zareagował poprzedniego wieczoru, kiedy ta kobieta dotykała go podczas mycia. Wciąż czuł na skórze jej delikatne, chłodne dłonie i jedwabiste włosy. Ich dotyk sprawił mu niespodziewany, niemal fizyczny ból. Pamiętał też jej zapach; pomieszaną woń gardenii i

świeżego górskiego powietrza. Miał jej za złe, że wbrew jego woli budziła w nim tę dziwną słabość.

- Po co pani tu przyjechała? - zapytał, gdy po wyjściu Harry'ego zostali sami.

Odgarnęła z twarzy włosy, próbując nie myśleć o tym, że potargana i bez makijażu na pewno wygląda okropnie. Na co dzień nie afiszowała się ze swoją największą ozdobą; zaplatała włosy w ciasny warkocz i upinała wysoko na czubku głowy, a rozpuszczała tylko na czas występów. Teraz, gdy patrzył na nie Quinn Sutton, poczuła się bardzo niepewnie.

- Elliot ma dopiero dwanaście lat - odparła po chwili. - Jest jeszcze dzieckiem i nie powinien brać na siebie odpowiedzialności, która go przerasta. Wiem coś o tym, bo w jego wieku musiałam opiekować się ojcem. Nie miałam matki, a ojciec dużo pił - dodała z gorzkim uśmiechem - i po pijanemu rozrabiał. W wieku trzynastu lat nieraz szukałam kogoś, kto by za niego poręczył i wyciągnął go z aresztu. Z nikim się nie spotykałam, nie miałam koleżanek, nikt do mnie nie przychodził. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, uciekłam z domu. Nawet nie wiem, czy ojciec jeszcze żyje, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie jego los.

- Elliot nie będzie miał takich problemów - rzekł cicho. - Twarda z pani dziewczyna, co? - dodał, przyglądając jej się uważnie.

Nie miała pojęcia, dlaczego opowiada mu o tym. Sutton był

ostatnią osobą, której chciałyby się zwierzać. Próbując ukryć zmieszanie, posłała mu wojownicze spojrzenie.

- Nie przeczę - powiedziała hardo, wstając z fotela. - Skoro ma pan siłę rozmawiać, to nie jest z panem tak źle. Gdyby jednak wróciła wysoka gorączka, niech pan koniecznie wezwie lekarza - poradziła.

- Sam wiem najlepiej, co mam robić - uciął. - Niech pani już idzie!

- Właśnie to robię. - Wkładała kurtkę. Aby nie tracić czasu, nawet jej nie zapięła. Zgarnęła szybko włosy i upchnęła pod czapkę, starając się ignorować jego impertynenckie spojrzenie.

- Nie wyglądasz na puszczałką - powiedział znienacka.

Ze zdumienia mrugnęła oczami.

- Słucham?

- Powiedziałem: puszczałką - powtórzył. - Domyślam się, że jesteś aktualną kochanką Durninga. Jeśli lecisz na pieniądze, to świetnie wybrałaś. Z Blalockiem Durningiem można się nieźle zabawiać.... Co jest?!

Stała nad nim, przyglądając się resztkom niedopitej czekolady, które szybko wsiąkały w jego piżamę i kleiły się do włosów na klatce piersiowej. Wściekłość na moment odebrała jej mowę.

- Przepraszam - rzuciła sucho, odzyskawszy równowagę i głos. - Takie zachowanie wobec chorego człowieka jest niedopuszczalne, ale zabrakło mi słów na to, co pan powiedział.

Obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, udając, że nie słyszy

przekleństw, które rzucał, gramoląc się z łóżka.

- Też bym klęła - oznajmiła, stając na chwilę w progu. Popatrzyła na jego szeroki tors, ale szybko otrząsnęła się z podziwu. - Taka lepka czekolada przyklejona do gęstych włosów - powiedziała ze złośliwym uśmiechem - nie da się łatwo usunąć. Chyba trzeba będzie pójść do łaźni parowej. Przydałaby się jakaś mała puszczałka, która pomogłaby panu to zmyć. Tylko skąd pan ją tu weźmie? Zdaje się, że nie jest pan tak zamożny jak Duming. - Nie czekając na jego reakcję, wymaszerowała z wysoko podniesioną głową. Już na schodach usłyszała dziwny odgłos. Mogłaby przysiąc, że Quinn Sutton się śmieje. Nie, to niemożliwe. Ten gbur nawet nie wie, co to uśmiech. Przesłyszała się.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Żałowała tego głupiego incydentu z czekoladą. Gdy dotarła do swojej chaty, było jej naprawdę wstyd. Choć z drugiej strony Sutton sam się o to prosił. Jak śmiał użyć wobec niej tak obelżywych słów!

Zniewaga bolała ją tym mocniej, że była zupełnie niezasłużona. Jak na współczesną młodą kobietę, Amanda miała dość staroświeckie poglądy na życie, typowe dla prostej dziewczyny z Południa. Dorastając, napatrzyła się na seksualnie wyzwoloną ciotkę i wiecznie pijanego ojca. Mogła pójść w ich ślady, jednak nie zrobiła tego, i odrzuciwszy te mało chlubne wzory, wybrała własną drogę. Jej życie prywatne w niczym nie przypominało tego, jakie zwykły wieść gwiazdy rocka. Nie miała chłopaka i rzadko umawiała się na randki. Patrząc na jej odważny sceniczny kostium, żaden mężczyzna nie uwierzyłby, że ta seksowna dziewczyna ma bardzo konserwatywne poglądy. Jej wielbiciele byli święcie przekonani, że prawdziwa Amanda żyje i myśli dokładnie tak samo jak jej efektowne alter ego, czyli wspaniała i uwodzicielska Mandy, którą tak podziwiają. Tymczasem zdarzały się jej chwile, kiedy przeklinała dzień, w którym zdecydowała się podpisać kontrakt z Desperado. Teraz jednak, gdy dzięki sukcesowi grupy stała się bogata i sławna, trudno było jej odejść z zespołu.

Zajęta własnymi problemami tylko od czasu do czasu zastanawiała się, czy Quinn Sutton wrócił już do zdrowia. Nie pozwalała sobie jednak myśleć o nim zbyt długo, gdyż tak naprawdę jego los w ogóle nie

powinien jej obchodzić.

W domku, gdzie nie było telefonu ani telewizora, chwilami ogarniała ją nuda. Nie miała ochoty ciągle czytać ani układać pasjansów. Zostawało więc słuchanie radia albo kaset, tyle że muzyczny gust pana Durninga był bardzo selektywny: gospodarz uznawał wyłącznie operę i nic poza tym, ona zaś z największą przyjemnością posłuchałaby łagodnego rocka. Chętnie pograłaby też na pianinie, ale w domku nie było żadnego instrumentu. Od śmierci z nudów ratowała ją umiejętność gry na perkusji; wyciągnąwszy z szuflady łyżki i noże, zawzięcie bębniła nimi o kuchenny blat.

Kiedy w niedzielny wieczór w chacie zgasło nagle światło, niemal poczuła ulgę. Usiadła na łóżku i wybuchnęła śmiechem. Patrzyła w okno, o które tłukł marznący deszcz. I tak oto znalazła się uwięziona w obcym domu bez prądu i ogrzewania. Mogła wprawdzie wstać i rozpalić ogień w kominku, lecz jej ograniczona wiedza na ten temat podpowiadała jej, że potrzebne jest do tego suche drewno. Na podwórzu było go pod dostatkiem, tyle że pod kilkucentymetrową warstwą śniegu i lodu. Mało tego, nawet nie miała zapalek!

Otuliła się kurtką. Przeklinała w duchu samotność, parszywą pogodę oraz lęk przed koszmarnymi wspomnieniami, od których tak usilnie próbowała się uwolnić. Nie chciała myśleć o tym, dlaczego jej głos sprawił jej zawód. Czuła, że oszaleje, jeśli znowu zacznie myśleć o tym, co stało się podczas tamtego koncertu.

Zamyślona, nie słyszała, że ktoś dobija się do drzwi.

- Panno Corrie! - Znajomy głos przebijał się przez wycie wiatru.

Otrząsnęła się z odrętwienia i po omacku odszukała klamkę. Otworzyła szeroko drzwi.

Quinn Sutton obrzucił ją mało przyjaznym spojrzeniem.

- Niech się pani pakuje. Awaria linii energetycznej. W nocy będzie tęgi mróz. Zamarznie tu pani na śmierć. Mam na ranchu generator, więc u mnie jest ciepło.

- Prędej tu skonam, niż skorzystam z pańskiej gościny! - zawołała.

- Kobieto - zaczął, ledwie panując nad zniecierpliwieniem - to, jak się pani prowadzi, to pani sprawa, mnie nic do tego. Uznałem jednak....

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, ale on natychmiast otworzył je jednym silnym kopniakiem.

- Nie zamierzam strzępić języka - oznajmił, po czym schylił się, chwycił ją pod kolana i podniósł z ziemi. - Jeśli nie chce pani niczego zabrać, to nie moje zmartwienie.

- Panie... Sutton! - sapnęła zaskoczona takim brutalnym zachowaniem i fizyczną bliskością mężczyzny.

Wyniósł ją na dwór i zamknął drzwi chaty.

- Niech się pani mocno trzyma. Musimy przebrnąć przez tę zaspę.

Przez ostatnie dwa dni nie wychodziła z domu, nie miała więc pojęcia, że miejscami śnieg jest aż do pasa. Instynktownie wczepiła się

palcami w kudłaty kołnierz kożucha, który pachniał skórą, tytoniem i jakimś mydłem. Szorstkie futro przyjemnie grzało jej zmarznięte policzki. Wisząc głową w dół, czuła się mała i bezradna. Była zła, że Sutton potraktował ją tak bezceremonialnie.

- Nie pochwalam takich metod.

- Ale są skuteczne. Niech pani siada. - Postawił ją w saniach. Usiadł obok i zawróciwszy konia, rozpoczął mozolną wspinaczkę pod górę.

W pierwszej chwili zamierzała protestować. Chciała mu powiedzieć, że ma w nosie jego generator i natychmiast wraca do siebie. I pewnie tak by zrobiła, gdyby nie przenikliwy chłód i deszcz, który siekł jej policzki drobinkami lodu. Przemarznięta i zła straciła ochotę na kłótnie. Musiała przyznać mu rację. Jak nic zamarzłaby w tej chacie na śmierć, a jej szczątki odnalazłby ktoś dopiero na wiosnę. Chyba że wcześniej ciotka w nagłym przypływie troski namówiłaby swego przyjaciela Durninga, żeby sprawdził, co się z nią dzieje.

- Wolałabym nie nadużywać pańskiej uprzejmości.

- Już na to za późno. - Wzruszył ramionami. - Gdybym pani stąd nie zabrał, to miałbym w perspektywie kopanie grobu.

- Domyślam się, co by pan wolał - mruknęła, chowając twarz w kołnierz kurtki.

- Doprawdy? - Odwrócił się w jej stronę. - Niech pani spróbuje wykopać dziurę w tej zmarzlinie.

Zdawało jej się, że dostrzegła w jego oczach iskierkę humoru, ale pewnie było to złudzenie. Jego uwagę skwitowała pytającym spojrzeniem i zacisnąwszy usta, zrezygnowana milczała przez resztę drogi.

Quinn zatrzymał sanie przed szerokimi wrotami stodoły, po czym gdzieś zniknął. Amanda weszła więc do środka, i idąc przejściem pomiędzy boksami, oglądała konie. W jednym z pomieszczeń ujrzała leżące na sianie dwa malutkie, łaciate cielaczki.

- Co im jest? - zapytała Quinna, gdy ten po powrocie zajął się wyprzęganiem konia.

- Ich matki padły z głodu - powiedział cicho. - Nie zdążyłem dowieźć im paszy. - Zabrzmiało to, jakby mocno obchodził go los tych zwierząt.

Zaintrygowana, spojrzała mu w twarz, próbując dojrzeć w półmroku jej wyraz. Zdawało jej się, że dostrzega w niej jakiś nowy, łagodny rys.

- Myślałam, że ranczer nie przejmuje się stratą paru krów - rzuciła obojętnym tonem.

- Zależy który - odparł. - Kilka miesięcy temu straciłem dosłownie wszystko. Wygrzebuję się z bankructwa, ale nie wiem, czy mi się to uda. Dlatego liczy się dla mnie każda sztuka bydła - mówił z naciskiem, patrząc jej w oczy. - I nie chodzi tylko o pieniądze. Nie mogę pogodzić się z myślą, że jakieś stworzenie padło z braku opieki. Nawet jeśli jest to

krowa.

- Albo jakaś baba. - Uśmiechnęła się z przekąsem. - Wiem doskonale, że nie jestem tu panu potrzebna. Mimo to... jestem wdzięczna, że pan po mnie przyjechał. Nie miałam już suchego drewna ani zapalek. Zdaje się, że pan Duming nie pali, bo jego zapas zapalek skończył mi się bardzo szybko.

Quinn skrzywił się z niesmakiem.

- Nie pali. Nie wiedziała pani?

- Nigdy mnie to nie interesowało. - Wzruszyła ramionami, celowo nie informując go, że to jej ciotka, a nie ona, zna zwyczajnie Blalocka Durninga. Niech sobie myśli o niej, co chce. Nie ma powodu wyprowadzać go z błędu.

- Elliot mówił mi, że pani chorowała.

- W pewnym sensie - przyznała, starając się za wszelką cenę zachować obojętny wyraz twarzy.

- I co? Durning nawet się nie pofatygował, żeby tu pani towarzyszyć?

- Panie Sutton, moje życie prywatne nie powinno pana interesować - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nie obchodzi mnie, co pan o mnie myśli. Mogę panu tylko powiedzieć, że moja niechęć do mężczyzn jest równie silna jak pańska nienawiść do kobiet. Dlatego proszę się nie obawiać, że będę się panu narzucała. Naprawdę, nie będzie pan musiał opędzać się ode mnie kijem.

Pod wpływem jej słów Sutton zmienił się na twarzy. Znow stał się obcy i nieprzystępny. Jeszcze chwilę stał przed nią, patrząc jej badawczo w oczy, potem odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu, dając jej znak, żeby poszła za nim.

Na widok gościa Elliot aż podskoczył z radości. Amanda przywitała się z nim serdecznie. W salonie zauważyła telewizor i sporą kolekcję kaset. Najbardziej jednak zdziwił ją nowiutki keyboard, który dostrzegła na stole.

Podeszła do instrumentu i instynktownie powiodła po nim palcami.

- Podoba się pani? - zapytał chłopiec, nie kryjąc dumy. - Dostałem go od taty na gwiazdkę. Chce pani posłuchać, jak gram? - Nie czekając na odpowiedź, dość poprawnie zagrał fragment piosenki grupy Genesis.

Amanda, która odebrała porządne wykształcenie muzyczne, nagrodziła go ciepłym uśmiechem.

- Świetnie ci idzie - pochwaliła - ale jeśli na samym końcu ostatniego taktu będzie bemol, uzyskasz znacznie lepsze brzmienie.

Elliot przechylił głowę.

- Ja gram ze słuchu. - Był wyraźnie speszony.

- Rozumiem. Pokażę ci, o co mi chodzi. - Z wprawą uderzyła właściwy klawisz, po czym zademonstrowała cały akord. - Masz doskonały słuch.

- Ale nie znam nut - westchnął, wpatrując się w nią z napięciem. - Pani to umie, prawda?

- Kiedy byłam w twoim wieku - powiedziała cicho - marzyłam, żeby nauczyć się gry na pianinie. Wzięłam nawet kilka lekcji, ale później musiałam uprosić koleżankę, żeby pozwoliła mi ćwiczyć na swoim instrumencie. Długo trwało, zanim nauczyłam się podstaw, ale teraz radzę sobie całkiem nieźle.

„Całkiem nieźle”, czyli tak, że jej grupa zdobyła nagrodę Grammy za najnowszy album, którego zwiastunem była przebojowa piosenka napisana i skomponowana przez Amandę. Nie mogła powiedzieć o tym Elliotowi. Była pewna, że gdyby Quinn wiedział, czym ona naprawdę się zajmuje, bez chwili wahania wyrzuciłby ją za drzwi. Nie wyglądał na entuzjastę rock and rolla, a gdyby jeszcze zobaczył jej estradowy strój oraz towarzyszy z zespołu, na pewno przypisałby jej dużo poważniejsze występki niż romans ze swoim sąsiadem. Na samą myśl o jego reakcji przeszedł ją dreszcz. Na szczęście nie żywiła do niego sympatii, więc nie musiała przejmować się tym, co o niej myśli.

- Pani Amando... - Elliot spojrzał na nią błagalnie - czy mogłaby pani nauczyć mnie nut? Zasypał nas śnieg. I nie będziemy mieli nic do roboty. Jak się pani będzie nudziła, to ja wtedy do pani przyjdę, dobrze?

- Bardzo chętnie się tego podejmę. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście pod warunkiem, że ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu - dodała, spoglądając w stronę drzwi.

W progu stał Quinn. Był w dżinsach i ciepłej koszuli w czerwoną kratę. Z parującym kubkiem kawy w dłoni bacznie się im przyglądał.



- Zgadzam się, ale nie chcę, żeby grał ostre rockowe kawałki - powiedział stanowczo. - To nie jest muzyka dla porządnego dzieciaka. Rock ma zły wpływ na młode umysły.

- Zły wpływ? - powtórzyła zdumiona, gratulując sobie w duchu trafności, z jaką odgadła jego gust.

- Hałaśliwa muzyka, agresywne i wulgarne teksty, wyuzdane stroje, satanizm - wyliczał. - Dopiero co skonfiskowałem mu wszystkie kasety z taką muzyką i zamknąłem na klucz. Bałamutny chłam!

- W niektórych przypadkach na pewno tak jest - zgodziła się - ale nie powinien pan zbyt pochopnie wrzucać wszystkiego do jednego worka. Są grupy rockowe, które angażują się w zwalczanie narkotyków, promują wstrzemięźliwość...

- Chyba sama pani nie wierzy w takie bzdury - uciął.

- Tato, Amanda ma rację - wtrącił się Elliot.

- Nikt cię nie pyta o zdanie! Idę do siebie. Muszę zająć się papierkową robotą - powiedział. - Tylko nie za głośno, rozumiano? Harry albo Elliot pokażą pani pokój - oznajmił, nie starając się, żeby zabrzmiało to gościnnie.

- Dziękuję - odparła, unikając jego wzroku. Jego zachowanie i ton głosu sprawiały, że czuła się winna. To zaś powodowało, że mimo woli zaczynała myśleć o tamtej strasznej nocy...

- Nie siedź do późna - przykazał na odchodnym Elliotowi. - O dziewiątej masz być w łóżku.

- Tak, tato.

Amanda z niedowierzaniem patrzyła w ślad za nim.

- Co on powiedział?

- Żebym długo nie siedział - powtórzył Elliot. - Wszyscy idziemy spać o dziewiątej - wyjaśnił. Widząc jej zaskoczoną minę, dodał z wyrozumiałym uśmiechem: - Przyzwyczai się pani. Tak się żyje na wsi. Opowie mi pani coś więcej o tym bemolu? Nie mam pojęcia, co to jest.

Wygląda na to, że będzie zmuszona chodzić do łóżka z kurami i wstawać razem z nimi. Zrezygnowana, sięgnęła po keyboard i zaczęła tłumaczyć chłopcu podstawy muzyki.

- Ojciec naprawdę zabrał ci kasety? - zapytała w którymś momencie.

- Naprawdę. - Elliot pokiwał głową, zaraz jednak roześmiał się i zerkając w stronę schodów, dodał półgłosem: - Ja i tak wiem, gdzie je schował. - Potem zamilkł i przez dłuższą chwilę uważnie się jej przyglądał. - Wydaje mi się, że już gdzieś panią widziałem.

Zachowała zimną krew, choć wewnątrz aż zadrżała z niepokoju. Nie daj Boże, żeby mały był fanem Desperado i miał ich płyty albo kasety. Z okładkami, na których zawsze umieszcza się zdjęcia wykonawców! Wolała nie myśleć, co by było, gdyby ją rozpoznał.

- Podobno każdy ma swojego sobowtóra - powiedziała ze swobodą. - Może trafiłeś na dziewczynę bardzo do mnie podobną. Posłuchaj, jak brzmi utwór grany w tonacji cis...

Udało jej się zmienić temat, a Elliot, pochłonięty grą na keyboardzie, nie wracał już do kwestii podobieństwa. Kiedy pół godziny później poszli na górę, odetchnęła z ulgą. Jedyne problemy polegały na tym, że ten obrzydliwy tyran Sutton nie pozwolił jej spakować niezbędnych rzeczy, musiała więc spać w bieliźnie. Kładąc się do chłodnej, nieskazitelnie białej pościeli, drżała z obawy, że w nowym miejscu nawiedzą ją senne koszmary. Nie czuła się na siłach tłumaczyć rano Suttonowi, dlaczego krzyczy i płacze przez sen. Zresztą nawet gdyby powiedziała mu prawdę, orzekłby, że sama sprowokowała te nieszczęścia.

Jednak ku jej zaskoczeniu noc minęła bardzo spokojnie. Przespała ją głębokim, pozbawionym marzeń snem i nie obudziła się ani razu. Wstała o wschodzie słońca, świeża i wypoczęta. Kiedy Elliot zapukał do drzwi, żeby zaprosić ją na śniadanie, od dawna była na nogach.

Przed wyjściem z pokoju szybko poprawiła warkocz upięty na czubku głowy i rażnym krokiem zeszła na dół.

Quinn i Elliot siedzieli już przy stole i zajadali grube placki oblane syropem klonowym. Kiedy zajęła miejsce, które wskazał jej Quinn, Harry postawił przed nią dzbanek aromatycznej kawy.

- Gorące placki i parówki? - zapytał.
- Z przyjemnością, ale tylko jeden placek i jedną parówkę - zastrzegła się. - Nie jadam obfitych śniadań - wyjaśniła.
- Pora zmienić zwyczaje - wtrącił Quinn. - Ten, kto chce mieszkać

w górach, musi nauczyć się jeść porządne śniadania. Przydałoby się pani trochę więcej ciała - skomentował, przyglądając jej się krytycznie. - Harry, nałóż jej trzy parówki.

- Niech pan posłucha... - zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- To mój dom i ja tu rządzę - oświadczył, po czym spokojnie zaczął popijać kawę.

Westchnęła zrezygnowana. Skąd ona to zna?! Miała wrażenie, że cofnął się czas i znowu jest w ośrodku, do którego regularnie trafiała podczas alkoholowych ciągów ojca. Tam też musiała dostosować się do surowych reguł ustalonych przez panią Brimm.

- Tak jest, proszę pana - powiedziała głucho.

- Mam trzydzieści cztery lata, więc nie musisz zwracać się do mnie per pan. Przecież już dawno przestałaś być dzieckiem... - zauważył.

Zaskoczona jego dziwną uwagą, spojrzała na niego pytająco.

- Mam dwadzieścia cztery lata - powiedziała. - Naprawdę masz tylko trzydzieści cztery? - Wiedziała, że jej pytanie zabrzmiało niezręcznie, ale nie potrafiła ukryć zdziwienia. Mimo że Quinn wydawał się jej o wiele starszy, wcale nie chciała sprawić mu przykrości. - Przepraszam, głupio wyszło...

- Nie ma sprawy. Wiem, że staro wyglądam. - Wzruszył ramionami. Powstrzymał się przed uwagą, że poważny wygląd zawdzięcza w dużym stopniu byłej żonie. - Za to ty wyglądasz na mniej niż dwadzieścia cztery - dodał.

Odsunął na bok pusty talerz i spokojnie popijał kawę, przyglądając jej się poprzez smużki pary unoszące się z kubka. Ona też go obserwowała. Tego ranka miał na sobie zwyczajne dżinsy oraz koszulę w niebieską kratę. Amanda zauważyła, że była zapięta pod samą szyję. Mężczyźni należący do jej świata ubierali się zupełnie inaczej. Bo też byli zupełnie inni niż ten asceta z gór.

- Wiesz, tato, Amanda uczyła mnie wczoraj różnych gam - pochwalił się Elliot. - Ona naprawdę zna się na muzyce.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - zainteresował się Quinn. Wyraz jego oczu podpowiedział jej, że pamięta, co mówiła o swoim ojcu.

- Kiedy ojciec miał alkoholowe ciągi, zabierali mnie do pogotowia opiekuńczego - powiedziała spokojnie. - Jedna z opiekunek grała na pianinie podczas nabożeństw w kościele. I to ona nauczyła mnie grać.

- Masz rodzeństwo?

- Nie. Właściwie wcale nie mam rodziny, tylko ciotkę. - Zamyśliła się nad swoją kawą. - Ciotka jest artystką. Aktualnie mieszka z przyjacielem...

- Synu, na ciebie już czas - przerwał jej Quinn, dając Elliotowi znak, żeby się zbierał.

- Jasne, lepiej żebym się nie spóźnił na autobus. Trzymajcie się! - zawołał chłopiec, chwytając w locie swój plecak i kurtkę. Kiedy Elliot wybiegł z pokoju, Harry zebrał naczynia i zniknął w kuchni.

- Nie mów przy Elliocie o takich rzeczach - pouczył ją Quinn. - On

rozumie więcej, niż myślisz. Nie chcę, żeby się zdemoralizował.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że większość dwunastolatków wie o życiu więcej niż niejeden dorosły - odparła.

- W twoim świecie pewnie tak, ale nie w moim. W pierwszej chwili chciała mu wyjaśnić, że przedstawiła mu jedynie faktyczny stan rzeczy. W końcu to, że ciotka ma kochanka, wcale nie znaczy, że ona akceptuje i pochwała takie związki. Doszła jednak do wniosku, że nie będzie na próżno strzepić sobie języka. Quinn miał już wyrobione zdanie na jej temat, więc nie było sensu niczego mu tłumaczyć. Skoro uznał ją za kobietę wyzwoloną, niech tak już zostanie.

- Kieruję się w życiu tradycyjnymi wartościami - oznajmił, mierząc ją surowym wzrokiem. - Można powiedzieć, że jestem staroświecki. Nie chcę, żeby mój syn był wystawiany na pokusy tak zwanego współczesnego świata, dopóki nie będzie na tyle dojrzały, by rozumieć, że może wybierać. Nie podoba mi się społeczeństwo, które drwi z honoru, wierności i czystości. Bronię się przed nim, jak umiem. Co niedziela chodzę do kościoła, panno Corrie. - Znacząco pokiwał głową, kwitując pobłażliwym uśmiechem jej zaskoczoną minę. - Elliot też. Może tego nie wiesz, bo nie pokazują tego w telewizji ani w kinie, ale w tym kraju nadal żyje sporo ludzi, którzy co niedziela chodzą na mszę, przez cały tydzień ciężko pracują, a po pracy oddają się rozrywkom bez alkoholu, narkotyków czy seksu. Jesteś zaskoczona?

- Nie bardzo - odparła, wzruszając ramionami. - Jeśli chcesz

wiedzieć, myślę niemal tak samo jak ty. A co do filmów, to najchętniej oglądam te z lat czterdziestych. Choć w tamtych czasach aktorom nie wolno było się rozbierać ani przeklinać na ekranie, to filmy, które wtedy powstały, są naprawdę wspaniałe. Uwielbiam je! Na dodatek można je spokojnie pokazać dziecku.

- Mnie też się podobają - przyznał, patrząc na nią z taki sposób, jakby chciał wysondować, czy powiedziała prawdę. - Najbardziej te, w których gra Humphrey Bogart, Bette Davis albo Cary Grant - dodał.

- Wcale nie jestem taka nowoczesna. - Roześmiała się. - Owszem, mieszkam w dużym mieście, ale to jeszcze nie znaczy, że sprzedałam duszę diabłu. Potrafię zrozumieć, dlaczego wychowujesz Elliota według takich surowych zasad. Wspominał mi, co stało się z jego matką...

Quinn natychmiast zatrzęsął się w swojej skorupie.

- Nie rozmawiam z obcymi ludźmi o moich prywatnych sprawach - rzucił sucho i energicznie wstał od stołu. - Jeśli chcesz oglądać telewizję albo słuchać muzyki, nie mam nic przeciwko temu. Idę teraz do swoich zajęć.

- Mogę ci pomóc?

- Jeszcze się nie zorientowałaś, że nie jesteś w mieście? - burknął.

- I co z tego? Trochę znam się na gospodarstwie, bo ośrodek był na farmie, na której musieliśmy pracować. Umiem doić krowy i podrzucić zwierzętom świeże siano.

- Moich krów nie da się wydoić - powiedział. - Jeśli chcesz,

możesz nakarmić te dwa cielaki, które widziałaś w stodole. Harry pokaże ci, gdzie są butelki.

W ten niewybredny sposób dał jej do zrozumienia, że nie zmierza tracić dla niej więcej czasu. Przyjęła to do wiadomości, choć w głębi serca było jej przykro. Czowała się jak nieproszony gość, pocieszała się jednak, że choć na parę chwil udało jej się wniknąć pod tę skorupę, którą Quinn Sutton odgradzał się od świata.

On tymczasem zapatrzył się na jej włosy.

- Od tamtej nocy, kiedy Elliot przywiózł cię do nas, nie widziałem cię z rozpuszczonymi włosami - powiedział w zamyśleniu.

- Zazwyczaj je zaplatam - wyznała. - Nie lubię, kiedy opadają mi na oczy. Przeszkadzają mi... - I są zbyt charakterystyczne, dodała w myślach. Łatwo można mnie po nich rozpoznać, więc lepiej żeby Elliot nie widział mnie w takiej fryzurze.

Quinn przyjrzał jej się spod zmrużonych powiek, po czym sięgnął po kurtkę.

- Nie wychodź poza podwórko - powiedział tonem nakazu, wkładając na głowę swojego ulubionego stetsona. - To bardzo dziki kraj. Grasują tu wilki i niedźwiedzie oraz sąsiedzi, którzy zastawiają na nie sidła.

- Znam swoje miejsce. Masz na farmie pomocników?

- Owszem, czterech. Wszyscy żonaci - uprzedził.

Zaczerwieniła się, dotknięta tą niepotrzebną uwagą.



- Cieszę się, że masz o mnie takie wysokie mniemanie - zadrwiła.

- Może nawet lubisz stare filmy - powiedział cicho - ale nie uwierzę, że w tym wieku i z tą urodą jesteś jeszcze dziewicą - dodał, zniżając głos tak, by jego słowa nie dotarły do wścibskich uszu Harry'ego. - Jestem prostym facetem ze wsi, ale byłem żonaty i znam się trochę na kobietach. Nie myśl, że jestem idiotą.

Ciekawe, pomyślała, jak by zareagował, gdyby poznał o niej całą prawdę. Nieprzyjemną. Tłumiąc westchnienie, wlepiała wzrok w pusty kubek.

- Może pan sobie myśleć, co pan chce, panie Sutton. Zresztą i tak już pan wydał wyrok.

- Żebyś wiedziała! - mruknął pod nosem i nie oglądając się za siebie, wyszedł do sieni. Jeszcze zanim otworzył drzwi na dwór, Amandę przeszył powiew przenikliwego chłodu.

Kiedy Harry uporał się z pracami domowymi, razem ruszyli do stodoły.

- Mają ledwie parę dni - powiedział staruszek, gdy zatrzymali się przy boksie, w którym leżały cielątka. - Ale urosną, zwłaszcza jak sobie dobrze podjedzą. - Uśmiechnął się, wyjmując dwie okazałe butle ze smoczkami wypełnione ciepłą mieszanką karmy i mleka. - Niech pani usiądzie, tylko ostrożnie, żeby się nie wybrudzić - napomniął.

- Wypierze się! - Roześmiała się, ale w tej samej chwili przypomniała sobie, że nie ma nic na zmianę. Nie pozostawało jej nic

innego, jak wkrótce poprosić gospodarza, żeby zawiózł ją do chaty.

Przykleknęła na beli czystego siana i delikatnie wsunęła smoczek do pyszczka cielaka.

- Biedne sierotki - westchnęła, gładząc jedwabistą sierść.

- Niech się pani o nie nie martwi. One są bardzo wytrzymałe. Będą walczyć - pocieszył ją Harry, który karmił drugie zwierzę. - Zupełnie jak nasz szef.

- Wspomniał, że wszystko stracił. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co się stało?

Harry przyjrzał jej się uważnie. W końcu najwyraźniej uznał, że kierują nią szczerze pobudki.

- Chyba szef nie będzie miał mi za złe, że z panią o tym rozmawiam - odezwał się po chwili. - Został oskarżony o to, że sprzedawał zakażoną wołowinę.

- Zakażoną? Czym?

- To długa historia. Kiedyś szef kupił stado, które było zarażone odrą. - Uśmiechnął się, widząc jej zdziwienie. - Jest inna niż ludzka. Krowy nie dostają wysypki, za to w ich mięśniach powstają cysty. I wtedy trzeba zniszczyć wszystkie tusze. Niestety, nie widać tego gołym okiem, ani nie można wyleczyć zarażonych zwierząt, bo nikt nie wynalazł jeszcze na to lekarstwa. Chore zwierzęta z tego nowego stada zarażyły nasze stado, które Quinn odstawił do ubojni. Kiedy okazało się, że mięso trzeba zniszczyć, właściciel ubojni zażądał od niego zwrotu

pieniędzy. Niestety, Quinn zdążył już kupić za nie następne stado. Sprawa trafiła do sądu. Tam oczyszczono szefa z zarzutów o nieuczciwość i pozwolono dochodzić swoich praw. Pozwał więc do sądu człowieka, który sprzedał mu chore zwierzęta. Jednym słowem wyszliśmy z tego na czysto, ale musieliśmy zaczynać wszystko od zera. To było w zeszłym roku. Nadal jest ciężko, ale Quinn to twardy gość. Da sobie radę. Wierzę w niego.

- Tak, zwłaszcza że ma Elliota. Choćby dla niego musi walczyć - powiedziała, myśląc, że życie nie rozpieszcza Quinna Suttona. Podobnie jak jej.

- To prawda - mruknął Harry, przyglądając się jej spod oka - Elliot jest mu bardzo bliski - dodał po chwili namysłu. Ton jego głosu nie pozostawiał złudzeń, że są jeszcze sprawy, o których Amanda nie ma pojęcia.

Gdy Harry przygotowywał kolejną porcję karmy, myślała o tym, jak bardzo życie na farmie różni się od tego, które wiodła na co dzień. Ten świat pełen prostych, zdrowych wartości w niczym nie przypominał sztucznej rzeczywistości show biznesu. Kochała swoją pracę i lubiła występować na scenie, ale zdecydowanie nie potrafiła odnaleźć się w zblazowanym środowisku, które za nic ma tradycyjne wartości i drwi z moralności, wierności i honoru. Rzadko rozmawiała z ludźmi o tym, co myśli i czuje. Ukrywała swoje poglądy z taką samą determinacją, z jaką broniła swojej prywatności. Gdyby jej najbliżsi współpracownicy i

koledzy poznali prawdę o jej kompleksach i staroświeckich poglądach, pękliby ze śmiechu.

- Kolejny pacjent! - usłyszała za plecami.

Zaskoczona, odwróciła się w stronę wejścia, w którym stał Quinn z cielaczkiem na rękach. Na pierwszy rzut oka widać było, że łaciate, wychudzone stworzenie jest w jeszcze gorszym stanie niż jego dwaj krewniacy.

- Ma ostrą biegunkę - westchnął Quinn, kładąc cielaka obok niej na świeżym sianie. - Harry, przygotuj mu butelkę.

- Biedactwo - szepnęła, głaszcząc miękkie różowe nozdrza.

Zdziwił się, że Amanda tak bardzo się przejęła. Choć może nie powinien? Gdyby nie miała dobrego serca, nie przyjechałaby z Elliotem w środku nocy opiekować się obcym facetem, którego ani znała, ani lubiła.

- Obawiam się, że ten mały nie przeżyje - uprzedził ją. - Zbyt długo błąkał się sam na mrozie. Pastwiska zajmują olbrzymi teren - tłumaczył, broniąc się przed jej oskarżycielskim spojrzeniem. - Niestety czasem tracimy jakieś sztuki.

Pokiwała smutno głową. Harry przyniósł właśnie pokarm dla cielaczka, sięgnęła więc po butelkę. Dokładnie w tej samej chwili zrobił to Quinn. Ich dłonie zetknęły się na ułamek sekundy, ale Amanda szybko cofnęła rękę.

Quinn z wprawą zaczął karmić cielaka, który początkowo nie

chciał ssać, jednak po chwili zrozumiał, o co chodzi, i ciągnął łapczywie ciepły pokarm.

- Całe szczęście - szepnęła i uśmiechnęła się do Quinna. Popatrzyła prosto w jego oczy, nieodgadnione, ciemne, pełne sekretów. On zaś przeniósł spojrzenie na jej usta i przez chwilę patrzył na nie z takim wyrazem twarzy, jakby marzył o tym, by ją pocałować, i nienawidził siebie za to pragnienie. Natychmiast pojęła, co się z nim dzieje. Z nią również stało się coś dziwnego. Wiedziała przecież, jak trudnym, dominującym i upartym człowiekiem jest Quinn, powinna więc czuć do niego niechęć. Tymczasem wyczuwała w nim głęboko skrywaną, ujmującą wrażliwość. Zapragnęła dowiedzieć się prawdy o tym człowieku i poznać go lepiej.

- Wracaj do domu - powiedział szorstko. - Już nie jesteś tu potrzebna.

Działam na niego, pomyślała z satysfakcją. Doskonale wiedziała, że mu się podoba, choć on za nic w świecie nie przyzna się do tego, nawet przed samym sobą. Będzie walczył z tą fascynacją. Odgadła to po tym, w jaki sposób unikał jej wzroku i po zagniewanym spojrzeniu. Uznała, że nie ma sensu go prowokować.

- Rozumiem - powiedziała, wstając. - Znajdę sobie jakieś inne pożyteczne zajęcie.

- Możesz pomóc Harry'emu w kuchni.

- Czy będę mogła je karmić, dopóki jestem na farmie?

- Czemu nie - zgodził się, nie patrząc w jej stronę.

Stała przez chwilę, szukając jakichś sensownych słów, lecz dała za wygraną. Czuła się nienaturalnie onieśmielona i miała kompletną pustkę w głowie. Odwróciła się więc niechętnie i jak niepyszna ruszyła w stronę domu.

Harry nie potrzebował pomocy w kuchni, postanowiła więc zająć się prasowaniem. W garderobie znalazła deskę i stare żelazko, całe oblepione podejrzaną mazią. Już miała włożyć wtyczkę do gniazdka, gdy do pokoju wszedł Harry. Stał w progu jak wryty.

- Niech panienka to wyłączy! - zawołał, odzyskawszy mowę. - To żelazko Quinna! - Amanda miała ochotę odparować, że mu go nie zje, kiedy Harry zarechotał. - Do nart - wyjaśnił.

- Aha, prasuje sobie narty. Rozumiem.

- Naprawdę. Jeździ pani na nartach?

- Nie lubię huku tych oszalałych motorówek.

- Nie mówię o nartach wodnych, tylko o takich do jeżdżenia po śniegu.

Uśmiechnęła się.

- Pochodzę z południa Missisipi. Tam nie ma śniegu.

- To całkiem inaczej niż my. Quinn miał nawet startować na olimpiadzie w slalomie gigancie, ale właśnie wtedy się ożenił i Elliot przyszedł na świat, musiał więc zrezygnować ze sportu. Nadal sporo jeździ. - Harry pokiwał głową z uznaniem. - Nawet pod szczytem

Ironside. Tylko on jeden i jeszcze paru śmiałków z chaty Larry'ego ma odwagę tam jeździć.

- Nie przypominam sobie, że bym widziała ten szczyt na mapie - zdziwiła się. Przed przyjazdem starannie studiowała plany i przewodniki po okolicy.

- Bo to nie jest oficjalna nazwa. Quinn go tak nazwał. Wracając do nart, on używa tego żelazka do ich smarowania. Niech się pani tak nie przejmuje, ja sam wysmarowałem mu niejedną koszulę.

Chwilę później, prasując ubrania właściwym żelazkiem, rozmyślała o ukrytych walorach enigmatycznego Quinna Suttona. Co cztery lata oglądała w telewizji transmisje z zimowych olimpiad, z wypiekami na twarzy śledząc dyscypliny zjazdowe. Wydawało jej się, że slalom gigant wymaga od narciarzy specyficznych predyspozycji: zawodnik, który staje na starcie, musi być nie tylko szalenie odważny i piekielnie szybki, lecz także bezwzględny i zdolny do skoncentrowania się na jednym celu, którym jest meta. Wcale nie była zaskoczona, że Quinn osiągnął mistrzostwo w tej dyscyplinie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Amanda odkryła, że prace domowe sprawiają jej przyjemność. W czasie gdy Quinn doglądał gospodarstwa, prała, prasowała i przyszywała guziki do jego koszul.

Siedziała właśnie nad którąś z nich, oglądając jednym okiem stary serial kryminalny, gdy Quinn wrócił do domu razem z Elliotem.

- Jejku, ale śniegu napadało. Tata musiał wyjechać po mnie saniami, bo autobus jeździ tylko główną drogą - relacjonował chłopiec, rozgrzewając przy kominku zmarznięte dłonie.

- A propos sań - przypomniała sobie Amanda - chciałabym dostać się jakoś do mojej chaty i zabrać stamtąd parę rzeczy. Przepraszam za kłopot, ale muszę w końcu zmienić ubranie.

- Nie ma sprawy, zaraz cię tam zawiozę - powiedział Quinn. - Ty też możesz z nami jechać. Wkładaj kurtkę - zwrócił się do Elliota, budząc tą zaskakującą propozycją jego niemałe zdumienie.

Domyśliła się, że Quinn nie chce zostać z nią sam na sam. Nie czuła się zbyt pewnie w jej towarzystwie. Bał się tego, co czuje, gdy jest blisko niej. Ciekawe, dlaczego widzi we mnie takie straszne zagrożenie? - pomyślała.

- Nie musisz tego robić - burknął, wskazując koszulę, którą dopiero co pozszywała.

- Nie muszę, ale chcę. Tylko w taki sposób mogę ci się odwdzięczyć za pomoc. Poza tym nie lubię siedzieć z założonymi



rękami. Jeśli nie mam nic do roboty, zaczyna mnie nosić.

Po chwili wahania wziął koszulę z jej kolan i w milczeniu obejrzał równiutki ścieg. Potem ostrożnie odłożył ją na sofę i nie patrząc na Amandę, wyszedł do sieni.

Gdy dojechali do chaty Durninga, Amanda wzięła się do pakowania swoich rzeczy. Elliot tymczasem obszedł wszystkie pomieszczenia.

- Dlaczego na kuchennym blacie leży tyle noży? - zainteresował się.

- Zastępowały mi pałeczki.

- Takie do jedzenia?

- Coś ty! Do grania! Chcesz posłuchać? - Odstawiła walizkę i upewniwszy się, że czekający na zewnątrz Quinn jej nie usłyszy, wykonała na blacie dynamiczny kawałek.

- Dobra jesteś! - W głosie Elliota brzmiał szczery podziw.

- Dzięki! - Złożyła wytworny ukłon. - Mam jakie takie pojęcie o perkusji, ale zdecydowanie lepiej radzę sobie z keyboardem. Idziemy!

Gdy wychodzili, Elliot szarmancko pomógł jej nieść walizkę. Patrząc na jego roześmianą buzię i ufne niebieskie oczy, kolejny raz pomyślała o tym, że absolutnie w niczym nie przypomina swojego ojca. Domyślała się, że chłopiec odziedziczył urodę po matce, intrygowało ją jednak, dlaczego nie ma w nim śladu podobieństwa do Quinna.

Tymczasem on czekał na nich w saniach, paląc nerwowo

papierosa. Ledwie usadowili się na drewnianej ławce, zaciął konia, który natychmiast ruszył klusem. W powietrzu wirowały delikatne płatki śniegu, niesione niezbyt silnym wiatrem. Mróz nie był duży, ale i tak szczypał wnoś i policzki. Amanda oddychała głęboko i nie dbając o to, że kaptur zsunął jej się z głowy, wystawiała twarz na mroźne podmuchy. Po raz pierwszy od dawna czuła, że żyje. Wypełniała ją energia i wewnętrzna radość płynąca z samego faktu istnienia. Majestatyczna potęga gór i niczym nieskażona przyroda kołysły jej nadwreżoną psychikę, powodując, że powoli odzyskiwała równowagę i spokój.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał zniecierpliwiony Quinn.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo! To najwspanialsze miejsce na ziemi!

Przytaknął. Dłuższą chwilę badał wzrokiem jej twarz zaróżowioną od mrozu i emocji, a potem skupił się na drodze. Nagle jakby przygasł. Spoglądając na jego ściągnięte rysy, pomyślała, że jest zły.

Nie myliła się. Nim dzień dobiegł końca, Quinn zamknął się w sobie jak ślimak w skorupie i dawał wszystkim do zrozumienia, że życzy sobie, by zostawiono go w spokoju. Do Amandy nie odzywał się prawie wcale.

- Ma chandrę - powiedział Elliot pobłażliwie, gdy wieczorem szli z Amandą do swoich pokoi. - Rzadko mu się to zdarza i na szczęście nie trwa długo, ale jak go dopadnie, to lepiej schodzić mu z drogi.

- Wezmę to sobie do serca - obiecała, podnosząc dłoń jak do

przysięgi.

Jak powiedziała, tak zrobiła, choć prawdę mówiąc, niewiele to pomogło. Przez cały następny ranek Quinn był dla niej tak niesympatyczny, że czuła się w jego domu jak intruz. Na szczęście wyszedł wczesnym popołudniem i zapowiedział, że wróci dopiero na kolację.

Popołudnie minęło jej na zwykłych domowych zajęciach, z których najmilszym było dokarmianie osieroconych cieląt. Po powrocie ze stajni zajęła się nakrywaniem do stołu przed wspólnym wieczornym posiłkiem. Właśnie kończyła kroić ciasto, które wcześniej upiekła wspólnie z Harrym, gdy z podwórza dobiegł znajomy dźwięk sań. Kiedy na ganku zadudniły ciężkie, miarowe kroki Quinna, poczuła, że jej serce zaczyna bić mocniej.

Wszedł do środka, wnosząc za sobą mroźny powiew. Na widok Amandy, która osłonięta białym fartuchem stawiała na stole miskę parujących ziemniaków, stanął jak wryty.

- Widzę, że czujesz się tu jak u siebie - zauważył cierpko.

Zaskoczył ją tym atakiem, choć powinna była być na to przygotowana.

- Wyreżam Harry'ego - wyjaśniła. - Karmi cielaki.

- Zauważyłem.

Amanda przez cały czas przyglądała mu się ukradkiem, ciesząc oczy widokiem jego zgrabnej, wysokiej sylwetki. Patrząc na niego, nie

mogła powstrzymać się od smutnej refleksji, że chociaż mieszka z Elliotem i Harrym, jest w gruncie rzeczy bardzo samotnym człowiekiem. Musiała chyba ściągnąć go wzrokiem, bo niespodziewanie odwrócił się w jej stronę i przyłapał ją na tym, że go obserwuje. Pewnie domyślił się, co jej chodzi po głowie, bo w jego oczach natychmiast zapłonął gniew.

Podszedł do zlewu i gwałtownym ruchem odkręcił kran, by umyć ręce. Ta z trudem hamowana złość jedynie podsyciła w niej ciekawość. Niewiele myśląc, sięgnęła po ręcznik i podszedłszy do niego, delikatnie owinęła go wokół jego rąk. Spojrzała mu przy tym głęboko w oczy i celowo dotknęła dłonią jego dłoni.

Zdawało mu się, że czas stanął w miejscu. Zaskoczony jej zachowaniem, na ułamek sekundy wstrzymał oddech. Dotyk ciepłych kobiecych rąk obudził w nim śpiące demony. Głód uczuć. Złość. Tęsknotę. Pożądanie. Od tych emocji aż zakręciło mu się w głowie. Na dodatek spowił go jej zapach: świeży, słodki, bardzo zmysłowy. Przeklinając w duchu swoją słabość, bezradnie przylgnął wzrokiem do jej pełnych warg. Naraz przyszła mu go głowy szalona myśl: a gdyby tak ją pocałował? Od bardzo dawna nie całował ani nie przytulał żadnej kobiety. Amanda zaś, ze swoją zmysłową kobiecością, sprawiała, że znowu czuł się mężczyzną. Pragnienie, by wziąć ją w ramiona, było tak silne, że aż bolesne.

Nie, nie wolno ci tego robić, nakazał sobie stanowczo. Uleganie

pokusie to prosta droga do zatracenia. Nie można zapominać, że ta kobieta jest jeszcze jedną podłą i zdradziecką istotą, która z nudów wypróbowała na nim swoje sztuczki. Na pewno uważa go za łatwą zdobycz. Zabawi się jego kosztem, a potem go wyśmieje. Wzburzony, gwałtownie wyszarpnął ręcznik z jej dłoni.

- Przepraszam... - szepnęła, szybko cofając rękę. Poczowała, jak od czubka głowy do pięt przepływa nieprzyjemna fala gorąca. Doskonale знаła to obrzydliwe uczucie, które pojawiała się zawsze wtedy, gdy ogarniał ją paniczny lęk. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że w zachowaniu Quinna kryje się ogromna agresja: dowód na to, iż nie ma pełnej kontroli nad swoimi emocjami. Właśnie tego oczekiwała ze strony mężczyzny. Agresji. Tyle już razy padła jej ofiarą. To przez nią zdecydowała się na desperacki krok, jakim była ucieczka z domu.

- Nie przyzwyczajaj się znowu do tej kuchni - warknął, gdy odsunął się od niego, podeszła do kuchenki, żeby zamieszać sos. - Ten teren należy do Harry'ego, a on nie lubi intruzów. Pamiętaj, że jesteś tu tylko gościem.

- Nie zapomniałam o tym - odparła, mierząc go gniewnym wzrokiem. Nie musi być aż tak nieuprzejmy. - Wyniosę się stąd, jak tylko przyjdzie odwilż.

- Oby jak najszybciej - burknął, żałując, że w porę nie ugryzł się w język.

- Jest pan ujmująco gościnny, panie Sutton - odparowała. -

Naprawdę, czuję się tu jak u siebie. Jest pan rewelacyjnym gospodarzem. Nie ma pan trochę trutki na szczury?

Z trudem powstrzymał się od śmiechu. Ponieważ nie chciał się z tym zdradzić, czym prędzej uciekł do swojego pokoju. Wrócił wprawdzie na kolację, ale zaraz po posiłku znów udał się do siebie, by swoim zwyczajem zająć się rachunkami.

Amanda została z Elliotem. Najpierw obejrzeni film w telewizji, a potem przystąpili do kolejnej lekcji muzyki.

- Doskonale ci idzie - chwaliła go, kiedy popisywał się przed nią znajomością tonacji C - dur. - Pora przejść do G - dur.

Chłopiec pojawił w lot, o co chodzi. Zauważył jednak, że Amanda, zajęta rozpamiętywaniem potyczek z Quinnem, słucha go z roztargnieniem.

- Coś cię gryzie? - zapytał domyślnie.

Wzruszyła ramionami.

- Twój tata jest niezadowolony, że z wami mieszkam.

- To normalne. Nie lubi kobiet. - Elliot nie wyglądał na zmartwionego. - Wiesz o tym, prawda?

- Wiem. Ale nie rozumiem dlaczego?

- Przez moją mamę. Podobno wyrzuciła mu wielką krzywdę, ale nie wiem jaką. Tata nigdy o tym nie mówi. Mam w pokoju jedno jej zdjęcie.

- Pewnie jesteś do niej podobny, co?

- Chyba tak. Ona też miała rude włosy i piegi. Bardzo żałuję, że nigdy nie będę taki jak tata - wyznał. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że mimo to się mną opiekuje. Myślę, że to fajnie, że mnie lubi.

Była zdumiona. Co za przedziwny sposób mówienia o własnym ojcu! Korciło ją, żeby zapytać Elliota, co miał na myśli, ale uznała, że jest na to zbyt wcześnie. Postanowiła ukryć ciekawość pod maską humoru.

- „Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się waszym filozofom” - zacytowała z komiczną powagą.

- „Hamlet”! - ucieszył się Elliot. - Szekspira! Niedawno przerabialiśmy go na angielskim.

- Wysoka kultura w wysokich górach! - zawołała.

- Daj spokój z kulturą! Ja i tak wolę rocka. Zagraj coś - poprosił teatralnym szeptem.

Skinęła głową w stronę zamkniętych drzwi pokoju Quinna.

- Coś spokojnego - zastrzegła.

- Właśnie że nie! - zaprotestował. - Dajmy mu czadu!

- Elliot!

- Trzeba go rozruszać. Zachowuje się jak stara panna. Kiedy po mszy zagadnie go jakaś niezamężna kobieta, robi się czerwony jak burak! I nie wie, co powiedzieć. A odkąd cię tu przywiozłem, w ogóle nie można z nim wytrzymać! Musimy go ratować! Graj!

Westchnęła.

- Jak uważasz... Ale pamiętaj, że ryzykujesz życie - mówiła żartobliwie, ustawiając z wprawą suwaki. Włączyła automatyczny rytm i akordy i maksymalnie podkreśliła głośność. Uśmiechnęła się figlarnie do Elliota i z łobuzerskim uśmiechem zaczęła grać najnowszy przebój zespołu, który rywalizował z Desperado.

- Wielkie nieba! - Za zamkniętymi drzwiami gabinetu Quinna rozległ się wściekły ryk.

Amanda natychmiast wyłączyła keyboard i wcisnęła go w rękę Elliotowi.

- Nie! - zaprotestował, ale było już za późno. Quinn wpadł do pokoju, zanim chłopiec pozbył się obciążającego go dowodu przestępstwa.

- Tato, to nie ja! To ona! - zawołał, oskarżycielsko wyciągając palec w jej stronę.

- Chyba nie sądzisz, że odważyłabym się grać tak głośno, wiedząc, że sobie tego nie życzysz - powiedziała z miną niewiniątka.

Quinn przyjrzał jej się z ukosa, po czym przeniósł pytające spojrzenie na syna.

- Tato, ona kłamie! - bronił się Elliot. - Tak samo jak ten facet w reklamie ciężarówek!

- Albo będziecie grali ciszej - odezwał się Quinn ponuro, rezygnując z dochodzenia prawdy - albo to cholerne pudło trafi zaraz na śmietnik. Nie chcę tu słyszeć żadnego rocka! Załóżcie słuchawki!



- Yes, sir! - zsalutował Elliot.

Amanda natychmiast poszła w jego ślady.

- Będzie, jak pan rozkazał, ekscelencjo! - zawołała, naśladowując hiszpański akcent. - Pana życzenie jest dla nas rozkazem! Do usług!

Odpowiedział jej donośny huk zatrzaskiwanych drzwi. Amanda z głośnym śmiechem opadła na sofę.

- Ale ty jesteś! - obruszył się Elliot i w odwecie rzucił w nią poduszką. - Okłamałaś tatę! I na dodatek zwałaś na mnie całą winę! Jak mogłaś?!

- Nie wiem, co mi odbiło - wysapała, z trudem łapiąc oddech. - Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

- Zobaczysz, on się zemści - prorokował chłopiec. - Nie zmrzy oka przez całą noc i na pewno wymyśli jakąś straszną karę. Weźmie nas na przeczekanie, a potem, kiedy nie będziemy się niczego spodziewali, pach! I już po nas.

- Chętnie się poświęcę, jeśli ma mu to pomóc. Chodź, przećwiczymy jeszcze raz G - dur.

Elliot ochoczo podchwycił jej propozycję, ale zanim zaczął grać, przyciszył instrument.

Parę minut przed dziewiątą Quinn wyszedł z pokoju, żeby zagonić Elliota do łóżka.

- Odrobiłeś lekcje? - zawołał za chłopcem, gdy ten był już na schodach.

- Prawie! - odkrzyknął Elliot.

- Co to znaczy, prawie?

- To znaczy, że dokończę jutro z samego rana. Pa, tato!

Na górze stuknęły drzwi.

- Tak nie może być - zniecierpliwiał się Quinn, patrząc srogo na Amandę. - Elliot doskonale wie, że najpierw jest praca domowa, a potem przyjemności. Muzyka to miłe hobby, ale nie da się z niej wyżyć.

Czemu nie da, chciała zapytać, myśląc o długim rządku zer na swoim koncie w banku. Powstrzymała się jednak od komentarza.

- Obiecuję, że będę pilnowała, żeby odrobił lekcje, zanim zaczniemy grać - powiedziała potulnie.

- Trzymam cię za słowo. A teraz chodźmy spać - burknął bez cienia humoru.

Teatralnym gestem skrzyżowała ręce na piersiach i patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, zawołała:

- Spać?! Razem?! Panie Sutton!

Ten żart wyraźnie nie przypadł mu do gustu.

- Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż miałbym się znaleźć z tobą w łóżku - wycedził, mierząc ją lodowatym wzrokiem. - Chyba już ci jasno powiedziałem, że nie poważam rzeczy z drugiej ręki.

- Twoja strata - odparła obojętnie, walcząc z pokusą, żeby chwycić lampę i wyrznąć go nią w ten jego zakuty łeb. - Im bogatsze doświadczenie, tym wyższa cena - oznajmiła, przechylając uwodziciels-

ko głowę. Z rozmysłem przesunęła dłońmi po szczupłej talii i oparła je na biodrach, cały czas obserwując, jak Quinn zareaguje na tę jawną prowokację. - Mam ogromne doświadczenie. - Posłała mu wyzywający uśmiech. Owszem, miała doświadczenie, ale w muzyce, nie w miłości.

- To widać - rzucił drwiąco. - Zachowaj swoje talenty dla siebie. I lepiej nie demoralizuj mojego dziecka.

- Skoro tak się troszczysz o jego zdrowy rozwój, to dlaczego trzymasz go pod kloszem? - zapytała całkiem poważnie. - Dlaczego zabraniasz mu oglądania filmów i słuchania muzyki? Nie boisz się, że wyrośnie na człowieka, który nie będzie miał własnego zdania?

- Nie zapominaj, że on ma dopiero dwanaście lat.

- Aż dwanaście! A ty nie robisz nic, żeby przygotować go do życia w prawdziwym świecie.

- Tutaj jest prawdziwy świat, a nie w wielkim mieście, gdzie kobiety twojego pokroju włączają się po knajpach i podrywają facetów.

- O, przepraszam! - Podniosła rękę w geście protestu. - Ja wcale nie podrywam facetów w barach. Wolę grasować w parku i tam z upodobaniem obnażam się przed emerytami.

- Wygrałaś! - Zrezygnowany machnął ręką i ruszył w kierunku schodów.

- Gdzie śpimy? U ciebie czy u mnie?

Błyskawicznie obrócił się w jej stronę. Prowokowała go, stroiła sobie z niego żarty. Nie mógł znieść myśli, że bawi się jego kosztem.

Zacisnął zęby i pięści. Jeszcze chwila, a chwyciłby ją z całej siły za ramiona i mocno potrząsnął.

- Dobra, wycofuję się. - Wyczuła, że swoim zachowaniem doprowadziła go do kresu wytrzymałości, a nie miała dość odwagi, by sprawdzać, co będzie, gdy przekroczy tę cienką granicę. - Dobranoc. Słodkich snów!

Nie odpowiedział. Ponury jak chmura gradowa poszedł za nią na górę. Zaczekał, aż zniknie w swoim pokoju, potem wszedł do siebie i zamknął drzwi na klucz, celowo robiąc przy tym sporo hałasu. Nagle zaczął się śmiać, rozbawiony swoją przezornością. Miał jednak nadzieję, że Amanda usłyszała zgrzyt klucza w zamku.

Owszem, dotarło to do niej. W pierwszej chwili zdziwiła się, szybko jednak pojęła, że zamykając ostentacyjnie drzwi na klucz, chciał ją po prostu zranić. Z głośnym westchnieniem położyła się w ubraniu na nierozesłanym łóżku. Nie miała pojęcia, co zrobić z Suttonem. Sytuacja powoli stawała się poważna. Najważniejsze jest zachować odpowiedni dystans. W końcu to tylko przelotna znajomość. Trzeba o tym pamiętać.

Quinn udzielał sobie identycznych rad. Wystarczyło jednak, że zamknął oczy, a ta niebezpieczna kobieta dopadła go i osaczyła nawet w snach. Znów czuł na ciele delikatne muśnięcia jej jedwabistych włosów. Obudził się w środku nocy wymęczony i mokry od potu. Do rana już nie zmrużył oka.

Gdy następnego ranka wszyscy spotkali się przy śniadaniu, nie odezwał się do niej słowem. Dopiero kiedy Elliot wyszedł do szkoły, oznajmił, że nie życzy sobie, żeby zajmowała się jego garderobą.

- Nie jestem trędowata - obruszyła się. - Nie bój się, że cię zarażę.

- Powiedziałem, żebyś trzymała się z dala od moich rzeczy. To działka Harry'ego.

- Jak sobie życzysz. Jeśli wolisz, zacznę dziergać koronkowe poduszki na twoje łóżko.

W odpowiedzi rzucił tak grube przekleństwo, że z wrażenia aż oniemiała. Pierwszy raz z jego ust padły tak niecenzuralne słowa. On sam również nie był tym zachwycony. Z tego wszystkiego całkiem stracił apetyt, odsunął talerz z niedokończoną jajecznicą i wstał od stołu.

Podczas gdy szykował się w sieni do wyjścia, Amanda bezmyślnie grzebała widelcem w swojej porcji. Było jej przykro, że tak mu dokucza. Co za licho kusi ją, żeby wciąż się z nim droczyć? Tym razem chyba przeholowała; przez jej głupie żarty wyszedł z domu prawie bez śniadania. Na swoją obronę miała tylko to, że złośliwością próbowała odwrócić jego uwagę od oczywistego faktu, że coraz bardziej ją pociąga.

- Pójdę nakarmić cieleta - powiedziała po chwili.

- Niech się pani ciepło ubierze - poradził Harry. - Znowu zaczął padać śnieg.

Rzeczywiście, jak się za chwilę przekonała, podwórze zasypane było świeżym puchem. Idąc do stodoły po śladach Quinna, obiecywała

sobie, że nigdy już nie będzie narzekała na łagodną zimę w mieście.

Miała zamiar zacząć od przygotowania butelek z karmą, ale okazało się, że Quinn ją ubiegł.

- Nie musisz chodzić za mną krok w krok - powiedziała z szelmowskim uśmiechem. - Już dawno zauważyłam, jaki jesteś piekielnie przystojny.

Głośno zaczerpnął powietrza, nim jednak zdążył coś powiedzieć, podeszła do niego i położyła dłoń na jego chłodnych wargach.

- Panie Sutton, będzie mi bardzo przykro, jeśli znowu zaczniesz pan przeklinać - powiedziała stanowczo. - Zaraz zajmę się karmieniem zwierząt i będę pana podziwiała z daleka. To zdecydowanie bezpieczniejsze niż rzucanie się panu w ramiona.

Nie wiedział, czy ją odepchnąć, czy pocałować. Przez dłuższy czas patrzył w milczeniu na jej zaróżowione policzki i lśniące, rozchylone wargi. Gdy oparła dłonie na wielkim kołnierzu jego kożucha, przyciągnął ją do siebie.

- Powiedz mi wreszcie, czego ty chcesz? - zapytał głucho, biorąc ją pod brodę. W jego ciemnych oczach tliły się złość i niepokojący smutek.

- Uśmiechu, dobrego słowa i odrobiny radości - odparła, czerwieniąc się pod wpływem jego przenikliwego spojrzenia.

- Niczego więcej?

- Owszem, chciałabym nakarmić zwierzęta. Po to tu przyszłam - szepnęła drżącym głosem.

- Prawda - mruknął, lecz zamiast ją puścić, tak mocno zacisnął palce na jej ramionach, że nawet przez grube rękawy kurtki czuła ten stalowy uścisk. - Nie baw się ze mną w kotka i myszkę - powiedział głosem tak lodowatym jak wiatr hulający na zewnątrz. - Żyjemy tu na odludziu, a ja od bardzo dawna nie byłem z kobietą. Jeśli nie jesteś naprawdę taka, na jaką pozujesz, uważaj, żebyś nie napytała sobie biedy - ostrzegł.

Patrzyła mu w oczy, nie bardzo rozumiejąc, co chciał jej powiedzieć. W miarę jak powoli docierał do niej sens jego słów, robiło jej się coraz bardziej gorąco.

- Grozisz mi? - wyjąkała.

- Zgadłaś, Amando - wycedził przez zęby, po raz pierwszy używając jej imienia. - Uważaj, żebyś wbrew własnej woli nie musiała dokończyć zabawy, którą zaczęłaś. Uprzedzam, że nie pomoże ci wtedy nawet to, że w pobliżu będą Harry i Elliot.

Nerwowo zagryzła wargi. Takiego finału nie wzięła pod uwagę. Zrozumiała, że Quinn nie żartuje. Nigdy dotąd nie wydawał się jej tak poważny i niebezpieczny. W jego oczach dostrzegła ogień, który w nim buzował.

- Zrozumiałam - powiedziała po chwili. Puścił ją i bez słowa podał jej butelki z karmą.

Przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

- Obiecuję, że nie rzucę się na ciebie od tyłu - szepnęła mocno

zażenowana. - Nieczęsto zdarza mi się gwałcić mężczyzn.

Uniół brwi, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- Szurnięta erotomanka - mruknął pod nosem.

- Pan Akuratny! - odcięła się.

Tym razem kąciki jego warg lekko się uniosły.

- Trafiaś w dziesiątkę - przyznał. - Nie oddalaj się od domu, bo się nam zgubisz w tej śnieżycy. A tego byśmy sobie nie życzyli.

- Akurat ci wierzę! - Gdy się odwrócił, pokazała mu język.

Poruszona niedawną konfrontacją, przyklękła i zaczęła karmić zwierzęta. Quinn Sutton to zagadka. Miała wrażenie, że pod koniec tego spotkania pozwolił sobie zażartować. Lecz przeczyła temu jego pokerowa twarz. Nie był człowiekiem skłonny do żartów.

Pomimo jej usilnych starań cielak nie chciał ssać. Położyła go więc delikatnie na sianie i zasmucona wróciła do domu. Przez resztę wieczoru siedziała cicho, a kiedy Quinn wyłączył o dziewiątej telewizję, bez słowa protestu poszła na górę. Jej zachowanie było na tyle dziwne, że Quinn i Elliot wymienili za jej plecami pytające spojrzenia.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka przy śniadaniu Amanda była cicha i milcząca, Quinn zaś bezustannie rzucał jej oskarżycielskie spojrzenia. Ona szczerze żałowała swojego nierozsądnego postępowania i gotowa była zrobić wszystko, byle tylko nie pogarszać ich wzajemnych relacji, on natomiast wietrzył nowy podstęp.

Nieszczęście polegało na tym, że Quinn coraz bardziej pociągał ją i fascynował. Im dłużej go znała, tym bardziej wydawał się jej atrakcyjny. Bardzo się różnił od powierzchownych i egoistycznych materialistów, których spotykała na każdym kroku w kręgach show - biznesu. Był okropnie uparty i zaciekle bronił swoich poglądów. Kierował się w życiu prawdziwymi wartościami i nie wstydził się do tego przyznać. Dla niego słowo honor wcale nie było pustym dźwiękiem. Lecz pod szorstką powierzchownością biło wrażliwe i czułe serce. Tym bardziej więc nie mogła sobie darować, że to przez nią jej znajomość z Quinnem miała tak niefortunny początek.

Wymyśliła nawet, że zacznie zachowywać się zgodnie ze swoją prawdziwą naturą. Nadal więc była uprzejma, uczynna i troskliwa. Prała, prasowała i przygotowywała posiłki, lecz jej wysiłki przynosiły odwrotny skutek. Nawet Harry był zaskoczony grubiańskim zachowaniem swego chlebobawcy.

Domyślała się, co jest przyczyną rozdrażnienia Quinna. Uznała, że chociaż kiedyś był żonaty, zachowuje się jak ktoś, komu brakuje

doświadczenia z kobietami. Mogłaby to napięcie między nimi rozładować, prowokując go, by się nieco przed nią otworzył.

Kiedy Elliot wrócił ze szkoły, uprzedziła go, że jeśli ma ochotę na lekcję muzyki, najpierw musi odrobić lekcje. Chłopiec był wyraźnie rozczarowany, lecz nie próbował dyskutować. Zerknął tylko domyślnie w stronę ojca, zabrał zeszyty i posłusznie poszedł na górę.

Quinn i Amanda zostali sami w salonie, by obejrzeć wieczorne wiadomości, które jak zwykle przynosiły informacje o samych nieszczęściach i tragediach.

- Tęsknisz za miastem? - zapytał niespodziewanie.

- Tak. Zwłaszcza za przyjaciółmi. Ale tutaj też mi się podoba - powiedziała, podchodząc ostrożnie do jego fotela. Zastanawiała się nad następnym posunięciem. - Mam nadzieję, że jakoś ze mną wytrzymasz? - zapytała w końcu.

- Przyzwyczajam się - odparł chłodno. - Ale to nie znaczy, że możesz się tu zasiedzieć.

- Wolałbyś, żeby mnie tu nie było?

- Mówiłem już, że nie lubię kobiet - mruknął z irytacją.

- Dlaczego? - Przysiadła na poręczu fotela.

Zastygł w bezruchu, zaniepokojony jej bliskością. Po pierwsze, dopuścił ją zbyt blisko siebie. Po drugie, była zbyt kobieca. Po trzecie, drażnił go jej słodki zapach.

- Mam swoje powody. Usiądź gdzie indziej.

Rozdrażnienie w jego głosie sprawiło jej satysfakcję. Nie jest mu obojętna!

- Na pewno chcesz, żebym usiadła gdzie indziej? - Uśmiechnęła się zalotnie, pochylając się nad nim. Powoli zsunęła się z poręczy na jego kolana i zaczęła go całować.

Zesztywniał. Potem chwycił ją kurczowo za ramiona. Nie odepchnął jej jednak i przez jedną słodką chwilę z cichym jękiem odwzajemnił pocałunek, o którym marzył od tak dawna. Ułamek sekundy później oszołomienie ustąpiło miejsca oburzeniu i złości. Quinn zerwał się z fotela i odepchnął ją z taką siłą, że straciła równowagę i zataczając się, opadła na sofę.

- Ty dziwko! - Kipiał gniewem.

- To nieprawda - szepnęła roztrzęsiona.

- Tak cię przypiliło, że za wszelką cenę chcesz mnie zawlec do łóżka? - Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem. - Nic z tego. Już mówiłem, że nie interesuje mnie to, co dajesz każdemu! Nie chcę twojego zbrukanego ciała!

Podniosła się. Czuła, że kolana ma jak z waty. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Odżyło koszmarne wspomnienie ojca, który w pijackim szale zachowywał się i wyglądał tak samo jak Quinn. Miał jak on kredowobiałą twarz, obłęd w oczach, na czoło wystąpił mu zimny pot. Gdy tracił nad sobą kontrolę, zaczynał ją bić.

Kiedy Quinn zrobił krok w jej stronę, obróciła się i w panice

wybiegła z pokoju.

Nie ruszył za nią. Była przerażona. Dlaczego? Powiedział jej tylko szczerą prawdę, a ta, jak wiadomo, w oczy kole. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mógł się pomylić, nazywając ją dziwką.

Usiadł w fotelu i bezmyślnie zapatrzył się w telewizor. Był tak zajęty swoimi myślami, że nie zauważył, gdy do pokoju wszedł Elliot.

- Tato, dokąd Amanda poszła?

- Co takiego?

- Pytam, dokąd poszła Amanda. Widziałem przez okno, jak wybiegała przed dom. Chyba zapomniała, co jej mówiłeś o siódmym McNabera, bo poleciała w tamtą stronę. Tato, dokąd idziesz?!

Quinn jednym skokiem dopadł sieni i chwycił kożuch.

- Płakała - powiedział półgłosem Harry. - Nie wiem, co jej powiedziałaś, ale...

- Zamknij się! - zgromił go Quinn, po czym wybiegł z domu. Szedł po śladach Amandy, ale już zniknęła mu z oczu. Z przerażeniem myślał, co będzie, jeśli wpadnie w przysypane śniegiem pułapki. Wiedział, że jeśli to żelastwo wbije się w jej delikatne ciało i pogruchocze kości, to stanie się tak z jego winy, ponieważ to on tak ją przestraszył.

Kilkadziesiąt metrów przed nim Amanda, zapłakana i wściekła przedzierała się przez las. Zasapana życzyła Quinnowi, żeby przez zimę zjadły go mole, żeby koń go kopnął, żeby przejechały go sanie, wciskając tak głęboko w śnieg, by odnaleziono go dopiero po

wiosennych roztopach! To był tylko pocałunek!

Gorące łzy znowu popłynęły po jej zmarzniętych policzkach. Nie musiał jej aż tak poniżać za to, że go pocałowała! Chciała tylko przełamać lody. Lecz on jej nienawidzi. Wyczytała to w jego wzroku, gdy obrzucał ją wyzwiskami. Drugi raz go nie pocałuje!

Zatrzymała się na sekundę dla złapania tchu i zaraz ruszyła dalej. Jej chata powinna być już niedaleko. Jej noga nie postanie na ranczu Suttona! Zostanie u Durninga, choćby miała tam zamarznąć na śmierć albo dzielić pokój z niedźwiedziem grizzly! Czy one rzeczywiście żyją w tych stronach?

- Amanda! Stój!

Zaczęła nasłuchiwać. Nie była pewna, czy ktoś rzeczywiście ją woła, czy to tylko wiatr. Pomiedzy pniami strzelistych sosen dostrzegła zarys chaty przycupniętej w dolinie. To nie był domek Durninga. McNaber?

- Amanda!

Już nie miała wątpliwości, że ktoś ją woła. Przestraszona zerknęła przez ramię i natychmiast rozpoznała wysoką postać w kożuchu i charakterystycznym kapeluszu.

- Wypchaj się, panie Akuratny! - wrzasnęła z całych sił. - Wracam do siebie!

Ruszyła naprzód. Quinn gonił ją bez większego trudu: był dużo silniejszy i szedł po jej śladach. Ostatecznie chwycił ją mocno w pól.

Próbowała z nim walczyć, rzucała się i kopała, okładała go pięściami. Na nic. Otoczył ją ramionami i trzymał, dopóki nie opadła z sił.

- Nienawidzę cię! - sapała, drżąc z zimna i emocji. - Nienawidzę cię, słyszysz?

- Dopiero byś mnie znienawidziła, gdybym cię nie zatrzymał. - Jemu również rwał się oddech. - Idiotko, szłaś prosto na chałupę McNabera! Jeszcze parę kroków i wlaźłabyś prosto na jego pole minowe z sideł i wnyków!

- Nie wmawiaj mi, że cię obchodzi, co by się ze mną stało - jęknęła. - Wściekasz się, że ci się kręcę po domu, a ja też mam powyżej uszu twojej gościnności. Wolę wrócić do chaty Durninga.

- Nie ma mowy! - oznajmił głosem nieznoszącym sprzeciwu. Nie zwalniając uścisku, obrócił ją i mocno potrząsnął. - Wracasz do mnie, jasne?!

Skuliła się, przestraszona tonem jego głosu. Spodziewając się najgorszego, starała się za wszelką cenę uwolnić z jego uścisku.

- Puść mnie! - Głos jej drżał. Miała sobie za złe takie tchórzostwo.

Quinn nareszcie pojawił, co się z nią dzieje, i natychmiast zwolnił uścisk. Cofnęła się, na ile pozwalał jej głęboki śnieg, i niczym spłoszona łania badała go czujnym spojrzeniem pociemniałych, przestraszonych oczu.

- Czy on cię bił? - zapytał cicho Quinn.

Nie musiała pytać, kogo miał na myśli.

- Tylko wtedy, kiedy był pijany. - Mówiła z trudem. - Pił bez przerwy. - Uśmiechnęła się gorzko. - Proszę, nie podchodź do mnie, dopóki nie ochłoniesz.

Wziął kilka głębokich oddechów.

- Przepraszam - mruknął, zaskakując ją. - Żałuję, że tak wyszło. Przysięgam, że nie odważyłbym się cię uderzyć. Tylko skończony łajdak albo tchórz podnosi rękę na kobietę.

Słuchała go w milczeniu.

- Wracajmy, bo zimno. - Jej bezradność go rozbroiła. Czuł się winny całej sytuacji, więc tym bardziej chciał się nią zaopiekować. Gdyby mógł, przytuliłby ją i kołysał w ramionach, dopóki się nie uspokoi. Wystarczyło jednak, że zrobił krok w jej stronę, a natychmiast się odsunęła. Jej przerażenie sprawiało mu przykrość. Nigdy by nie uwierzył, że to go aż tak zaboli. Bezradnie rozłożył ręce. - Obiecuję, że cię nie dotknę - powiedział łagodnie. - Chodź, mała. Jeśli chcesz, idź przodem.

Wzruszył ją czuły ton jego głosu i ta „mała”. Wiedziała jednak, że nie powinna traktować tego poważnie. Quinn po prostu nie wiedział, jak się zachować.

Westchnęła ciężko i minąwszy go bez słowa, wolno ruszyła pod górę. Szedł za nią, dziękując w myślach Bogu za to, że zdążył ją zatrzymać, zanim wpadła w sidła McNabera. Szkoda tylko, że jego porywczność doprowadziła do tego, że Amanda zaczęła się go bać.

Amanda weszła do domu pierwsza. Elliot i Harry czekali na nich w napięciu, wystarczyły im jednak ich miny, by nie zadawali pytań. Przy kolacji Amanda milczała i nie reagowała nawet na zaczepki Elliota, który chciał wciągnąć ją do rozmowy. Po posiłku zwinęła się w fotelu i udawała, że ogląda telewizję.

Quinn nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bolesne były wspomnienia z dzieciństwa, które w niej obudził swym zachowaniem. Jej ojciec po alkoholu zawsze był agresywny. Gdy trzeźwiał, żałował, że ją zbił. Rozczulał się nawet nad jej siniakami. Ale pić nie przestawał. Gdy nie mogła dłużej znieść jego okrucieństwa, uciekała z domu do pogotowia opiekuńczego. Personel placówki robił wszystko, by odbudować w podopiecznych wiarę w ludzką dobroć. Mimo wszystko były to smutne wspomnienia, a napaść Quinna od nowa je obudziła.

Gdy Harry i Elliot rozeszli się do swoich pokoi, Amanda również zaczęła zbierać się do odejścia. Wystarczyło jednak, że wstała z fotela, a Quinn spojrzał czujnie w jej stronę.

- Zostań - poprosił. - Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie ma o czym. - Wzruszyła ramionami. - Przepraszam cię za to, co się stało. Zachowałam się w sposób nieprzemyślany i nieodpowiedzialny. To się nie powtórzy. Jak tylko trochę się ociepli, wrócę do siebie i więcej mnie nie zobaczysz.

- Naprawdę myślisz, że tego chcę?

- Od samego początku dajesz mi do zrozumienia, że nie jestem tu



mile widziana.

- Wiem. - Westchnął ciężko. - Mam powody nie lubić kobiet. Nie o tym chcę rozmawiać - powiedział, odwracając oczy od jej zmęczonej twarzy. Gdy na nią patrzył, natychmiast zaczynał wspominać jej pocałunek. - Dlaczego myślałaś, że cię uderzę?

- Jesteś tak samo silny i potężnie zbudowany jak mój ojciec. A on, gdy wpadał w złość, zaczynał mnie bić.

- Nie jestem twoim ojcem - zauważył. - Gdybyś mnie znała, wiedziałabyś, że nigdy nikogo nie uderzyłem w napadzie złości. Z wyjątkiem paru facetów, którzy na to zasłużyli. Nigdy nie podniosłem ręki na matkę Elliota, chociaż nieraz miałem ochotę. Nie uderzyłem jej nawet wtedy, gdy powiedziała mi, że jest w ciąży.

- Chciałeś bić matkę własnego dziecka?! - oburzyła się.

Roześmiał się z przymusem.

- To nie było moje dziecko.

- Elliot nie jest twoim synem?! - Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jego matka miała romans z żonatym mężczyzną. Wpadła z nim i natychmiast zaczęła szukać naiwniaka który się z nią ożeni. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i o niczym nie miałem pojęcia. Ona była piękna, przebiegła i doświadczona. Zanim się obejrzałem, owinęła mnie sobie wokół palca. Zaraz po ślubie przyznała się do wszystkiego. Wyśmiała moje niezdarne zaloty i wyznała, że kiedy ją całowałem,

dostawała mdłości. Szeroko opowiadała o zaletach ojca Elliota. Oznajmiła, że go kocha. Zagroziła, że rozpowie w całym miasteczku, jak wyglądały moje zaloty. - Skulił się. - Miała mnie w garści. Byłem wtedy bardzo zakompleksiony i głupio dumny. Nie mogłem znieść myśli, że wszyscy będą śmiali się z mojej naiwności, więc potulnie znosiłem wszystkie upokorzenia. Tak było do czasu przyścia Elliota na świat. Krótco po tym jego matka i jej kochanek wybrali się gdzieś na miłosny weekend. Tak się spieszyli do motelu, że spowodowali wypadek, w którym oboje zginęli.

- Czy Elliot zna prawdę? - zapytała półgłosem.

- Oczywiście! Miałbym go przez całe życie okłamywać? Wychowuję go jak własnego syna. I szczerze mówiąc, nie interesuje mnie, kto naprawdę dał mu życie. Jest moim synem, a ja jego ojcem. I bardzo go kocham.

Przyglądała się uważnie ściągniętym rysom jego twarzy, odgadując, przez co przeszedł.

- Kochałeś ją, prawda?

- To była szczenięca miłość. Matka Elliota odgadła, że desperacko pragnę miłości, i wykorzystała to. Nie miałem powodzenia u dziewczyn. Byłem zbyt niezdarny i nieśmiały. Czułem się samotny, a ona jako pierwsza zainteresowała się mną i zaczęła uwodzić. Byłem łatwym celem. - Wzruszył ramionami. - Zafundowała mi niezłą szkołę życia. Nigdy nie zapomnę, czego nauczyłem się od niej o kobietach. Drugi raz

nie dam się wykorzystać żadnej z was.

- Całując cię, nie miałam pojęcia, że obawiasz się, że chcę się zabawić twoim kosztem - szepnęła.

- Dlaczego mnie pocałowałaś?

- Czy uwierzysz mi, jeśli powiem, że po prostu bardzo tego chciałam? - Uśmiechnęła się. - Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Masz w sobie coś, co mnie fascynuje. Ale możesz się mnie nie obawiać.

- Wstała. - Ty również potrafisz dać niezłą szkołę. Dziękuję, że opowiedziałeś mi o Elliocie. Zachowam to dla siebie. Dobranoc, panie Sutton. Życzę miłych snów.

Quinn odprowadził ją wzrokiem aż na samą górę. Gdy szła po schodach, podziwiał wdzięk i harmonię jej ruchów. Poruszała się z elegancją i godnością, którą z pewnością dotkliwie zranił, używając wobec niej obelżywych słów. Po prostu bał się, że zabawi się nim, a potem rzuci i wróci do swojego świata. Nigdy w życiu nie przyszłoby mu do głowy, że może komuś się podobać, albo że pocałowała go, bo obudził w niej takie pragnienie.

Popełnił błąd i wiele by dał, żeby te krzywdzące słowa pod jej adresem nigdy nie padły. Powoli docierało do niego, że Amanda jest kimś wyjątkowym. Do tej pory nie spotkał takiej kobiety. Zdawała się w ogóle nie dostrzegać swojej wielkiej urody, a jeśli nawet była jej świadoma, nie przywiązywała do niej wagi. Quinn zaczął podejrzewać, że może być równie niedoświadczona jak on. Miał ogromną ochotę

zapytać ją o to, lecz wiedział, że teraz nie będzie to proste. Jej obecność odbierała mu spokój i budziła uśpione tęsknoty. Zastanawiał się, czy przypadkiem z nią nie jest podobnie.

Amanda pomagała Harry'emu w kuchni, gdy następnego ranka Quinn zszedł na śniadanie. Miał za sobą nieprzespaną noc, więc wyglądał i czuł się podle. Najpierw długo nie mógł zasnąć, a potem, gdy mu się to wreszcie udało, i tak nie znalazł odpoczynku i ukojenia. Przyśnił mu się bowiem gorący, erotyczny sen z Amandą i jej pięknymi, rozpuszczonymi włosami w rolach głównych. Marzenie było tak sugestywne, że gdy teraz spoglądał na zarys jej pełnych piersi pod obszernym białym swetrem, mógł opisać, jak wyglądają obnażone.

Pochwyciła jego spojrzenie i mocno się zaczerwieniła. Aby ukryć zmieszanie, zajęła się wsuwaniem blachy z ciasteczkami do pieca.

- Nie wiedziałem, że umiesz piec - mruknął Quinn.

- Harry mnie nauczył - odparła cicho.

Nie miał wątpliwości, że peszy ją jego obecność. Obiecał sobie, że zanim Amanda opuści jego dom, sprawdzi, czy rzeczywiście jest dla niej taki atrakcyjny. Czuł, że musi to wiedzieć, choćby po to, żeby ukoić swoje pokiereszowane ego.

Zanim wyszedł, zapytał ją o najslabszego cielaka.

- Wczoraj był bardzo marny. - Westchnęła. - Może dzisiaj będzie lepiej?

- Zajrzę do niego, zanim pojedę na pastwiska - obiecał, wyglądając

przez okno na zasypane śniegiem podwórze. - Nie wyprawiaj się na własną rękę do chaty Durninga, dobrze? - poprosił. - Z tymi cholernymi sidłami na niedźwiedzie naprawdę nie ma żartów. Trzeba wiedzieć, gdzie ich nie ma.

Zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście jej bezpieczeństwo leżało mu na sercu. Miło z jego strony, pomyślała, przyglądając mu się ciekawie. Z drugiej strony powody jego troski mogły być zupełnie inne: może bał się, że jeśli Amanda zrobi sobie krzywdę, będzie musiała zostać u niego jeszcze dłużej?

- Czy ten śnieg nigdy nie przestanie padać? - zapytała.

- Trudno powiedzieć. Pociesz się, że późną jesienią było jeszcze gorzej. Nie martw się. Jakoś sobie poradzimy - odparł.

- Jasne - zgodziła się bez entuzjazmu.

- Mamy dzisiaj muchy w nosie? - zagadnął, wkładając kozuch i kapelusz.

- Nic podobnego - odparła spokojnie. - Tanie dziwki nie miewają humorów.

- Wiem, jak cię nazwałem, nie musisz mi tego przypominać - burknął rozdrażniony. - Nie trzeba było mnie całować. Nie jestem przyzwyczajony do napalonych, agresywnych bab.

- Spokojna głowa, panie Akuratny. Nigdy więcej się do pana nie zbliżę.

- Naprawdę? - zapytał, wydając z siebie odgłos, który od biedy

mógł uchodzić za śmiech. - Cóż, życie nie szczędzi człowiekowi rozczarowań.

Amanda nie wierzyła własnym uszom. Quinn Sutton próbuje być dowcipny!

- Zachowałeś się wobec mnie jak ostatni cham - prychnęła.

- To prawda. Nie zamierzam się bronić - odrzekł, mierząc ją spojrzeniem, od którego poczuła ciarki na plecach. - Myślałem, że bawisz się ze mną w jakieś gierki. Taka niewinna zabawa kosztem wiejskiego naiwniaka.

- Nie mam zwyczaju bawić się z mężczyznami w żadne gry - powiedziała sucho. - Poza tym sam wiesz, że nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby cię wiejskim naiwniakiem. Jesteś bardzo męski, inteligentny i potwornie odpowiedzialny. Ani przez chwilę nie miałam zamiaru robić sobie z ciebie żartów.

W ciemnych oczach po raz pierwszy ujrzała radosny błysk.

- Wobec tego możemy ogłosić tymczasowe zawieszenie broni - oznajmił.

- Potrafisz być dla mnie sympatyczny? - zapytała ponurym głosem.

- To poważny wysiłek.

- Możesz mi nie wierzyć, ale ja naprawdę nie jestem złym facetem - oznajmił. - Nie znam się na kobietach, i tyle. Nie zorientowałaś się?

- Nie. - Patrzyła mu prosto w oczy.

- Wobec tego musimy kiedyś o tym porozmawiać - stwierdził,

kładąc dłoń na klamce. - Zajrzę do cielaków.

Odprowadziła go wzrokiem, próbując ochłonać po ostatnim głębokim spojrzeniu, które posłał jej tuż przed wyjściem. Teraz, kiedy wreszcie zakopali wojenny topór, denerwowała się jeszcze bardziej niż przedtem. Miała nadzieję, że zanim sytuacja poważnie się skomplikuje, przyjdzie odwilż i wybawi ją z opresji.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Amanda posprzątała po śniadaniu, po czym poszła do stodoły. Quinn jeszcze tam był pochylony nad chorym zwierzęciem. Już na pierwszy rzut oka widać było, że z cielaczką jest bardzo źle. Leżał na boku, przez co żebra sterczały mu jeszcze bardziej pod łaciatą skórą. Miał zaciągnięte mgłą oczy i z trudem chwycił powietrze.

- Lepiej wracaj do domu, dziewczyno - powiedział Quinn, gdy przyklękła obok niego na sianie.

Spojrzała na matową, pozbawioną życia sierść, na ciężko pracujące żebra i już wiedziała, co się stanie. Kilka razy była świadkiem śmierci jakiegoś zwierzęcia, potrafiła więc rozpoznać symptomy agonii. Quinn też wiedział, że cielątko umiera, i chciał oszczędzić jej tego widoku.

Taka troska wzruszyła ją bardziej niż wszystko, co powiedział czy zrobił, od kiedy zamieszkała na jego ranczu.

- Jesteś dobrym człowiekiem - szepnęła, patrząc mu w oczy.

- Zwłaszcza kiedy się ciebie nie czepiam, prawda? - Westchnął. - Jest mi bardzo przykro, kiedy mnie unikasz. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo żałuję tego, co się wczoraj wydarzyło.

- Ja również - przyznała, zaskoczona jego postawą. - W dużym stopniu to moja wina. Nie powinnam była zachowywać się tak... - Wzruszyła bezradnie ramionami i odwróciła wzrok. - Nie znam się na facetach - wyznała. - Przez całe dorosłe życie bronię się przed zaangażowaniem: emocjonalnym i fizycznym. Potrafię flirtować, ale nic



poza tym. - Odważyła się spojrzeć mu w twarz, lecz jego spojrzenie pozwoliło jej odetchnąć z ulgą. - Nie ja jestem kochanką Durninga, lecz moja ciotka, ta szalona artystka. A ja... ja nigdy nie miałam kochanka.

Quinn w milczeniu kiwał głową.

- Przyszło mi to do głowy. Wczoraj, koło chaty McNabera. Twoja gwałtowna reakcja nie pasowała do obrazu kobiety doświadczonej. - Musiał odwrócić wzrok, bo bezradność malująca się na jej twarzy sprawiała, że poczuł, jak krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach. - Wracaj do domu - poprosił. - Ja się tu wszystkim zajmę.

- Nie boję się śmierci - powiedziała. - Byłam przy mojej matce, gdy umierała. To wcale nie było takie straszne. Po prostu zamknęła oczy i spokojnie odeszła.

- Jak mój ojciec - rzekł cicho. Przeniósł spojrzenie na cielaka. - To nie potrwa długo.

Przysiadła obok niego i bez słowa wsunęła drobną dłoń do jego dużej, spracowanej dłoni. Przez jakiś czas trwali tak w zupełnej ciszy, przerywanej chrapliwym i coraz słabszym oddechem cielaka. Pierwszy odezwał się Quinn.

- Już po wszystkim. Wracaj do domu, napij się kawy. Ja się nim zajmę.

Nie miała zamiaru płakać, ale łzy pojawiły się nagle i nie zdołała ich powstrzymać. Widząc, co się z nią dzieje, Quinn przytulił ją mocno do siebie i trzymał, dopóki się nie uspokoiła. Potem otarł jej łzy i

uśmiechnął się łagodnie.

- Dasz sobie radę - szepnął. Gdy na nią patrzył, myślał o tym, że wrażliwość i odwaga to cechy, które bardzo mu się podobają w tej kobiecie.

Amanda myślała dokładnie to samo o nim. Uśmiechnęła się do niego blado, rzuciła cielakowi ostatnie, pożegnalne spojrzenie i ruszyła do domu.

Po drodze myślała, jak Elliot przyjmie tę smutną wiadomość. Nawet Quinn wyglądał na przejętego tym, co się stało. Dopóki cielak żył, często do niego zaglądał, poił go, głaskał i usiłował ratować. Nietrudno było zgadnąć, że lubi zwierzęta. Po jego podwórzu kręciły się koty i psy, a bydło było wzorowo utrzymane. Elliot powiedział jej kiedyś, że choć jego ojciec pomstuje na starego McNabera za to, że wszędzie rozstawia niebezpieczne pułapki, raz na tydzień zagląda do sąsiada, żeby zapytać, czy nie brakuje mu drewna na opał, jedzenia albo leków. Amanda uznała, że jak na twardego człowieka gór Quinn ma wyjątkowo miękkie serce.

W kuchni podzieliła się z Harrym smutną wiadomością i trochę popłakała nad kawą, którą dla niej zaparzył.

- Ma pan dla mnie jakieś zajęcie? - zapytała, gdy poczuła się trochę lepiej.

- Na razie niech pani sobie odpocznie. - Uśmiechnął się. - Pani nigdy nie próżnuje. Bardzo dobrze jest mieć taką pomocnicę.

- Quinn jest innego zdania. - Westchnęła.

- Wcale nie - sprzeciwił się Harry. Sprzątał ze stołu po wczesnym lunchu, na który podał zupę z chlebem kukurydzianym. - Gdyby nie chciał, żeby panienka z nami była, odwiózłby panią do pani Pearson, która mieszka po drugiej stronie wzgórza i narzeka na brak towarzystwa. - Skwitował uśmiechem jej zaskoczoną minę. - Quinn cały czas się pani przygląda. Patrzy, jak pani reperuje jego koszule i zasłony albo pomaga mi w kuchni. Kobieta w domu to dla niego wielka nowość. Nie lubi zmian i mija sporo czasu, zanim się z nimi pogodzi.

- Jak każdy - zauważyła. Zadumała się nad tym, jak proste było jej życie do czasu tamtego tragicznego koncertu. Ucieszyła się, że Quinn ją obserwuje, ponieważ sama przyglądała mu się bardzo uważnie. Przeczuciwała, że od tego ranka ich wzajemne relacje bardzo się zmienią. - Kiedy w końcu przyjdzie ta odwilż? - zirytowała się. W duchu jednak bardzo chciała, aby Harry odparł, że nigdy. Nie chciała opuszczać rancza. Ani Quinna Suttona.

Harry wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Może jutro? A może dopiero za tydzień. Nikt nie wie, kiedy powieje ciepły wiatr - zawyrokował, po czym opowiedział jej o Czarnej Stopie, który przepowiadał pogodę z niedźwiedziego sadła.

Kiedy po południu do domu wrócił Quinn, Amanda była już dużo spokojniejsza, ale wciąż bardzo smutna. Harry pojął w mig, że tych dwoje najchętniej zostałyby samych, nalał im więc po kubku kawy i

czym prędzej się ulotnił.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Quinn, patrząc na jej smętnie zwieszoną głowę.

- Dobrze - odparła bez przekonania. Wolała nie patrzeć na Quinna, by nie zobaczył, że znowu ma ochotę się rozplakać. - On był taki mały... Pewnie myślisz, że jestem histeryczką.

- Wcale nie - zaprotestował. Nim zdążył pomyśleć o konsekwencjach, podszedł do niej i wzięwszy ją za ramiona, pociągnął ku sobie. Stała przed nim. Na wysokości oczu miała jego ciemnoniebieską, kraciatą koszulę. Rozpiętą i z podwiniętymi rękawami. Bezwiednie zaczęła chłonać zmysłowy, męski zapach. Przebiegło jej przez myśl, że oto po raz pierwszy Quinn sam szuka fizycznego kontaktu. Nie do końca wiedziała, czego ma się po nim spodziewać. Serce głucho tukało jej się w piersi, oddech stał się szybki jak po długim biegu. Speszona tym, co się z nią dzieje, opuściła wzrok.

Quinn również czuł się oszołomiony. Jej zapach, słodki i kobiecy, oraz bijące od niej przyjemne ciepło sprawiały, że ogarniała go dziwna niemoc. Krew krążyła w nim tak szybko jak wtedy, gdy był młodym chłopakiem, i rozpalala ciało. Nie bardzo rozumiał, co chce zrobić, wiedział tylko, że od dawna prześladowuje go pragnienie, by wziąć ją w ramiona i pocałować. Tak jak ona go pocałowała. Ale inaczej. Problem w tym, że nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

- Pachniesz kwiatami - odezwał się zmienionym głosem.

Uśmiechnęła się, wzruszona komplementem, który w ustach niezbyt romantycznego mężczyzny na pewno nie był pustym frazesem.

- To mój szampon - wyjąkała.
- Nigdy nie rozpuszczasz włosów?
- Tylko na noc.

Na twarzy czuła jego ciepły oddech, a na ramionach ciężar silnych dłoni. Górował nad nią potężną sylwetką, sprawiając, że czuła się drobna i krucha. O dziwo, podobało jej się to uczucie. Nigdy dotąd nie czuła się bardziej kobietą niż teraz.

- Amando, nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu tego cielaka. Niestety, każdej zimy tracimy kilka młodych. Nic nie można na to poradzić. Każdy hodowca musi się z tym pogodzić.

Lubiła, kiedy zwracał się do niej po imieniu. Poruszona, uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Wiem, że tak musi być. Nie powinnam tak bardzo się tym przejmować. Nie mam pojęcia, co mi się stało. Widocznie kobiety reagują na takie rzeczy inaczej niż mężczyźni.

- Mężczyźni też bywają różni - odparł. - Ja na przykład bardzo przywiązuję się do tych zwierzaków. Nie mają żadnego wyboru. - Westchnął. - Są całkowicie zdane na łaskę człowieka i sił natury.

Omiotła jego twarz czułym spojrzeniem. Wydał się jej zupełnie innym człowiekiem. Wrażliwym. Niemal tkliwym. I bardzo samotnym.

- Nie boisz się mnie, prawda? - zapytał niepewnie.

- Nie, w ogóle. Byłam zawstydzona tym, co zrobiłam, i trochę speszona twoją reakcją. Wiem, że nie zrobiłbyś mi krzywdy. - Zrobiła krótką pauzę, po czym zebrała się na odwagę i powiedziała to, co było dla niej szczególnie trudne: - Rozumiem, że ci przeszkadzam i że chciałbyś mieć mnie jak najszybciej z głowy. Ja również nie czuję się dobrze w roli nieproszonego gościa. Niedługo śnieg stopnieje i stąd wyjadę.

- Myślałem, że masz bogatą przeszłość i zmieniasz mężczyzn jak rękawiczki. - Zniżył głos. - Zachowywałaś się w taki sposób, że... To potwierdziło moje podejrzenia. Teraz już wiem, że zbyt szybko i zbyt powierzchownie cię oceniłem.

- Udawałam. - Uśmiechnęła się. - Nawet nie wiem, co mi strzeliło go głowy, żeby udawać kogoś, kim nie jestem. Podejrzewam, że chciałam sprostac opinii, którą sobie o mnie wyrobiłeś.

- Naprawdę nigdy dotąd nie byłaś z mężczyzną? - zapytał, ściskając mocniej jej ramiona. Zauważyła, że jego smagłe policzki zabarwiają się na czerwono. Zdaje się, że poczuł się niezręcznie, zadając jej to pytanie.

- Naprawdę. Nigdy nie miałam kochanka.

- Z taką aparycją?

- Jaka? - zdziwiła się.

- Wiesz, że jesteś piękna. - Przeszywał ją wzrokiem. - Taka urodziwa kobieta może mieć facetów na pęczki.

- I co z tego? - Wzruszyła ramionami. - W moim życiu nie było miejsca dla mężczyzny. Nie chciałam być zdominowana. Żyję po swojemu i dobrze mi z tym. Do tej pory najważniejsza była dla mnie muzyka - oзнакомиła. Nie chciała powiedzieć za dużo. - Zarabiam na życie muzykowaniem.

- Wiem o tym od Elliota. Słyszałem, jak grasz. Uważam, że jesteś naprawdę dobra.

Patrzył na nią, czując, jak z każdą chwilą mocniej bije mu serce. Najbardziej niepokoiły go jej pełne, wilgotne wargi, które przywodziły na myśl wspomnienia wczorajszego krótkiego pocałunku. Ciekaw był, jak by zareagowała, gdyby spróbował ją pocałować. Czy by mu pozwoliła? Jak mało wiedział o subtelnych sygnałach wysyłanych przez kobiety, gdy miały ochotę na miłość! Z wyrazu jej oczu nie potrafił wiele wyczytać. Skupił się więc na jej wargach, które były lekko rozchylone, i na policzkach zabarwionych mocnym rumieńcem. Nie potrafił jednak powiedzieć, czy ma to jakikolwiek związek z fizycznym podnieceniem.

Spojrzała mu pytająco w oczy i już nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie był przystojny w potocznym rozumieniu tego słowa. Jego rysy były zbyt ostre, a w linii wąskich warg było coś okrutnego. Znowu ją kusilo, żeby dotknąć ich ustami. Ciekawe, jak by się zachował? Czy odepchnąłby ją, jak poprzednio?

- O czym myślisz? - zapytał cicho, czując na wargach jej

spojrzenie.

- Myślę o tym, co by się stało, gdybyś mnie pocałował - przyznała, nie szukając żadnych wykrętów.

- Nie wiesz? Przecież już mnie całowałaś.

- Ale... nie tak jak trzeba.

Nie rozumiał, co miała na myśli. Na początku jego żona pocałowała go parę razy, później jednak odsuwała się od niego, tłumacząc, że rozmaże jej makijaż. Przeżył z górą trzydzieści lat, nie doświadczając rozkoszy namiętnego pocałunku.

Zdjął ręce z ramion Amandy i po chwili wahania otoczył nimi jej twarz. Bał się, że go ofuknie i ucieknie przed nim, gdy jednak tego nie zrobiła, odetchnął z ulgą.

- Pokaż mi... - poprosił - na czym polega prawdziwy pocałunek.

Niemożliwe, żeby tego nie wiedział, pomyślała zaskoczona. W tej samej chwili poczuła na ustach lekki dotyk jego warg; smakowały wiatrem i ostrym górskim powietrzem. Instynktownie zacisnęła palce na rękawach jego koszuli, wspięła się na palce i pocałowała go mocno, zmuszając do rozchylenia warg. Gdy dotknęła ich językiem, drgnął i na moment napiął mięśnie, lecz się nie odsunął.

Po chwili przerwała pocałunek i ciekawa jego reakcji spojrzała mu pytająco w oczy.

- O to chodzi? - szepnął i powtórzył to, co przed chwilą zrobiła. - Żadna kobieta nie całowała mnie w taki sposób - powiedział między



pocałunkami.

Nie wierzyła własnym uszom. Zdumiewał ją również zapach, z jakim odwzajemniał jej pocałunki. Jego usta z każdą chwilą stawały się coraz bardziej zaborcze, ona jednak nie protestowała i pozwalała mu cieszyć się nowo nabytą umiejętnością. Gdy ta przyjemność stała się dla niej trudna do zniesienia, jęknęła cicho i mocniej do niego przyłgnęła. Byli tak blisko, że wyczuwała szybkie bicie jego serca, mimo to przywarła do niego jeszcze mocniej.

- Coś cię zabolalo? - zapytał zaniepokojony. - Zdawało mi się, że jęknęłaś. - Głos mu drżał.

- Bardzo lubię takie pocałunki - szepnęła, drapiąc go delikatnie po plecach przez materiał. - Nie zdjąłbyś koszuli? - zapytała, ocierając się o jego twardą pierś.

Miał na to wielką ochotę, lecz w ostatniej chwili się opamiętał. Przecież w domu jest Harry. Co by sobie pomyślał, gdyby wszedł do kuchni i przyłapał ich na gorących pieszczotach?! Prawdę powiedziawszy, Harry stanowi tylko jeden z powodów. Drugim, bodaj czy nie najważniejszym, było to, co pod wpływem jej pieszczot działo się z jego ciałem. Jego męskość nigdy dotąd nie była tak twarda i napięta. Nie chciał, żeby Amanda to poczuła. Po co ma wiedzieć, jak bardzo na niego działa. Delikatnie odsunął ją od siebie.

- Przestańmy - szepnął. - Harry... sama rozumiesz...

- Jasne. - Zawstydzona zaczerwieniła się i cofnęła.

- Nie bój się. Nie będę się więcej do ciebie dobierał - powiedział, opacznie rozumiejąc jej reakcję.

- Nie o to chodzi - powiedziała cicho. - To nie ciebie się przestraszyłam, tylko tego, co o mnie pomyślisz. Że jestem łatwa...

- Łatwa?

- Nie mam w zwyczaju atakować mężczyzn w taki sposób - mówiła półgłosem. - I nie namawiam ich, żeby zdjęli koszulę. Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Ja też mogę ci obiecać, że nie będę się więcej narzucała. Poniosło mnie, to wszystko...

Zaskoczony uniósł brwi. To, co mówiła, nie miało sensu.

- Tak samo jak wczoraj? - Westchnął.

- Pewnie myślisz, że jestem niewyżytą erotomanką.

- A jesteś? - zainteresował się.

- Przestań! - Tupnęła zirytowana. - Nie zostanę tu ani chwili dłużej! - zawołała.

- Może nie jest to zły pomysł - powiedział z namysłem, obserwując iskierki gniewu w jej oczach. Boże, westchnął w myślach, jaka ona jest piękna! - Bo jeśli znowu zaczniesz się do mnie dobierać, nie ręczę za siebie.

- Już obiecałam, że nie będę cię zaczepiać - fuknęła.

- Gdybyś mimo wszystko zmieniła zdanie, daj mi znać - poprosił, sięgając po papierosa. - Żebym zawczasu mógł się przygotować na taki atak.

Oschły ton jego głosu mocno ją zaskoczył. Nie pojmowała, jakim cudem w mgnieniu oka stał się zupełnie innym człowiekiem. Ni z tego, ni z owego zaczął zwracać się do niej tonem samca pełnego męskiej arogancji i chorej pychy. Jak to możliwe, żeby w czasie jednego gorącego pocałunku wszystko się między nimi zmieniło? Patrzył na nią w sposób, którego nie mogła zrozumieć.

- Jak to się stało, że nigdy nie poszłaś z nikim do łóżka? - spytał. Niewiele wiedział o kobietach, ale o niej musiał wiedzieć wszystko.

Amanda obronnym gestem otoczyła się ramionami. Dłuższą chwilę milczała, patrząc, jak Quinn zapala papierosa i głęboko zaciąga się dymem. Ostatecznie poddała się i odpowiedziała na to pytanie:

- Odkąd pamiętam, mój ojciec pomiatał mną i upokarzał na każdym kroku. Chyba dlatego wmówiłam sobie, że oddając się mężczyźnie, dobrowolnie wyrzeknę się praw niezależnej jednostki - wyznała, unikając jego wzroku. - Wydaje mi się, że chociaż kobiety są wyzwolone, to w sypialni nadal rządzą mężczyźni.

- Twoim zdaniem powinna rządzić kobieta.

- Nie powiedziałam, że powinna rządzić - broniła się. - Po prostu nie powinna być wykorzystywana tylko dlatego, że jest słabsza.

- To samo odnosi się do mężczyzn.

- Wcale nie próbowałam cię wykorzystać.

- Czy ja to mówię?

Nerwowo przełknęła ślinę.

- Nie. Ta rozmowa nie ma sensu. Nie mamy równych szans. Masz doświadczenie, nieduże bo nieduże, ale byłeś żonaty. Ja o miłości nie wiem nic.

- Owszem, byłem żonaty. - Skinął głową - A jakże! Z tym że moja żona nigdy mnie nie chciała. Ani przed, ani po ślubie.

- Nie wiedziałam... Strasznie mi przykro.

- Mnie też było przykro - przyznał z goryczą. - Początkowo próbowałem dociec, co jest ze mną nie tak. Nie rozumiałem, dlaczego żona odsuwa się ode mnie za każdym razem, gdy próbuję się do niej zbliżyć. Znosiła moje pieszczoty, bo miała jasno wytyczony cel: chciała mnie złapać w sidła. Pamiętam, że najpierw łudziłem się, że nie chce się ze mną kochać, bo czuje się względem mnie nie w porządku. Szybko jednak pojąłem, że jest po prostu niemoralna. I od tej pory sam nie chciałem spać z nią w jednym łóżku. - Quinn z ulgą wyrzucił z siebie te słowa, po czym spojrzał pytająco na Amandę. Słuchała go uważnie, a on dziwił się, że zwierzenia przychodzą mu z tak niebywałą łatwością. Nigdy dotąd nie odważył się mówić głośno o tych bolesnych sprawach. Zaciągnął się papierosem. - Elliot ma prawie trzynaście lat. Jest całym moim życiem. I choć nie łączą nas więzy krwi, wie, że kocham go jak rodzzonego syna.

- On też cię bardzo kocha. Ciągłe o tobie mówi.

- To dobre dziecko - przyznał, robiąc krok w jej stronę. Natychmiast zauważył, że wstrzymała oddech. Podobała mu się taka

reakcja. Świadczyła o tym, że Amanda jest wrażliwa na jego bliskość. Odezwał się zmienionym głosem: - Ty nie sypiasz z facetami, ja nie mam baby.

- Od dawna...? - zająknęła się. Nie mieściło jej się w głowie, że Quinn może mówić prawdę.

Wzruszył ramionami.

- Od bardzo dawna - uściślił. - W górach nie ma wielu okazji do takich spotkań. Nie mogę zostawić Elliota i wyruszyć do miasta w poszukiwaniu przygód. Nie byłem z kobietą od ponad trzynastu lat.

- Naprawdę?

- Mówiłem ci już, że kiedy byłem młodszy, nie umiałem żadnej poderwać. Zawsze byłem wielki i nieporadny, a do tego nieśmiały. Kiedy kumple zaliczali kolejne panienki, ja siedziałem w domu. - Drżącą ręką podniósł do ust papierosa. - Szczerze mówiąc, od tego czasu niewiele się zmieniło. Nadal nie umiem dogadywać się z kobietami. Mój a niechęć do nich nie bierze się z nienawiści, tylko z lęku przed odrzuceniem. Nie umiem podrywać.

Amanda poczuła się jak ktoś, kto po wielu tygodniach deszczu zobaczył wreszcie słońce.

- Mówisz poważnie? - zapytała z uśmiechem ulgi. - A ja myślałam, że po prostu ci się nie podobam. Że nie jestem dość dobra dla faceta takiego jak ty.

- I dlatego przezwałaś mnie „panem Akuratnym”? - zapytał,

odwzajemniając uśmiech. Gdyby potrafił, chętnie roześmiałby się na całe gardło.

- Chciałam ci dokuczyć - przyznała. - Bolało mnie, że odsądzasz mnie od czci i wiary, mimo że nigdy nie byłam z mężczyzną. Żaden nie pociągał mnie bardziej niż ty.

To szczere wyznanie ostatecznie go rozbroiło. Wreszcie runął mur, którym próbował się od niej odgradzić. Teraz już nie wątpił, że Amanda jest naprawdę wyjątkowa.

- To, co mówisz, jest dla mnie bardzo ważne. Chcę ci powiedzieć, że łączy nas coś więcej niż tylko ubogie doświadczenie w miłości - powiedział z ociąganiem.

- Co takiego?

Nie odpowiedział od razu. Aby zyskać na czasie, najpierw odwrócił się i zgasił papierosa, a dopiero potem wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy. Dłuższą chwilę badał ją spojrzeniem, a gdy był pewny, że nie robi błędu, powiedział:

- Łączy nas to, że nie tylko ty jesteś dziewicą.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Szeroko otworzyła oczy. Była pewna, że ją słuch myli.

- Nie przesłyszałaś się. - Pokręcił głową. - W tych stronach takie rzeczy się zdarzają. Stary McNaber ma już dobrze po siedemdziesiątce, a nigdy nie był z kobietą. Mężczyźni nie zdobywają erotycznych doświadczeń z różnych powodów: jedni mają skrupuły, innym nie pozwalają na to surowe zasady moralne. A jeszcze inni po prostu boją się kobiet lub są chorobliwie nieśmiali. Jak widzisz, nie różnimy się pod tym względem od kobiet - dodał, spoglądając na nią wymownie. - Ja na przykład nie mógłbym kochać się z kimś wyłącznie z ciekawości, żeby zobaczyć, czym jest seks. Potrzebuję do tego uczucia, w dodatku odwzajemnionego. Uwierz mi, że na tym świecie są jeszcze idealisci, którzy wolą żyć w celibacie, niż wyrzec się swoich marzeń. Poza tym nawet w twoim wielkim mieście tylko garstka kretynów kocha się, z kim popadnie. Ludzie są ostrożni, boją się o zdrowie, więc siłą rzeczy są mniej skłonni do miłosnych podbojów.

- Tak, wiem o tym. Nigdy... nie masz na to ochoty? - zapytała niepewnie.

- Tu mam największy problem - przyznał.

- To znaczy?

- To znaczy... owszem, mam ochotę na miłość. Z tobą!

- Ze mną?

- Pamiętasz, jak tu przyszedłeś pierwszy raz, kiedy byłem chory?

Kiedy twoje włosy dotknęły mojej nagiej skóry, myślałem, że oszaleję. Ty pewnie myślałaś, że mam dreszcze z powodu gorączki. I rzeczywiście, moje ciało płonęło, ale nie z powodu grypy.

Amanda na wszelki wypadek oparła się o kuchenną szafkę. Zdumiewało ją, że człowiek o tak chłodnym usposobieniu jak Quinn mógł tak żywiołowo reagować na bliskość kobiety. Więc mimo wszystko jesteś człowiekiem, pomyślała, przyglądając mu się uważnie. Tak samo podatnym i słabym jak my wszyscy.

- To dlatego byłem dla ciebie niemący - wyjaśnił. - Wszystko przez to, że nie potrafię radzić sobie z pożądaniem. Nie mogę wziąć cię na ręce i zanieść na górę. W domu jest Elliot i Harry. Szczerze mówiąc, nie zrobiłbym tego, nawet gdybyś była taką kobietą, za jaką cię początkowo uważałem. To, że jesteś tak samo niewinna jak ja, tylko komplikuje sprawę.

Spojrzała na niego oczami lśniącymi z zachwytu. Teraz, gdy już wiedziała, że fascynuje go tak samo jak on ją, czuła się bezgranicznie szczęśliwa. Przyglądała mu się tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Dochodziła do wniosku, że wcale nie jest brzydki. Powoli zaczynała odkrywać jego daleką od ideału urodę. Cieszyła się, że jest silny i na swój szorstki sposób pociągający. Najbardziej jednak podobały jej się jego oczy, żywe i pełne wyrazu, stanowiące kontrast dla surowej, nieruchomej twarzy.

- Twoje szczęście, że jestem nieśmiała. - Uśmiechnęła się



przekornie.

- Co nie przeszkodziło ci zaproponować, żebym zdjął koszulę!

W progu, jak skamieniały, stał Harry. Amanda dostrzegła go, jak zamarł w pół kroku, i zaczerwieniła się po same uszy.

- Stań na obu nogach i czymś się zajmij - burknął zirytowany Quinn. - Co tu robisz?

- Uczę się! - roześmiał się Harry. - Nie miałem pojęcia, że Amanda lubi rozbierać facetów!

- Nie facetów, tylko mnie! - sprostował Quinn. - I wcale nie chciała, żebym się rozebrał do rosołu, tylko żebym zdjął koszulę. To bardzo przyzwoita dziewczyna.

- Przestań! - Ukryła twarz w dłoniach. - Idź stąd!

- Nie mogę. Ja tu mieszkam - zauważył Quinn. - Czy mi się zdaje, czy pachniesz brandy? - zainteresował się nagle.

Widząc zdumione spojrzenie Amandy, Harry uśmiechnął się chytrze.

- Dobry masz nos, szefie - powiedział. - Amanda była roztrzęsiona i płakała, zaaplikowałem jej...

- Ile jej tego dałeś? - uciął Quinn.

- Tyle co kot napłakał. Parę kropelek do kawy. Na uspokojenie.

- Jak mogłeś?! - Zaśmiała się, kręcąc z niedowierzaniem głową. Teraz przypomniała sobie, że kawa rzeczywiście miała dziwny smak, ale była tak zmartwiona śmiercią cielaka, że nie wnikała, dlaczego.

- Chciałem dobrze - usprawiedliwiał się Harry.

- Twoja kuracja przyniosła odwrotny skutek. - Quinn walczył z sobą, by się nie uśmiechnąć.

- Przestań! - ofuknęła go Amanda. - Zmieńmy temat. - Usiadła przy stole. - Wcale nie jestem wstawiona, więc spokojnie obiorę jabłko na szarlotkę. Harry, podaj mi nóż.

- Najpierw stąd wyjdę. - Quinn patrzył na nią spode łba. - Wiem, że się zastanawiała, gdzie mnie dźgnąć - zażartował.

- Dobrze sobie! - fuknęła, strojąc do niego miny. - Rzadko rzucał się z nożem na facetów.

- Wolę nie ryzykować. - Roześmiał się, sięgając po kapelusz i kozuch.

Spojrzała na niego smutnym wzrokiem. Afera z brandy przypomniawszy jej o śmierci cielaka. Przygasła i straciła ochotę do żartów.

- Znajdź sobie jakieś ciekawe zajęcie, żeby przestać o tym myśleć - poradził Quinn. - Takie jest życie.

- Zaraz mi przejdzie - odparła. - Dzięki Harry'emu... - Spojrzała przez ramię na winowajcę, który wcale nie wyglądał na skruszony.

Quinn długo nie mógł oderwać od niej oczu, w których dostrzegła rzadką u niego łagodność. W końcu z wyraźnym ociąganiem otworzył drzwi i wyszedł na podwórze.

Harry powstrzymał się od komentarzy, poprzestając na domyślnym uśmiešku.

Niebawem wrócił ze szkoły Elliot i namówił Amandę na lekcję gry na keyboardzie. W trakcie ćwiczeń powiedział jej, że opowiadał o niej kolegom.

- Z kim grasz, Amando? - zapytał, przyglądając jej się badawczo. - Mówiłem ci już, że kogoś mi przypominasz.

Odczekała chwilę, żeby pozbierać myśli. To musiało się kiedyś stać, pomyślała ze smutkiem. Skoro Elliot tak bardzo interesuje się współczesnym rockiem, to na pewno zna Desperado. Bardzo prawdopodobne, że w skonfiskowanej przez ojca kolekcji miał kasetę jej zespołu. Zatem prędzej czy później skojarzy ją z dziewczyną z okładki.

- Po prostu jestem do kogoś podobna - odparła lekkim tonem. - Pamiętasz, rozmawialiśmy o tym, że każdy ma sobowtóra.

- Grałaś kiedyś w jakimś zespole? - Nie dawał za wygraną.

- Nie, najczęściej występuję sama. Na przykład w nocnych klubach - wymyśliła naprędce. W rzeczywistości zdarzyło jej się to tylko raz, kiedy zgodziła się zastąpić koleżankę. - Bardzo często jestem muzykiem wspomagającym podczas nagrywania płyt w studiach.

- Super! - zawołał z przejęciem. - Na pewno znasz mnóstwo gwiazd, prawda?

- Owszem, znam paru popularnych muzyków.?

- A gdzie występujesz?

- W Nowym Jorku, w Nashville. To zależy od kontraktu.

- Dlaczego wylądowałaś w naszych górach? - zapytał, przebierając palcami po klawiszach.

- Przyjechałam odpocząć - odparła. - Moja ciotka jest ko... - Urwała, w ostatniej chwili gryząc się w język. - Jest znajomą pana Durninga - dokończyła. - Wynajęłam od niego dom i zrobiłam sobie wakacje.

- Czy te nasze lekcje nie są dla ciebie zbyt nudne albo męczące? - zaniepokoił się Elliot.

- Ależ skąd!! Bardzo je lubię - zapewniła i odegrała fragment utworu w nowej tonacji.

- Jakie to trudne - jęknął.

- Musi być. Muzyka jako jedna z form sztuki jest bardzo złożona. Zobaczysz, kiedy nauczysz się podstaw, będziesz mógł zagrać wszystko, co zechcesz. Na przykład to... - Zagrała fragment znanej piosenki. Elliot słuchał uważnie, śledząc wprawne ruchy jej palców na klawiaturze.

- Ty to się chyba musiałaś długo uczyć - powiedział z uznaniem.

- To prawda. Zresztą uczę się cały czas, tyle że ja to bardzo lubię. Muzyka to całe moje życie.

- Nic dziwnego, że jesteś taka dobra.

- Dziękuję, miło być docenionym - rzekła z uśmiechem.

- Pójdę już do siebie. Pora odrobić lekcje - westchnął, podając jej keyboard. - Do zobaczenia przy kolacji.

Amanda patrzyła za nim, jak w podskokach biegł na górę, i

uświadomiła sobie, że należałoby powiedzieć mu o cielaczku. Miała nadzieję, że zrobi to Harry, bo sama nie miała serca przekazać chłopcu tej smutnej wiadomości. Żeby poprawić sobie nastrój, sięgnęła po klawiaturę. Pieszczotliwie pogładziła klawisze, po czym zagrała tęskną balladę o niespełnionej miłości, która dwa lata wcześniej przyniosła jej grupie nagrodę Grammy. W którymś momencie zaczęła śpiewać, a jej czysty, dźwięczny głos wypełnił ciszę pustego pokoju.

- Elliot, na miłość boską, przycisz radio! Rozmawiam przez telefon! - zawołał zirytowany głos w głębi domu.

Amanda natychmiast zamilkła. Nie miała pojęcia, że Harry wrócił już ze stodoły. Szczęście, że jej nie widział, w przeciwnym razie na pewno zacząłby zadawać niewygodne pytania. Odłożyła syntezator i poszła do kuchni, ciesząc się w duchu, że wreszcie odzyskała głos.

Gdy nieco później spotkali się przy stole, wszyscy mieli smętne miny. Elliot widocznie dowiedział się już o cielaku, bo był przygaszony i bezmyślnie grzebał w swojej porcji gulaszu. Choć posiłek przyrządzony przez Harry'ego był wyjątkowo smaczny, nikt nie miał apetytu. Rozmowa też się nie kleiła, więc po kolacji każdy wrócił do swoich zajęć. Wieczór ciągnął się długo i leniwie. Około wpół do dziewiątej Elliot i Harry poszli spać. Amanda miała zamiar zaczekać na Quinna, który nadal siedział w swoim pokoju nad księgami rachunkowymi gospodarstwa, uznała jednak, że lepiej będzie iść do swojego pokoju. Teraz, kiedy Quinn zaczął traktować ją inaczej, zaczęła

obawiać się o dalszy ciąg tej historii, która z dnia na dzień stawała się poważniejsza. Odkąd stało się jasne, że obydwójce ulegli wzajemnej fascynacji, sytuacja zaczęła się komplikować. Quinn nie miał pojęcia, kim naprawdę jest kobieta, która znalazła drogę do jego samotnego serca. Prędzej czy później będzie musiał poznać prawdę.

Kiedy więc Elliot poszedł na górę, zrobiła to samo. W pokoju usiadła przed lustrem i rozpuściwszy włosy, zaczęła je wolno szczotkować. Naraz usłyszała pukanie do drzwi.

W pierwszej chwili pomyślała, że to Quinn, i zawahała się, czy mu otworzyć. Rozsądek podpowiadał jednak, że on na pewno nie nachodziłby jej w sypialni. Wstała od toaletki i wyjrzała na korytarz.

To nie był Quinn. Pod jej drzwiami stał Elliot. Raz na nią spojrzął i w jego głowie coś zaskoczyło. Pech chciał, że Amanda miała na sobie beżową nocną koszulę w odcieniu bardzo zbliżonym do koloru skórzanej sukni, w której pokazywała się na estradzie. Ten strój i rozpuszczone włosy pomogły Elliotowi znaleźć odpowiedź na pytanie, które od dawna go nurtowało. Wreszcie odkrył, kogo Amanda mu przypomina.

- Coś się stało? - zapytała beztróskim tonem, mimo że bardzo zaniepokoił ją badawczy wzrok chłopca.

- Nie, nic... takiego - wyjąkał. - Zapomniałem powiedzieć ci dobranoc - dokończył szybko i czerwony jak burak czym prędzej pobiegł do swojego pokoju. Postał chwilę, pomyślał, po czym na

palcach zakradł się do sypialni ojca. Znalazł szufladę, w której Quinn zamknął zarekwirowane kasety. Grzebał w nich, aż znalazł tę, której szukał. Przysunął się z nią do lampy i długo patrzył na okładkę. Ujrzał na niej czterech mężczyzn podobnych do jaskiniowców i piękną kobietę z długimi blond włosami. Na kasecie były nagrania jego ulubionej grupy Desperado. Kobieta miała na imię Mandy. Czyli Amanda! Jego Amanda! Z emocji zabrakło mu tchu. Jeśli ojciec dowie się, kim jest Amanda, na pewno wyrzuci ją z domu! Przełamując wyrzuty sumienia, że łamie ojcowskie zakazy, prędko schował kasetę do kieszeni. Pocieszał się, że kieruje się słusznymi intencjami: musi chronić Amandę, dopóki nie znajdzie sposobu, by powiedzieć jej, że zna jej tajemnicę. Na myśl, że taka gwiazda jak ona mieszka w jego domu, chciało mu się tańczyć i skakać z radości. Gdyby mógł powiedzieć o tym chłopakom ze szkoły! Nie, to zbyt ryzykowne. Na pewno wygadaliby się przed rodzicami i wiadomość błyskawicznie dotarłaby do jego ojca. Elliot dobrze wiedział, że musi chronić ten sekret jak najcenniejszy skarb.

Amanda spała tak długo, że ledwie zdążyła na śniadanie. Po przebudzeniu od razu dostrzegła, że za oknem po raz pierwszy od wielu dni widać błękitne niebo i jasny blask słońca.

- Idzie odwilż - oznajmił Harry. - Czułem to w kościach.

Quinn rzucił Amandzie szybkie spojrzenie.

- Nawet jeśli śnieg nie będzie padać, to i tak upłynie kilka dni,

zanim włączą prąd - orzekł. - Na razie jeszcze nie ma powodu do radości.

- Jak tu się nie cieszyć? - obruszył się Harry. - Wreszcie będzie można jechać do miasta, żeby uzupełnić zapasy. Przejadła mi się wołowina. Mam ochotę na kurczaka.

- Ja też! - podchwycił Elliot. - Kurczaka! Niedźwiedzia albo bobra, albo łosia. Wszystko jedno co, byle nie wołowina!

- Hola, chłopcy! - przywołał ich do porządku Quinn. - Chcę wam przypomnieć, że dzięki wołowinie mamy czym płacić rachunki.

Po takiej reprimendzie Elliot i Harry tak się spieszyli, że Amanda zaczęła się z nich śmiać.

- Przepraszam - westchnął Elliot. - Pogadam o tym z moim żołądkiem.

Quinn natychmiast się rozchmurzył.

- Nie ma sprawy, synu. Sam chętnie zobaczyłbym potrawkę z kurczaka na talerzu.

- Oj, tak... - rozmarzył się Elliot, zaraz jednak odzyskał wigor. - Co dziś robimy? - zagadnął. - Jest sobota, czyli nie ma szkoły.

- Możesz mi pomóc karmić bydło.

- Ja zostanę z Harrym - pospieszyła Amanda.

- Harry da sobie radę - stwierdził Quinn, patrząc jej w oczy. - Jedź z nami.

- Zobaczysz, spodoba ci się - kusił Elliot. - Jak tylko się pokażemy,



krowy pędzą do nas jedna przez drugą. Żebyś wiedziała, jak one śmiesznie podskakują w głębokim śniegu!

Rzeczywiście dobrze się bawiła. Siedziała z Elliotem w saniach i pomagała spychać bele siana, podczas gdy Quinn przecinał powrozy. Krowy jak oszalałe rzucały się na świeżą paszę. Amandzie skojarzyły się z rozbieganym tłumem kobiet buszujących po supermarkecie podczas wyprzedaży. Tak ją rozbawiło to porównanie, że śmiała się do łez.

Wracali do domu w doskonałych nastrojach. Amanda po raz pierwszy w życiu poczuła, co to znaczy należeć do szczęśliwej rodziny. Co chwila zerkąła na Quinna i zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby porzuciła swój świat i została na zawsze z Quinem, Elliotem i Harrym.

Wiedziała, że to nierealne. Nie wolno jej zapominać, że te wakacje wkrótce się skończą i trzeba będzie wrócić do rzeczywistości.

Ponieważ była sobota, Elliot miał prawo pójść spać trochę później. Obejrzał więc z Amandą film science fiction w telewizji, podczas gdy Quinn jak zwykle zasiadł nad rachunkami. Następnego dnia pojechali we trójkę do kościoła. Amanda włożyła na tę okazję jedyną spódnicę i skromną bluzkę. Bardzo dzielnie znosiła ciekawskie spojrzenia sąsiadów Quinna. Udawała, że nic sobie z tego nie robi, lecz gdy w końcu dotarli do domu, drżała z emocji. Po raz pierwszy dostrzegła coś niewłaściwego w tym, że mieszka pod jednym dachem z dwoma obcymi mężczyznami.

Poczuła się jak kobieta upadła.

Zaintrygowany jej małomównością Quinn przyszedł do kuchni, gdy zmywała po lunchu.

- Zupełnie nie pomyślałem o tym, jak zareagują ludzie w kościele na widok kobiety w naszym towarzystwie - zaczął półgłosem. - Gdybym się zastanowił, nie naraziłbym cię na taką próbę.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyła ją jego troska. - Czułam się dziwnie. Ale tylko trochę.

- Gapili się na ciebie z rozdziawionymi gębami, bo znają mnie i wiedzą, co myślę o kobietach - wyjaśnił. - Zgłupieli na widok takiego wroga płci pięknej w towarzystwie pięknej blondynki.

- Wcale nie jestem piękna - szepnęła zawstydzona.

Podszedł do niej tak blisko, że wyraźnie poczuła korzenny zapach jego wody po goleniu. Podobał jej się w odświeżonym ubraniu: w białej koszuli z szarym, dyskretnym krawatem i spodniach od garnituru.

- Jesteś piękna - szepnął. - Bardzo piękna.

Przyłożył dłoń do jej policzka i przesunął palcem po pełnych wargach.

- Quinn...? - Patrzyła mu w oczy.

Wyjął jej dłonie z ciepłej wody i wytarł ściereczką, po czym położył je sobie na ramionach.

- Obejmij mnie. - Przyciągnął ją do siebie. - Chcę cię pocałować.

Posłusznie uniosła głowę, a on pochylił się i delikatnie musnął

wargami jej usta.

- Tak samo robiliśmy to wczoraj, prawda? - szepnął. - Lubię twoje pocałunki. Chodzą mi od nich ciarki po plecach.

- Mnie też. - Uśmiechnęła się. Wspięła się na palcach i ciasno otoczyła ramionami jego szyję. Natychmiast przyjął jej zaproszenie i zaczął całować ją mocno i namiętnie. W uniesieniu wziął ją na ręce i tulił do siebie ze wszystkich sił. Westchnęła z rozkoszy.

- Co powiedziałaś, Amando? - zawołał Elliot, który czytał książkę w salonie obok.

- Nic, nic! - zawołała.

Quinn natychmiast postawił ją na ziemi i na wszelki wypadek cofnął się o krok.

- Lepiej stąd pójdę - powiedział zdyszczanym szeptem, patrząc na jej nabrzmiałe od pocałunków wargi.

- Tak będzie lepiej - przytaknęła, po czym dotknęła warg.

- Skaleczyłem cię? - zaniepokoił się.

- Nie, nie.

Pokiwał głową i bez słowa, z wyraźnym ociąganiem wyszedł do salonu.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność, tym bardziej że Quinn stale był w pobliżu. Jego bliskość była dla Amandy prawdziwą torturą. Bezustannie szukała wzrokiem jego oczu i czerwieniła się, gdy patrzył na nią zbyt długo. Czuła fizyczny głód jego ciała i takie samo pragnienie

dostrzegając w jego nienaturalnie błyszczących oczach. Zjedli wczesną kolację i posiedzieli chwilę przed telewizorem. Potem Elliot i Harry poszli spać, ona zaś ociągała się w odejściem.

Quinn dopalił papierosa. Przez chwilę siedział skupiony, rozważając coś w myślach, a w końcu podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

- Nie bój się - powiedział, prowadząc ją do pokoju, który okazał się być typowym gabinetem, w którym urzęduje mężczyzna. Wypełniały go masywne meble z ciemnego drewna, wyściełane skórą. Były zapewne pamiątką po lepszych, bardziej dostatnich czasach.

- Tutaj nikt nam nie przeszkodzi - powiedział, sadzając ją sobie na kolanach. Podniósł do góry jej dłoń i przycisnął do swojej piersi w miejscu, gdzie bije serce. - W dalszym ciągu chcesz, żebym zdjął koszulę? - zapytał z lekkim uśmiechem.

- Tak... - szepnęła. - Ale nigdy dotąd tego nie robiłam.

- Ja też, kochanie. Musimy razem wszystkiego się nauczyć...

- Podoba mi się ten pomysł - powiedziała, próbując rozluźnić mu krawat.

- Pomogę ci. - Jednym wprawnym ruchem poluzował węzeł, a potem rozpiął pierwszy guzik przy kołnierzyku. - Reszta należy do ciebie. - Spojrzał na nią wzrokiem człowieka, który przeczuwa, że za chwilę znajdzie się w niebie.

Jej palce, które tak wprawnie grały skomplikowane akordy na

keyboardzie Elliota, drżały teraz nerwowo, gdy nieporadnie rozpiniała guziki. Stało jej przed oczami jego muskularne, opalone ciało, które zobaczyła pierwszej nocy na ranczu. Spieszyła się, by jak najszybciej dotknąć jego smagłej, rozpalonej skóry. Jednocześnie dziwiła się sama sobie, ponieważ do tej pory w ogóle nie interesowało ją, jak wygląda mężczyzna bez koszuli.

Kiedy wreszcie uporała się z opornymi guzikami, z ulgą przycisnęła dłonie do twardych mięśni na piersi Quinna.

- Masz tremę? - zapytał.

- Trochę - przyznała. - Do tej pory uciekałam w panicznym popłochu, gdy jakiś facet zaczynał się przy mnie rozbierać. - Roześmiała się.

- Żaden ci się nie podobał? - zapytał z powagą, kładąc dłonie na jej dłoniach.

- Żaden! Tam, skąd przyjechałam, mężczyźni są zupełnie inni niż ty. Większość z nich to nałogowi podrywacze, którzy myślą tylko o tym, żeby zaliczyć kolejną panienkę. Seks to dla nich jedna z wielu rozrywek - mówiła, rumieniąc się z emocji. - Dla mnie nie!

- To tak jak dla mnie - odparł, dotykając jej włosów. - Rozpuścisz je dla mnie? - zapytał. - Od dawna o tym marzę.

- Naprawdę? Dla mnie te długie włosy to spory kłopot, ale przyzwyczałam się do nich. - Wyjęła spinki i zachęcona jego pełnym zachwytem spojrzeniem zaczęła rozplatać gruby warkocz.

Brał w dłonie długie pasma i rozkoszował się ich jedwabistą miękkością. Przysuwał do nich twarz i całował, chłonąc ich upojny kwiatowy zapach.

Przytuliła twarz go jego torsu i przesunęła paznokciami po gęstej kręconej szczecinie.

- Jesteś kosmaty jak prawdziwy niedźwiedź - zażartowała.

- Ty za to jesteś gładka i miła w dotyku jak jedwab - powiedział, wsuwając palce w jej włosy. Zaczął ją całować i tulił do siebie mocno, pragnąc poczuć na skórze dotyk jej twardych piersi. Ona również lgnęła do niego całym ciałem, gdy jednak poczuła, jak bardzo jest podniecony, instynktownie się odsunęła. - Przepraszam - szepnął.

Patrzył w jej szeroko otwarte, czujne oczy. Miała wrażenie, że krępuje go reakcja jego własnego ciała.

- Nie przepraszaj - westchnęła z ustami przy jego ustach. - To cudowne, że tak na ciebie działam. Muszę się do tego przyzwycząić. Z tobą pierwszym jestem tak blisko.

Odetchnął w wyraźną ulgą i przytulił policzek do jej rozpuszczonych włosów.

- Chcę ci powiedzieć - zaczął poważnym tonem - że nie chodzi mi tylko o seks.

- Mnie też - odparła, wodząc dłonią po surowych liniach jego twarzy. - Czy to nie zabawne - zapytała po chwili - że w naszym wieku jesteśmy takimi żółtodziobami?

- Po raz pierwszy w życiu zupełnie mi to nie przeszkadza. -  
Uśmiechnął się swobodnie.

Delikatnie gładził jej plecy i ramiona. Umierał z pragnienia, żeby choć na chwilę dotknąć jej piersi. Bał się jednak, że Amanda uzna tę pieszczotę za zbyt śmiałą. Ona zaś, czytając w jego myślach, uśmiechnęła się i wzięwszy go za ręce, położyła je na swoich piersiach. Gdy przesunął palcami po twardniejących sutkach, z rozkoszy zabrakło jej tchu.

- Nigdy nie widziałem nagiej kobiety. - Głos mu się łamał. -  
Bardzo chciałbym zobaczyć ciebie... Chciałbym dotknąć twoich piersi...

Wzięła go za rękę i zachęciła, żeby rozpiął jej bluzkę. Potem sama rozpięła biustonosz, z którym nie bardzo umiał sobie poradzić. Drżącymi dłońmi odsunęła na bok koronkowe miseczki i pozwoliła mu spojrzeć na swoje piersi.

- Mój Boże - jęknął, dotykając ich nieśmiało. - Jakie piękne...

- Pocałuj je... - poprosiła, odchylając się zmysłowo.

Pochylił się nad nią i nieśmiało dotknął wargami aksamitnej skóry. Zachęcony jej westchnieniami, zaczął ją całować coraz mocniej, a ona wczepiła palce w jego włosy i ocierała się o niego, mrużąc z rozkoszy.

Powędrował ustami w górę, wzdłuż jej szyi i delikatnej linii szczęki. Gdy dotarł do ust, rozwarł je namiętym pocałunkiem. Zmienił pozycję, tak by jej piersi przylgnęły do jego torsu.

- Boli? - zaniepokoił się, słysząc coś, co przypominało ciche

łkanie. - Kochanie, czy mnie słyszysz?

- Nic mi nie jest - odparła rwącym się szeptem.

Trzymał ją w ramionach i pochłaniał wzrokiem jej splątane włosy i cudowne piersi, sycąc oczy jej urodą.

- Nie zapomnę tego do końca życia - powiedział. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

- Ani ja. - Dotknęła dłonią jego twarzy. - Nie powinniśmy byli tego robić - powiedziała smutno. - Teraz o wiele trudniej będzie mi stąd odejść. Zaczęła się odwilż...

Położył palce na jej ustach.

- Spokojnie, śnieg nie stopnieje od razu. Nawet jeśli stąd wyjedziesz, nie odejdiesz z mojego życia. Nie pozwolę ci. Nigdy.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Czemu płaczesz? - pytał łagodnie, ocierając łzy wierzchem dłoni.

- Nikt nigdy nie chciał, żebym z nim została - odparła, uśmiechając się przez łzy. - Zawsze i wszędzie czułam się jak piąte koło u wozu.

Z trudem dawał wiarę jej słowom, tak nieprawdopodobnym w ustach pięknej, młodej kobiety. Przyszło mu do głowy, że jej nieśmiałość i niewinność mogły zniechęcać doświadczonych mężczyzn, którzy od swych kochanek oczekiwali erotycznych fajerwerków. Dla niego była jak bezcenny klejnot, który należy podziwiać i dobrze go strzec.

- W moim świecie nigdy nie będziesz piątym kołem u wozu -



powiedział. - Jesteś jego częścią.

Westchnęła głośno i tuląc się do niego, przymknęła oczy. Gdy poczuła bicie jego serca, jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

- Zimno ci?

- Nie, nie potrafię nazwać tego, co czuję. To takie słodkie, obezwładniające uczucie...

- Które nazywa się pożądaniem. - Uśmiechnął się, kładąc dłoń na jej piersi. - Pragniesz mnie.

- Tak...

- To za chwilę minie - powiedział, pieszczotliwie gładząc jej włosy. - Wiesz, że nie możemy tego zrobić w taki sposób. Za bardzo cię szanuję - dodał z westchnieniem.

Wstrząsana coraz słabszymi dreszczami, wtulała się w niego, szukając ciepła i czułości. Po chwili stało się dokładnie tak, jak powiedział: napięcie opadło, łomot serca ustał i wszystko wróciło do równowagi.

- Skąd tyle wiesz o seksie, skoro nigdy tego nie robiłeś?

- Z książek. - Zaśmiał się cicho. - Mam bardzo rozległą wiedzę teoretyczną, lecz zero praktyki. Dopiero teraz widzę, ile bym stracił, poprzestając na teorii.

Roześmiała się i zalotnie przez rękaw koszuli delikatnie ugryzła go w ramię.

- Nie rób tego! - jęknął.

- Nie podoba ci się?

- Podoba - westchnął. - Aż za bardzo. Tak samo jak twoje piersi - dodał, przyglądając im się z podziwem. - Lepiej skończmy tę zabawę, póki jeszcze możemy - zaproponował. Pomógł jej zapiąć biustonosz i bluzkę. Dopilnował, by tak jak on, była zapięta na ostatni guzik.

- Jesteś rozczarowana? - mruknął. - Ja też. Co noc śni mi się, że kocham się z tobą do utraty tchu.

Potrafiła to sobie wyobrazić. Obrazy, które podsunęła jej rozbudzona wyobraźnia, były tak sugestywne, że z wrażenia zabrakło jej tchu. Oczami duszy ujrzała, jak kochają się w białej pościeli. Jego smagłe ciało górowało nad nią i falowało w miłosnym rytmie...

- Ja też bardzo tego pragnę - szepnął, odgadując jej myśli. Pocałował ją delikatnie w usta i patrząc głęboko w oczy, zapytał: - Czy wiesz, że za pierwszym razem trochę boli?

- Nie szkodzi. Ważne, co będzie potem...

- Potem dam ci tyle rozkoszy, że zapomnisz o bólu - obiecał, ujmując jej twarz w obie dłonie. - Ale teraz idź lepiej do swojego pokoju, bo jeszcze chwila, a zapomnę o wszystkich zasadach moralnych.

Roześmiała się, wygładzając bluzkę i spódnicę. Gdy próbowała wstać, straciła równowagę i gdyby jej w porę nie podtrzymał, przewróciłaby się na niego.

- Widzisz, co ze mną zrobiłeś? - poskarżyła się przekornie.

- Żebyś wiedziała, co ty zrobiłaś ze mną! - zawołał, poprawiając jej

splątane włosy. - Śliczna jesteś.

- Dzięki. Obiecuję, że taka zostanę przez następne pół wieku. No, może dojdzie mi parę drobnych zmarszczek.

- Nawet z nimi będziesz dla mnie piękna. A teraz dobranoc, kochanie.

Odsunęła się od niego z wyraźnym ociąganiem.

- Jesteś pewien, że nigdy wcześniej tego nie robiłeś? - zapytała, przyglądając mu się z ukosa. - Jesteś wyjątkowo dobry jak na nowicjusza.

- Nawzajem.

Wiedziała, że powinna wyjść, jednak żał jej było rozstawać się z nim w takiej chwili. Podobał jej się z tymi potarganymi włosami, ustami spieczonymi od pocałunków i w pomiętej koszuli. Na myśl, że sama doprowadziła go do takiego stanu, odczuwała dziwną dumę.

- Nie zapomnij zamknąć swoich drzwi na klucz! - zawołał za nią, gdy opuszczała jego gabinet.

- Zamknij swoje. - Roześmiała się. - Jak kilka dni temu, pamiętasz?

- Przyznaję, że to był chwyt poniżej pasa - powiedział skruszony.

- Bardzo mi tym pochwiliłeś. Poczułam się jak niebezpieczna bogini seksu. Żałowałam tylko, że nie zabrałam ze sobą jakiegoś zmysłowego, czarnego dezabilu.

- Wychodzisz czy nie? - zapytał, udając, że wstaje z fotela. - Bo

jeśli nie, to za chwilę rozprawię się z tobą tu, na tej podłodze.

- No wie pan, panie Sutton! A co z moją opinią?

- Staram się o niej pamiętać. Dlatego proszę po raz ostatni, idź już!

- Skoro pan nalega... - Westchnęła z udawanym żalem. - Dobranoc, Quinn.

- Dobranoc, Amando. Słodkich snów.

- Od dziś na pewno takie będą - odrzekła z uśmiechem i poszła na górę.

Dopiero gdy znalazła się w swojej sypialni i usiadła przed lustrem, uświadomiła sobie, co się przed chwilą wydarzyło. Przerazona, pojęła, że nie miała prawa zbliżyć się do Quinna i nie powinna była dopuścić do takiego zbliżenia.

Jak mogła zapomnieć, że nie jest miłą i wolną od zobowiązań dziewczyną z sąsiedztwa, która bez trudu odnajdzie swoje miejsce w świecie Quinna. Nazywa się Amanda Corrie Callaway i jest wokalistką znanej na całym świecie grupy rockowej. Na każdym rogu większości wielkich miast wiszą plakaty z jej podobizną. Jak zareaguje Quinn, kiedy dowie się, że jego Amanda jest gwiazdą rocka? Czy wybaczy jej, że nie powiedziała mu całej prawdy, karmiąc go opowiastkami o skromnej dziewczynie zarabiającej na życie grą na keyboardzie?

Co za koszmar, westchnęła ciężko. W ciągu zaledwie kilku minut spadła z obłoków wprost na twardą ziemię.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka. Męczyły ją wspomnienia namiętych piaseczot Quinna i dotkliwe poczucie winy. Jak po tym, co między nimi zaszło, ma mu powiedzieć prawdę o sobie? I czy on, gdy dowie się, że go okłamała, zechce jej jeszcze raz zaufać?

Wymęczona, niechętnie wstała z łóżka i zeszła na śniadanie. Quinn powitał ją ciepłym, czułym spojrzeniem.

- Dzień dobry! - powiedziała energicznym tonem, który miał zamaskować przygnębienie.

- A dobry, dobry, dziękuję - odpowiedział. - Jak się spało?

- Fatalnie! - odparła z westchnieniem, które skwitował domyślnym uśmiechem.

- Harry dogląda zwierząt, a ja jadę pomóc jednemu z sąsiadów. Chciałbym, żebyś została w domu z Elliotem, dobrze? Okazało się, że ma dziś wolny dzień.

- Wyobrażasz sobie - wtrącił chłopiec - całkiem zapomniałem, że dziś nie ma szkoły. Mogłem spać do południa!

- No, cóż, przepadło. - Uśmiechnęła się. - Za to możesz nauczyć się paru nowych akordów.

- Tym się zajmujesz? - zainteresował się Quinn. W obecnej sytuacji każdy skrawek informacji o życiu Amandy wydawał mu się niezwykle cenny. - Mówiłaś, zdaje się, że zawodowo grasz na keyboardzie. Jesteś nauczycielką muzyki?

- Nie. - Pokręciła głową. - Grywam z różnymi grupami na koncertach i w studiu. Jestem tak zwaną sekcją wspomagającą. - Roześmiała się. - Niestety, najczęściej gram z grupami rockowymi... Wiem, że nie znosisz tej muzyki...

- Bez przesady, nie jest aż tak źle - pocieszył ją. - Zresztą tworzenie muzycznego tła dla zespołu to nie to samo, co wyginanie się na scenie w gorszących pozach i wyśpiewywanie głupich, wyuzdanych tekstów. No, ale na mnie już czas - oznajmił. - Bądźcie grzeczni - nakazał i szybko wyszedł na zewnątrz. Zrobił to dokładnie w chwili, gdy Amanda zbierała się na odwagę, by wyprowadzić go z błędu. Tak niewiele brakowało, a byłaby mu powiedziała całą prawdę. Szkoda, że nie zdążyła.

Z ciężkim westchnieniem wyprostowała się na krześle.

- Och, Elliocie, ale afera... - jęknęła bezradnie, chowając twarz w dłoniach.

- Tak się to nazywa? Afera? - zdziwił się chłopiec. - Wiesz, ja już nie jestem małym dzieckiem - wyjaśnił, widząc jej zaskoczenie. - Tata cały czas się do ciebie uśmiecha, ty się czerwienisz. Dobrze wiem, co jest grane. Powiedz, podoba ci się mój tata? On wcale nie jest zabójczo przystojny.

- Bardzo mi się podoba - przyznała. - Stał się dla mnie kimś ważnym i wyjątkowym.

- Dla mnie też jest wyjątkowy - ucieszył się Elliot. Zauważywszy

jej nietknięty posiłek, poprosił: - Zjedz śniadanie. Potem sobie pogramy, dobrze?

Gdy nieco później ćwiczyli nowe gamy, z podwórza dobiegł ich warkot silnika dużego samochodu. Zaskoczona Amanda przestała grać. Odkąd była na ranchu, Quinn ani razu nie jeździł samochodem.

- Ciekawostka... - powiedział Elliot, wyglądając przez okno. - Ktoś do nas przyjechał wielkim jeepem - relacjonował. - Jejku! Ale numer! - zawołał nagle. - Chyba nie będziesz zachwycona...

- Dlaczego? - zdziwiła się.

Zanim zdołał odpowiedzieć, rozległo się donośne pukanie do drzwi. Harry, który poszedł je otworzyć, spojrzał tam, gdzie spodziewał się zobaczyć twarz niezapowiedzianego gościa. Potem zerknął wyżej, i jeszcze wyżej... Kiedy Elliot wpadł do sieni, Harry stał oniemiały i wpatrywał się w obcego mężczyznę o wyglądzie i posturze niedźwiedzia grizzly.

- Szukam Mandy Callaway! - huknął przybysz głosem donośnym jak dzwon.

- Hank! - Amanda zerwała się z miejsca i rzuciła w stronę brodatego olbrzyma. Ten zaś porwał ją w ramiona i uniósł do góry z taką łatwością, jakby nic nie ważyła.

- Cześć, króliczku. - Uśmiechnął się, po czym ucałował ją głośno w oba policzki. - Co ty tu robisz? Jakiś stary traper, który mieszka w połowie wzgórza, powiedział mi, że kiedy spadł śnieg, wyniosłaś się z

chaty Duminga.

- Zgadza się. Wsiadł prąd, więc pan Sutton zaprosił mnie do siebie i udzielił schronienia - tłumaczyła. - Hank, postaw mnie na ziemi!

- Czuła, że Elliot i Harry z zapartym tchem obserwują tę scenę. - To jest Hank - powiedziała im, wydostawszy się z niedźwiedziego uścisku kolegi. - Mój serdeczny przyjaciel i doskonały muzyk - mówiła, biorąc go za rękę. - Nie mówcie Quinnowi, że tu był, dobrze? - poprosiła. - Sama to zrobię, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

- Jak sobie panienka życzy - zgodził się Harry, po czym zadarł głowę do góry i zapytał Hanka: - Pan naprawdę jest taki wielki, czy chowa pan szczudła pod spodniami?

- Byłem skrzydłowym w Dallas Cowboys - uśmiechnął się Hank.

- Rozumiem - odparł Harry, po czym zwrócił się do Amandy: - Może pani liczyć na moją dyskrecję.

- Ja też słówka nie pisnę - obiecał Elliot - ale pod jednym warunkiem. - Uśmiechnął się chytrze. - Pan Shoeman da mi swój autograf.

Słyszając nazwisko Hanka, wpadła w taką panikę, że przestała na moment oddychać. Elliot zaś, widząc przerażenie w jej oczach, powiedział spokojnie:

- Nie bój się. Ja już dawno wiem, kim jesteś. Na jednej z kaset skonfiskowanych przez tatę są nagrania Desperado. Kiedy zorientowałem się, że ty to Mandy Callaway, wykradłem ją z jego



szuflady i dobrze ukryłem. Ale powiesz tacie prawdę, tak?

- Oczywiście! Dawno już bym to zrobiła, gdyby nie to, że... sytuacja bardzo się skomplikowała.

- Oj, tak - przyznał Elliot i pełniąc honory gospodarza, zaprosił sławnego gościa do dużego pokoju. Ten zaś rozsiadł się na sofie, która przy jego monstrualnej posturze wyglądała jak wyjęta z domku dla lalek.

Kiedy Elliot zostawił ich samych, mówiąc, że idzie sprawdzić, czy taśma jest dobrze schowana, Hank poprawił się na miękkich poduchach i patrząc domyślnie na Amandę, powiedział:

- Mówisz, że sprawy się skomplikowały? Słyszałem, że ten cały Sutton nie znosi kobiet.

- Ostatnio bardzo się zmienił - odparła, nie wchodząc w szczegóły.

- Najgorsze jest to, że nie cierpi rocka. Ale mów, co cię tu sprowadza?

- Dostaliśmy propozycję udziału w koncercie charytatywnym, który ma się odbyć w schronisku Larry'ego - zaczął ostrożnie. Widząc jej przerażoną minę, dodał szybko: - Słuchaj, wiem, że nie jesteś jeszcze gotowa do powrotu. Ale ta impreza ma szczytny cel. Zbieramy fundusze na walkę z mukowiscydozą. Wiele muzycznych sław zapowiedziało swój udział. - Tu wymienił kilka czołowych nazwisk z branży. - Gdyby sprawa nie była tak poważna, w ogóle nie zawracałbym ci głowy. Chłopaki bardzo chcą zagrać. Więc jak? Dołączysz do nas?

- Sama nie wiem... Parę razy próbowałam tu śpiewać. I niby wszystko było w porządku, nie miałam żadnych problemów z głosem.

Ale występ przed publicznością to co innego... - Rozłożyła ręce w geście niepewności.

- To dla ciebie. - Podał jej trzy bilety. - Przemyśl sprawę, spokojnie się zastanów. Jeśli uznasz, że możesz wystąpić, po prostu przyjdź. I weź ze sobą tego swojego Suttona. Skoro nie lubi naszej muzyki, to może chociaż spodobają mu się inni. - Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej bardzo uważnie. - Nie powiedziałaś mu? - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Nie było odpowiedniej okazji. Boję się, że jeśli dłużej będę z tym zwlekać, w końcu zrobi się za późno.

- Rodzina tej dziewczyny napisała do ciebie list - powiedział nagle, patrząc jej w oczy. - Dziękują ci za to, co zrobiłaś. Napisali, że jesteś bohaterką. Mandy, co ty wyprawiasz? Daj spokój!

Na wzmiankę o dziewczynie zalała się łzami. Hank przytulił ją do siebie, przeklinając w duchu swój długi język.

- Mandy, musisz przestać o tym myśleć - mruzczał głębokim basem, gładząc ją po głowie. - Co się stało, to się nie odstanie. Sprawa jest skończona. Dziecino, weź się w garść. Przecież nie możesz zaszyć się w tych górach na zawsze.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciała!

- Nie wolno ci tego robić! Ucieczka nie jest w twoim stylu. Musisz jak najszybciej wrócić na scenę. Teraz albo nigdy! Pomyśl o tym. I zastanów się, co by się stało, gdybyś wtedy stchórzyła. To nie była twoja

ani niczyja wina. Po prostu nieszczęśliwy wypadek. To wszystko.

- Łatwo ci mówić. Ciągle myślę o tym, że gdyby nie przyszła na nasz koncert...

- To wpadłaby pod samochód! Mandy, gdybanie nie ma sensu! Widocznie takie było jej przeznaczenie. Po prostu przyszedł na nią czas. Mandy, słuchasz mnie?

- Słucham... - chlipnęła, ocierając oczy rękawem.

- Zamiast rozpamiętywać tamto nieszczęście, pomyśl lepiej o nas. - Hank usiłował sprowadzić rozmowę na inne tory. - Nawet nie wiesz, jak nam cię brakuje. Niby nadal trzymamy się razem, ale to nie to samo, co z tobą. Wiesz, że kiedy gramy bez ciebie, ludzie się nas po prostu boją?

- Nie dziwię się im. - Zaryzykowała łzawy uśmiech. - Hank, strasznie się zapuściłeś.

- Ja? Szkoda, że nie możesz zobaczyć Johnsona! Wyhodował sobie brodę i wygląda jak szczotka ryżowa. A Deke przysiągł sobie, że się nie przebierze, dopóki do nas nie wrócisz.

- Chryste Panie! - Załamała rękę. - Przekaż mu, że muszę dobrze się zastanowić nad tym koncertem. Współczuję wam. W jego obecności starajcie się trzymać od nawietrznej.

- Nic się nie martw, damy sobie z nim radę - pocieszył ją. - I przestań się obwiniać. Nikt nie ma do ciebie pretensji. Wręcz przeciwnie, ludzie wiedzą, że ryzykowałeś życie, próbując ją uratować.

Doceniają to.

Amanda przytuliła się do niego, chłonąc łapczywie jego energię i siłę.

- Dzięki za dobre słowo, Hank.

- Zawsze do usług! Hej, mały, chcesz ten autograf? - zawołał.

- No pewnie! - Elliot najwyraźniej już czekał pod drzwiami, bo natychmiast wpadł do pokoju z notesem i długopisem.

Hank podpisał się zamasyście, kreśląc u dołu strony krągłe „Q”, które było znakiem rozpoznawczym zespołu.

- Proszę bardzo. - Uśmiechnął się, oddając chłopcu notes.

- Elliot jest początkującym muzykiem - powiedziała Amanda, kładąc rękę na ramieniu chłopca. - Uczę go grać na keyboardzie. A kiedyś poproszę jego ojca, żeby pozwolił mu z nami zagrać.

- Niezły pomysł. - Hank nastroszył włosy Elliota. - Ucz się pilnie, mały. Mandy jest naprawdę rewelacyjna. Jak cię czegoś nauczy, zapamiętasz to do końca życia.

- Dziękuję, panie Shoeman.

- Możesz mówić do mnie Hank. Do zobaczenia na koncercie.

Trzymaj się zdrowo, Mandy.

- Ty również, bracie.

- Co to za koncert? - zainteresował się Elliot po wyjściu Hanka.

Amanda podała mu bilety i wyjaśniła cel koncertu.

- Może - powiedziała z namysłem - znajdę w sobie dość siły, żeby

wrócić na estradę?

- Nie chcesz wracać? Dlaczego? - zdziwił się chłopiec.

Przyjrzała mu się uważnie, a widząc w jego dziecięcej buzi autentyczne zaciekawienie, opowiedziała mu o wszystkim głosem łamiącym się ze wzruszenia.

- Jejku, to naprawdę straszne - powiedział wzburzony, gdy skończyła. - Teraz rozumiem, dlaczego ukryłaś się w naszych górach. Wiesz, co myślę? - zapytał, wpatrując się w nią mądrymi oczyma. - Że pan Hank ma rację. Im dłużej będziesz zwlekała z powrotem, tym trudniej będzie ci to zrobić.

- Wiem o tym. - Wzruszyła ramionami. - Tylko widzisz, jest pewien problem... - zawiesiła głos, po czym nabrała powietrza i nie patrząc mu w oczy, wyrzuciła z siebie: - ja kocham twojego tatę. Kocham go tak bardzo, że aż boję się powiedzieć, kim jestem naprawdę. Wątpię, żeby chciał albo potrafił mnie zrozumieć - wyznała zgnębiona.

- Może nie będzie tak źle... - pocieszył ją Elliot. - Koncert będzie dopiero za tydzień, a przez ten czas na pewno znajdziesz sposób, by wszystko mu wyjaśnić.

- Mam nadzieję... - Uśmiechnęła się smutno. - Tobie nie przeszkadza to, kim jestem?

- Żartujesz? Z keyboardem czy bez, dla mnie zawsze jesteś super! - zawołał i otoczył ją ramieniem.

Wzruszona, uścisnęła go mocno.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś po mojej stronie - szepnęła.

- Można wiedzieć, kim jest ten zarośnięty olbrzym? - zapytał Harry, wchodząc do pokoju.

- Nie wiesz? To przecież Hank Shoeman! - obruszył się Elliot, zgorzony jego ignorancją. - Grana perkusji w Desperado. To taka grupa rockowa, a Amanda...

- Czasem grywam z nimi na klawiszach - wtrąciła pośpiesznie.

- No dobrze, rozumiem, że ten wasz Hank jest muzykiem. Ale wygląda jak rozbójnik - podsumował Harry.

- Szkoda, że nie widział pan pozostałych członków grupy - roześmiała się Amanda. - Chciałabym prosić pana o dyskrecję, dobrze? Sama powiem Quinnowi, że miałam niezapowiedzianego gościa. To dla mnie naprawdę bardzo ważne... Najpierw chciałabym jakoś go przygotować.

- Założę się, że gdyby Quinn spotkał tego pani kolegę w ciemnym zaułku, dla własnego dobra przeszedłby na drugą stronę ulicy.

- Niewykluczone. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję za wyrozumiałość.

- Nie ma o czym mówić. Będę milczał jak grób. Pani sekret jest u mnie bezpieczny.

Quinn zjawił się w domu późnym popołudniem. Wprawdzie Elliot i Harry dotrzymali słowa i nie pisnęli słówka o wizycie Hanka, ale Amanda i tak była nerwowa i niespokojna.

- Co ci jest? - zapytał łagodnie Quinn, gdy wieczorem zostali na chwilę sami. - Jesteś jakaś nieswoja.

- Śnieg topnieje - szepnęła, dotykając rękawa jego flanelowej koszuli. - Niebawem będę musiała stąd odejść.

Quinn westchnął. Nakrył dłonią jej dłoń.

- Myślałem o tym. Czy naprawdę musisz wracać?

Serce podskoczyło jej do gardła. Cokolwiek miał jej do dania, pragnęła odpowiedzieć „tak” i zdać się na łaskę i niełaskę losu. Niestety, nie mogła tego zrobić.

- Muszę... - Skrzywiła się. - Mam zobowiązania wobec wielu osób. Obiecałam, że ich nie zawiodę. - Chwilę milczała, a potem, ścisnąwszy go mocno za rękę, wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Posłuchaj, w następny piątek muszę koniecznie spotkać się z kilkoma osobami w schronisku Larry'ego. Odbędzie się tam koncert dobroczynny, na który dostałam bilety. Wiem, że nie lubisz rocka, ale w tym wydarzeniu wezmą udział różni muzycy i piosenkarze - mówiła, zaglądając mu w oczy. - Dasz się namówić na ten koncert? Bilety są trzy, więc Elliot może pójść z nami. Chcę, żebyś wreszcie zobaczył... czym się zajmuję.

- Ach, ten twój keyboard - powiedział miękko.

- W pewnym sensie... - rzekła ostrożnie, modląc się w duchu o odwagę, której bardzo potrzebowała, by do piątku wyznać mu prawdę.

- W porządku - odparł. - W schronisku pracuje mój dobry znajomy. Parę lat temu ja też byłem ratownikiem górskim. Pójdę z tobą na ten

koncert - oznajmił, a potem spoważniał. - Jeszcze trochę, a bez wahania pójdę za tobą choćby i do piekła. Otoczyła go ramionami i przytuliła się mocno.

- Ja za tobą też, człowieku z gór - szepnęła.

Gdy ją pocałował, przestała myśleć o przyszłości: liczyło się tylko to, co dzieje się między nimi tu i teraz. Zarzuciwszy mu ręce na szyję, odwzajemniła mu pocałunek pełen pasji i żarliwości. Położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął do siebie.

- Przestraszyłem cię? - zapytał, gdy mimowolnie naprężyła się, czując, jak bardzo jest podniecony.

- Żartujesz? Czego mam się bać? Przecież uwielbiam być z tobą tak blisko. Uwielbiam cię!

W odpowiedzi pocałował ją gorąco, wkładając w ten pocałunek całą duszę. Amanda otworzyła oczy i obserwowała jego twarz. Nie przesadziła, mówiąc, że go uwielbia. Uwielbia, kocha, podziwia. Wiele by dała, żeby ta cudowna chwila trwała wiecznie. Jeszcze więcej, by móc zostać z nim na zawsze.

Quinn musiał poczuć na sobie jej wzrok, bo przerwał pocałunek i spojrzał na nią zaskoczony. Po chwili znów ją całował, patrząc jej prosto w oczy, a ona wtulała się w niego, dając mu w ten sposób odczuć, że pragnie go tak samo mocno jak on jej.

- Coraz lepiej nam idzie. - Uśmiechnął się, łapiąc oddech.

- Prawda? - mruknęła, kładąc dłonie na jego dłoniach. - Nie



zapominaj, że w domu są Harry i Elliot - szepnęła, cofając się o krok.

- I co z tego? - Wzruszył ramionami, a widząc zaskoczenie na jej zarumienionej twarzy, dodał: - Nie wstydzę się tego, co do ciebie czuję, więc nie będę się chował po kątach.

- I kto to mówi? Zaprzysięgły wróg kobiet! - zaśmiała się radośnie.

- Bez przesady - obruszył się, obejmując ją w pasie. - Ciebie nie potrafiłbym znienawidzić, nawet gdybym bardzo się starał.

- Oby to była prawda - westchnęła, wybiegając myślami w przyszłość do dnia, kiedy wreszcie powie mu prawdę.

Pocałował ją lekko w usta, a potem jeszcze raz, i jeszcze.

- Powoli zaczynam rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi - zażartował.

- Właśnie widzę! - szepnęła, odwzajemniając pocałunek.

Naraz za ich plecami rozległo się dyskretne chrząknięcie. Zaskoczeni, czym prędzej odsunęli się od siebie i odwrócili się, by zobaczyć, kto nakrył ich na gorącym uczynku.

- Nie przeszkadza mi, że się całujecie - zaznaczył Elliot na wstępie - ale stoicie w przejściu i blokujecie mi dostęp do ciastek.

- A ty nic, tylko ciastka i ciastka!

- Jeszcze go nie znasz - wtrącił Quinn, obejmując ją ramieniem. - Elliot myśli o ciastkach nawet wtedy, gdy ma czterdzieści stopni gorączki. Nieraz widziałem, jak wstaje z łóżka i cichaczem zakrada się do kuchni.

- Rozumiem go doskonale. Sama też mam słabość do świeżo upieczonych ciastek czekoladowych - przyznała, patrząc na Elliota promiennym wzrokiem. Wzruszało ją, że Quinn nie próbuje ukryć przed synem ich zażyłości. Gdy na dodatek pochylił się i pocałował ją w sposób tak naturalny, jakby robił to od lat, poczuła się bezgranicznie szczęśliwa.

Elliot czekał cierpliwie, ale widać było, że łakomie przełyka ślinę. Nie chcąc go dłużej męczyć, Amanda wysunęła się z objęć Quinna i poszła wyjąć z kredensu talerzyki. Gdy nakładała ciastka, chłopiec dreptał wokół niej z miną kota, który czeka na śmietankę. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, że jego tatę i ją łączy coś więcej niż przyjaźń.

Gdy we trójkę wrócili do pokoju i usiedli wygodnie na sofie, chłopiec popatrzył na Amandę przytuloną do ojca i powiedział:

- Fajnie, co?

- Fajnie - zgodził się Quinn, zaglądając jej w oczy. Uśmiechnęła się do niego i mocniej wtuliła w jego ramię. Gdyby wybór zależał tylko od niej, mogłaby tak siedzieć z nimi do końca życia. Gdy po chwili dołączył do nich Harry, nie odsunęła się od Quinna. We czwórkę obejrzeli telewizję, jedząc czekoladowe ciastka i komentując program. Amanda po raz pierwszy w życiu czuła się absolutnie szczęśliwa.

Gdy późnym wieczorem leżała z Quinnem na skórzanej sofie w jego gabinecie, ich rozmowa nieuchronnie zeszła na temat przyszłości.

- Farma nie przynosi wielkich dochodów i wciąż jestem poważnie zadłużony - powiedział między pocałunkami. - Ale to dobra ziemia. Pieniądze przyjdą z czasem, jak tylko uda mi się odbudować stado. Nie mogę zapewnić ci bogactwa i wysokiej pozycji w świecie, na dodatek będzie nas od razu troje. Obiecuję jednak, że będę się o ciebie troszczył - przyrzekł, patrząc jej w oczy - i że nigdy nie zabraknie ci tego, co niezbędne.

Z czułością pogłaskała jego szczupłą twarz.

- Tak niewiele o mnie wiesz... - rzekła ze smutkiem. - Kiedy dowiesz się wszystkiego, być może wcale nie będziesz chciał, żebym z tobą została - powiedziała, kładąc palce na jego ustach. - Zaczekaj z deklaracjami, aż będziesz pewien, że tego naprawdę chcesz.

- Nie muszę. Wiem, co mówię. Nie rzucam słów na wiatr.

Amanda mimo wszystko miała wiele uzasadnionych obaw. Zdawała sobie sprawę, iż jest pierwszą kobietą, z którą Quinn jest naprawdę blisko. Nie mogła więc wykluczyć, że jego świeżo rozbudzone zmysły biorą górę nad zdrowym rozsądkiem. Co będzie, gdy opadnie napięcie i minie szalone pożądanie? Przecież Quinn może dojść wtedy do wniosku, że ona wcale do niego nie pasuje. Uznała, że nie powinna robić sobie wielkich nadziei. Zanim zacznie myśleć o wspólnym życiu, musi się upewnić, że Quinn naprawdę wie, co do niej czuje.

- Zaczekajmy trochę z planowaniem przyszłości, dobrze? -

poprosiła, obracając się w jego ramionach tak, by znaleźć się na górze. Bardzo chciała poczuć pod sobą jego muskularne ciało.

Przygarnął ją do siebie mocno, pewny, że pragnie jej do szaleństwa. Może ona ma jakieś wątpliwości, lecz on nie ma żadnych. Nigdy w życiu nie był bardziej pewny, czego pragnie.

Z większą niż poprzednio wprawą pozbył się jej bluzki i biustonosza. Nieco gorzej poszło mu z własną koszulą, bo z pośpiechu trzęsły mu się ręce: nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie poczuje ciepły dotyk jej miękkiej skóry. Szybko jednak przekonał się, że to mu już nie wystarcza. Obrócił się więc, i nie wypuszczając jej z ramion, położył ją na plecach. Potem przytulił się do niej i delikatnie rozsunął jej nogi.

Z emocji przestała oddychać, porażona pierwszym w swoim życiu prawdziwie intymnym kontaktem z mężczyzną. Czuła się bardzo niepewnie, mimo to nie odepchnęła go od siebie.

- Nie wiesz, co się z tobą dzieje, prawda? - szepnął, przyciskając biodra do jej bioder. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę...

- Wiem...

Czerpała nieznaną dotąd przyjemność z tego, że czuje na sobie jego ciężar. Otoczyła go ciasno ramionami i bez pamięci pograżyła się w długim intymnym pocałunku. Kiedy jego język owijał się wokół jej języka, zdawało jej się, że z rozkoszy zacznie krzyczeć. Już po chwili przekonała się, że to, co czuje, jest dopiero wstępem do prawdziwego

zapomnienia. Kiedy Quinn wsunął rękę pod jej biodra, a potem przesunął ją niżej, przeszedł ją tak silny dreszcz, że miała ochotę płakać.

On jednak szybko cofnął rękę i uniósłszy się na łokciach, trwał przez chwilę w bezruchu, wciągając głęboko powietrze.

- Przepraszam... - wyrzucił łamiącym się głosem. - Naprawdę nie chciałem, żebyśmy posunęli się tak daleko.

Amanda długo nie mogła opanować dreszczy ani powstrzymać gorących łez, które jedna za drugą płynęły po jej rozpalonych policzkach.

- Quinn, czy ty wiesz, jak mocno cię pragnęłam? - łkała.

- Wiem, kochanie, bo sam pragnę cię bardziej niż powietrza. - Westchnął ciężko. - Tym razem naprawdę niewiele brakowało. Jeszcze jedna chwila, jedno twoje westchnienie, i stałoby się.

- Może jednak spróbujmy - kusila, unosząc się na łokciu, by spojrzeć w jego twarz. - Tylko raz... Proszę cię, nie bądź taki zasadniczy.

- Nie - powiedział twardo, zakrywając dłońmi oczy. - Wolę oszczędzić ci kompromitacji.

- Znalazł się pan Akuratny! - zawołała, bijąc otwartą dłońią w jego twardą pierś.

- Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że taki jestem. - Uśmiechnął się, patrząc wygłodniałym wzrokiem na jej nagie piersi. Widocznie nie ufał sobie do końca, bo nerwowym ruchem chwycił

brzezi jej bluzki i zaczął zapinać guziki. - Ty niewyżyta erotomanko! Słyszałaś kiedyś o ciąży?

- Czy masz na myśli stan, którego konsekwencją mogłyby być małe suttonięta? - Zrobiła minę niewiniątka.

- Nie wygłupiaj się! - powiedział srogim tonem. - I lepiej wstań, bo jeszcze chwila i naprawdę przestanę być akuraty.

- Ty to zawsze musisz popsuć najlepszą zabawę - poskarżyła się, ale posłusznie odsunęła się od niego i usiadła na sofie.

- Posłuchaj - zaczął po ojcowsku - stawiam dziesięć do jednego, że gdybym zaczął rozpinąć ci dzinsy, narobiłabyś dzikiego wrzasku.

- Rozpinąć mi dzinsy... - Była czerwona jak piwonia.

- Amando, bądź poważna. - Zniecierpliwił się. - Mam ci tłumaczyć, skąd biorą się dzieci?

- Nie trzeba. Powoli zaczynam łapać, o co chodzi.

- To może wolisz wykład o antykoncepcji? - zagadnął.

- Obejdzie się.

- Może jednak posłuchasz? To powinno cię trochę ostudzić. Pigułki nie bierzesz, więc zostają nam prezerwatywy. A ja, żyjąc od tylu lat w celibacie, po prostu ich nie mam. Musiałbym jechać po nie do miasteczka, bo w przeciwieństwie do wielkich miast, w górach nie ma automatów z prezerwatywami pod każdym świerkiem.

- Przestań! - zirytowała się, czując, że ta rozmowa zaczyna ją krępować. - Przecież nie jestem dzieckiem.

- Mądra dziewczynka - pochwalił ją. - I dlatego, kochanie, na dziś koniec amorów.

- Rozumiem, że nie chcesz mieć dzieci - domyśliła się.

- Wręcz przeciwnie - sprostował. - Elliotowi przydałoby się rodzeństwo. Ja sam bardzo lubię dzieci - powiedział, biorąc ją z ręce - i naprawdę marzę o tym, żeby zostać ojcem. Tyle że dzieci powinny przychodzić na świat w zdrowych, legalnych związkach. Nie wierzę w rodzinę, w której rodzice żyją ze sobą na kocią łapę. Rozumiesz mój punkt widzenia?

- Tak - przyznała, odważnie patrząc mu w oczy.

- Więc już wszystko jest jasne. Do piątku mamy czas, żeby jak najwięcej ze sobą być i rozmawiać. Gdy po koncercie wrócimy do domu, zadam ci jedno konkretne pytanie. Zgoda?

- Och, Quinn... - szepnęła, czując, że jeszcze chwila i znowu się rozpłacze.

- Och, Amando. - Pokiwał głową i lekko pocałował ją w usta. - Póki co, idziemy do łóżka. Każde do swojego - zaznaczył, widząc jej filuterny uśmiezek.

- Już się robi, panie Sutton! - zawołała, stając przed nim na baczność.

Odprowadził ją do pokoju i zaproponował, żeby nazajutrz wybrała się z nim na pastwiska. Zgodziła się chętnie, czując, że noc bez niego będzie dla niej dużym wyzwaniem. Gdy przed snem szczotkowała

włosy, myślała o tym, że z wolna uzależnia się od jego bliskości. Patrząc sobie prosto w oczy, postanowiła w pełni wykorzystać każdą minutę, którą spędzą razem, zanim nadejdzie piątek, a wraz z nim chwila prawdy...

Dni, które przysły po niedzieli, były wilgotne i mgliste. Śnieg szybko topniał, smagany silnymi powiewami wiatru, zwanego w tych stronach „chinook”. Nim Amanda zdążyła się obejrzeć, nadszedł piątkowy wieczór i trzeba było przygotować się do wyjścia. Niechętnie wyjęła z szafy swoją skórzaną suknię, którą poprzedniego dnia przywiozła z chaty Durninga. Włożyła ją, a potem długo patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Z rozpuszczonymi włosami sięgającymi pasa, w obcisłej beżowej sukni i kozakach na wysokim obcasie wyglądała jak uosobienie kobiecej zmysłowości. Rozmyślnie wrzuciła do torby swoją słynną hippisowską opaskę: będzie czas ją założyć, jeśli w ogóle zdecyduje się wejść na scenę. Quinn nadal nie znał prawdy. Nie miała serca ani odwagi rujnować wspaniałej atmosfery tych kilku niezapomnianych dni, podczas których zdawało jej się, że śni na jawie. Niestety, tego wieczoru jej cudowny sen musi się skończyć. Quinn dowiódł się całej prawdy i wydał na nią wyrok: spróbują być razem, albo będzie musiała wrócić do swego dawnego świata. Świadoma tego, co ją czeka, wzięła głęboki oddech i wyszła z pokoju. Szła na dół, myśląc o tym, że idzie na spotkanie swojego przeznaczenia.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Siedzieli we trójkę przy stoliku ustawionym w najdalszym kącie sali, spoglądając mimo woli na rozgorączkowany tłum, który szczelnie wypełniał wielką salę w schronisku Larry'ego. Elliot, podobnie jak Amanda, był wyraźnie spięty i nerwowo rozglądał się naprawo i lewo. Natomiast Quinn siedział spokojnie, za to był milczący i nastroszony. Od chwili, gdy Amanda zeszła na dół w swoim scenicznym kostiumie, który nadawał jej wygląd kobiety niedostępnej i luksusowej, Quinn przestał być sobą. Na powrót odgradził się od świata grubym pancerzem obojętności graniczącej z arogancją.

Amanda co pewien czas wodziła za nim rozkochanym wzrokiem, pełna uznania dla poświęcenia, jakim z pewnością było dla niego włożenie ciemnego, wizytowego garnituru. Musiała jednak przyznać, że w eleganckim ubraniu wyglądał dziwnie obco. Z sentymentem wspominała znoszone dżinsy i kozuch, w których chodził na co dzień, niepewna, czy po dzisiejszym wieczorze będzie miała okazję zobaczyć go jeszcze w tym znajomym ubraniu. Zgnębiona, z żalem i tęsknotą myślała o tych paru gorących wieczorach, które spędzili, pieszcząc się na wygodnej sofie w jego pokoju. Gdy uświadomiła sobie, że może to bezpowrotnie stracić, chciało jej się płakać. Och, Quinnie, westchnęła, gdybyś wiedział, jak bardzo cię kocham.

Elliot, nieszczęśliwy i spocony w niedzielnym ubraniu, gorączkowo lustrował tłum w poszukiwaniu idoli z Desperado.

- Za czym się tak rozglądasz? - zainteresował się Quinn.

- Za niczym. Po prostu szukam znajomych twarzy.

- Znajomych twarzy? - zdziwił się Quinn. - A kogo ty tu możesz znać? Przecież to ludzie show biznesu. Artyści od siedmiu boleści. Zwykli zjadacze chleba jak my nie mają z nimi nic wspólnego.

Mówił prawdę, tyle że ta prawda była dla Amandy szczególnie bolesna. Aby odgonić złe myśli, nakryła dłonią jego dłoń.

- Masz lodowate ręce - powiedział miękko, zagładając jej w oczy. - Dobrze się czujesz, kochanie?

Jedno ciepłe słowo wystarczyło, by od środka ogrzało ją wewnętrzne ciepło. Uśmiechnęła się smutno i mocno oplotła palce wokół jego palców. Patrząc na ich złączone ręce, myślała o tym, jak bardzo różnią się jej delikatne, gładkie dłonie od jego silnych, spracowanych rąk. Choć ona miała dłonie artystki, a on ręce człowieka, który zarabia nimi na chleb, gdy je złączyli, pasowały do siebie idealnie.

- Pytałem, czy dobrze się czujesz? - powtórzył, zaniepokojony jej milczeniem.

- Tak, nic mi nie jest, tylko... Posłuchaj, Quinn, ja...

- A teraz, moi drodzy, chciałbym zaprosić na scenę osobę, którą wszyscy doskonale znamy! - zagrzemiał radośnie wynajęty do poprowadzenia koncertu znany prezenter z Las Vegas. - Chyba nie ma pośród nas nikogo, kto nie słyszał genialnej muzyki zespołu Desperado. Grupa zdobyła wiele wyróżnień i nagród, w tym zeszłoroczną nagrodę

Grammy za album „Wichry zmian”. Piosenka „Zakazana miłość”, skomponowana przez lidera grupy Hanka Shoemana, otrzymała tytuł najlepszego utworu muzyki country oraz status złotej płyty w kategorii singli. Dziś wieczór chcielibyśmy uhonorować muzyków z Desperado w sposób szczególny. - Podniósł do góry złotą odznakę. - Jak zapewne pamiętacie, ponad miesiąc temu miała miejsce wielka tragedia: podczas koncertu grupy zginęła nastoletnia fanka. Wokalistka Desperado, widząc, co dzieje się pod sceną, rzuciła się na pomoc, przez co omal nie została stratowana przez tłum. Po tym tragicznym zdarzeniu zespół zawiesił na pewien czas działalność. Jestem więc szczególnie dumny, mogąc ogłosić, że dzisiejszym koncertem Desperado powraca na scenę i już za chwilę udowodni wszystkim swoim fanom, że jest w doskonałej formie. A ta pamiątkowa odznaka, ufundowana przez środowisko muzyczne, niech będzie skromnym wyrazem naszego uznania i podziękowania dla niezwyklej młodej kobiety, która nie wahała się zaryzykować własnego życia. Okażmy jej nasz wielki szacunek. Proszę państwa, oto... - zawiesił dramatycznie głos, patrząc ponad głowami publiczności tam, gdzie siedziała zszokowana Amanda - ... gwiazda grupy Desperado, Amanda Corrie Callaway! Mandy, ta nagroda jest specjalnie dla ciebie. Zapraszamy na scenę! Chodź do nas, Mandy!!!

Amanda mocno zacisnęła zęby. Była tak zaskoczona rozwojem sytuacji, że w głowie miała zupełną pustkę. Koledzy z zespołu musieli wiedzieć, co się święci, bo nie okazując żadnego zdziwienia, zajęli

miejsca na scenie i zaczęli przygotowania do występu.

- Chodź do nas, skarbie! - ryknął Hank, przekrzykując pierwsze takty popularnego utworu, będącego wizytówką muzycznego stylu grupy.

Amanda popatrzyła najpierw na Elliota, który, o czym doskonale wiedziała, był w tej ciężkiej chwili jej największym sprzymierzeńcem. Nie zawiodła się na nim: chłopiec wpatrywał się w nią oczyma pełnymi zachwytu. Natomiast Quinn w ogóle nie patrzył w jej stronę. Z nieodgadniętym wyrazem twarzy obserwował wiwatujący tłum. Amanda wiedziała, że nie może dłużej zwlekać. Rzuciła więc ciche słowo pożegnania i ruszyła w stronę sceny, odprowadzana spojrzeniami setek ciekawych oczu. Po drodze wyjęła z kieszeni opaskę i włożyła ją na głowę. Nie miała odwagi odwrócić się, żeby spojrzeć na Quinna. Szła więc coraz szybciej, czując, jak dudniący rytm perkusji zaczyna rozgrzewać jej ciało i krew.

Odebrała nagrodę, po czym wzięła do ręki mikrofon i stanąwszy na środku sceny pomiędzy Johnsonem i Deke'em, odszukała wzrokiem Quinna i Elliota.

- Serdecznie wszystkim wam dziękuję - zaczęła głosem lekko ochryłym z emocji. - Jak wiecie, mam za sobą kilka trudnych tygodni. Na szczęście udało mi się przezwyciężyć problemy i zaczynam optymistycznie myśleć o tym, co ciągle przede mną. Niech Bóg ma was wszystkich w swojej opiece. Tę piosenkę dedykuję dwóm niezwykłym

mężczyznom, którzy niedawno zaprosili mnie do swojego życia - za-wołała, dając znak Hankowi, który natychmiast zaczął wystukiwać pierwsze takty słynnej „Piosenki o miłości”.

Mimo szalonego rytmu utwór trafiał prosto do serc wzruszonych słuchaczy. Słowa, będące żarliwym miłosnym wyznaniem, nie pozostawiały nikogo obojętnym. Amanda włożyła w nie całe serce, modląc się, by jej przesłanie poruszyło wrażliwą strunę w duszy Quinna.

On zaś w ogóle nie słuchał tych gorących słów. Nie czekając, aż Amanda skończy śpiewać, wstał z miejsca i ciągnąc za sobą oburzonego Elliota, wyszedł pospiesznie z sali.

Zmobilizowała całą siłę woli, by jakoś dotrzeć do końca. Gdy wybrzmiały ostatnie akordy piosenki, ukloniła się nisko publiczności, która na stojąco zgotowała jej owację. Musiała bisować, ale na tym oczywiście się nie skończyło. Rozentuzjasmowany tłum długo nie chciał puścić jej ze sceny. Gdy wreszcie udało im się dotrzeć za kulisy, po samochodzie Quinna nie było już śladu. Nie było też żadnego listu ani wiadomości. Zresztą nie były wcale potrzebne. Quinn powiedział wszystko, co chciał powiedzieć, odwracając się do niej plecami i wychodząc w połowie jej występu. Dowiedział się, kim ona jest, i w czytelny sposób dał do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Swoich uczuć nie wyraziłby jaśniej nawet wtedy, gdyby napisał do niej list własną krwią.

Była zdruzgotana. Przez jakiś czas łudziła się, że Quinn spokojnie

przemyśli sprawę i mimo wszystko zmieni zdanie. Niestety, nie zmienił.

- Zdaje się, że muszę poszukać sobie nowego lokum na dzisiejszą noc - powiedziała z gorzkim uśmiechem. Miała przy tym taki wyraz twarzy, że koledzy nie musieli już o nic pytać.

- Sytuacja przerosła faceta, co? - domyślił się Hank. - Nie martw się, skarbie, dasz sobie radę. Póki co, mamy w miasteczku cały apartament, więc na pewno wszyscy się zmieścimy. Jutro z rana pojedę na ranczo po twoje rzeczy.

Westchnęła, przyciskając do piersi złotą odznakę.

- Gdzie teraz gramy?

- Zuch z ciebie! To lubię - pochwalił ją Hank, po bratersku otaczając ją ramieniem. - Następny koncert mamy w San Francisco. Ja i reszta chłopaków wyruszamy tam jutro z samego rana.

- Naszym autokarem?

- A czym?! Przecież wiesz, że za skarby świata nie wsiądę do samolotu!

- Oj, ty tchórze! - Roześmiała się. - Róbcie, co chcecie, ale ja nie zamierzam tłuc się cały dzień autokarem. Polecę jakimś czarterem i spotkam się z wami na miejscu.

- Jak chcesz - skwitował Hank. - Dobra, pora spadać. Należy nam się trochę odpoczynku.

- Doskonale ci poszło, no wiesz, na scenie. - Johnson poklepał ją po ramieniu. - Byliśmy z ciebie dumni.

- Jeszcze jak! - podchwycił Deke.

- Dzięki, chłopcy - odparła ze słabym uśmiechem. - Nie mogę powiedzieć, że nic mnie to nie kosztowało, ale przynajmniej wytrzymałam do końca.

Czuła się znużona. Od środka rozsadzał ją dławiący ból. Chwilami zdawało jej się, że dłużej tego nie wytrzyma. Nie sądziła, że można tak bardzo za kimś tęsknić. Jak najdalej odpychała od siebie myśl, że Quinn potraktował ją jak nic nieznaczący przerywnik w swoim ustabilizowanym życiu.

W nocy prawie nie spała. Mimo to wstała z samego rana i obserwowała przez okno, jak Hank wyjeżdża na ranczo po jej rzeczy. Śniadania prawie nie tknęła. Jedzenie po prostu nie przechodziło jej przez gardło. W napięciu oczekiwała na powrót Hanka. Ten zaś zjawił się w hotelu po blisko trzech godzinach i sądząc po zachowaniu, był czymś mocno poruszony.

- Masz moje rzeczy? - zapytała, ledwie przestąpił próg.

- Jasne. Zabrałem wszystko od Suttona i z chaty Durninga. Mam dla ciebie list od Elliota - oznajmił, podając jej kopertę.

- A od Quinna... nic?

- W ogóle go nie widziałem - burknął. - W domu byli tylko chłopak i ten stary. Oni nic o nim nie mówili, a ja nie pytałem. Nie znam gościa, ale muszę powiedzieć, że nie ma we mnie przyjaciela.

- Dziękuję, Hank.

- Daj spokój. Rozstania nigdy nie są łatwe, dziecino. Twój związek z tym góralem i tak nie miał większych szans. On siedzi sam w tej głuszy, a ty jesteś dziewczyną z wielkiego miasta.

- Tak sądzisz? - zapytała, myśląc o tym, z jaką naturalną łatwością odnalazła się w świecie Quinna. Nie podzieliła się jednak tym spostrzeżeniem. Nie mówiąc nic więcej, otworzyła list od Elliota:

*Amando,*

*Twój występ był rewelacyjny. Nie wiem, co myśli tata, bo przez całą drogę do domu w ogóle się do mnie nie odzywał. A wczoraj wieczorem zamknął się w swoim pokoju i wyszedł dopiero dziś rano. Powiedział, że idzie na polowanie, ale to chyba nieprawda, bo nie zabrał ze sobą naboju. Czy u ciebie wszystko w porządku? Napisz do mnie w wolnej chwili. Bardzo cię kocham.*

*Twój przyjaciel*

*Elliot*

Mocno zacisnęła zęby, żeby się nie rozpłakać. Kochany Elliot. Przynajmniej w nim jednym wciąż ma wiernego przyjaciela. Natomiast z Quinnem sprawa jest przegrana. To jasne, że nigdy nie wybaczy jej kłamstwa. A może po prostu, gdy dowiedział się, z kim ma do czynienia, jego zauroczenie minęło? Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Im dłużej bowiem zastanawiała się nad swoją



sytuacją, tym bardziej czuła się nieszczęśliwa i bezradna. W głębi serca wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że bezpowrotnie straciła prawdziwą miłość, którą ledwie co odnalazła. Starannie złożyła list od Elliota i wsunęła do torebki. Będzie przypominał jej o tych kilku cudownych dniach, podczas których czuła się jak w niebie.

Przez resztę dnia wraz z kolegami zajmowała się przygotowaniem do wyjazdu. Po naradzie z menadżerem ustalili, że chłopcy wyruszą nazajutrz z samego rana, ona zaś poleci czarterem lokalnych linii lotniczych, które zajmują się przewozem kadry kierowniczej dużych firm. W porannym samolocie nie było już wolnych miejsc, zdecydowała się więc lecieć po południu. Okazało się jednak, że któryś z pasażerów zwrócił bilet, skorzystała więc z oferty last minute.

- Może jednak pojedziesz z nami? - namawiał Hank. - Z tymi cholernymi latającymi trumnami nigdy nic nie wiadomo.

- Nie ma mowy. Nie martw się, wszystko będzie w porządku.

- Skoro tak mówisz...

- Tak, właśnie tak mówię! - ucięła dalszą rozmowę.

Hank wzruszył ramionami, ale nie wyglądał na przekonanego. Ponieważ Amanda zdążyła się już przyzwyczaić do jego obaw związanych z lataniem, traktowała je jak niegroźną fobię, na którą nie należy zwracać uwagi.

Wieczorem wróciła wcześniej do hotelu i zamknęła się w swojej sypialni. Bez chwili wahania sięgnęła po telefon i wybrała numer

Quinna. To miała być ostatnia próba. Łudziła się, że przy odrobinie szczęścia przekona go, żeby chociaż wysłuchał jej wyjaśnień.

Po drugim dzwonku wstrzymała oddech. Po trzecim ktoś podniósł słuchawkę.

- Sutton - odezwał się bezbarwny, znużony głos po drugiej stronie.

- Quinn? To ja... Posłuchaj mnie przez chwilę. Pozwól mi wyjaśnić...

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać - wszedł jej w słowo. - Widziałem wszystko na scenie.

- Ja wiem, ta cała historia musi wydawać ci się okropna - zaczęła, ale nie pozwolił jej skończyć.

- Okłamałaś mnie - stwierdził sucho. - Pozwoliłaś, żebym uwierzył, że jesteś skromną dziewczyną, która żyje z gry na keyboardzie. A tu proszę! Okazuje się, że pani Mandy Callaway to gwiazda pierwszej wielkości.

- Bałam się, że jeśli powiem ci prawdę, nie będziesz chciał mnie znać.

- Po prostu bałaś się, że przejrzę cię na wylot - sprostował. - Zrobiłaś ze mnie idiotę.

- To nieprawda!

- Dzień w dzień kłamałaś mi w żywe oczy. Wracaj na tę swoją ukochaną scenę, do swoich zbirowatych koleżków, i dalej tłucz wielką kasę, nagrywając tę swoją głupią muzykę. Tak naprawdę potrzebowałem

cię tylko w łóżku, nie będę więc za tobą płakał - rzucił z wściekłością. Amanda nie mogła zobaczyć rozpacz, która malowała się w jego oczach, gdy zmuszał się, by powiedzieć te okrutne słowa. Wiele go to kosztowało, ale teraz, gdy wiedział o niej wszystko, czuł, że nie może pozwolić sobie na słabość. Musi ją do siebie zniechęcić, tak by bez żalu wróciła do dawnego życia, a jego zostawiła w spokoju. Przecież on nie ma nic, co mogłoby konkurować z bogactwem i sławą, które daje jej wielki świat. Kiedy tak niespodziewanie ujrzał ją na scenie, piękną, podziwianą i oklaskiwaną przez zachwycony tłum, nagle wyjątkowo boleśnie odczuł własną małość. To, co wtedy przeżył, było najgorszą chwilą jego życia. Patrząc na Amandę, pojął, że oto spełnia się największy koszmar: marzy o kobiecie, która, jak się okazuje, jest dla niego po prostu nieosiągalna.

- Quinn! - jęknęła bezradnie. - Nie mówisz tego poważnie?!

- Najpoważniej na świecie - wycedził przez zęby, a potem zacisnął powieki i powiedział ze stoickim spokojem: - Nie chcę cię więcej znać, rozumiesz?! Nie dzwoń do mnie, nie przyjeżdżaj, nie pisz żadnych listów. Nie życzę sobie, żebyś kontaktowała się z Elliotem. Masz na niego zły wpływ. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć - rzucił na koniec i przerwał połączenie.

Oszupiała długo wpatrywała się w milczącą słuchawkę. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy usłyszała piskliwy odgłos, przypominający o tym, że należy ją odłożyć. Zrobiła to, a potem położyła się na łóżku i

długo leżała w ciemności, poddając się zwątpieniu. Łzy, które nieustannie płynęły po jej twarzy, moczyły włosy i poduszkę. W uszach wciąż miała bezlitosne słowa Quinna: Masz zły wpływ na Elliota. Nie chcę cię więcej znać. Byłaś mi potrzebna tylko w łóżku.

Zrozpaczona, wtuliła twarz w mokrą poduszkę. Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak będzie dalej żyć. Do tej pory pocieszała się, że przynajmniej będzie mogła kontaktować się z Elliotem. Teraz nawet to stało się niemożliwe. Gdy o tym myślała, serce pękało jej z żalu. Tak bardzo go polubiła, a on również był do niej mocno przywiązany. Nie rozumiała, dlaczego Quinn jest wobec niej aż tak bezlitosny. Może zresztą ma rację? Może tak będzie dla nich wszystkich lepiej? Im szybciej o sobie zapomną, tym łatwiej wrócą do normalnego życia. Może ona też nauczy się kiedyś tak myśleć? Póki co, powinna skupić się na obowiązkach zawodowych. Czekają ją pierwszy duży publiczny występ po przerwie. Z tego, co mówili chłopcy, bilety na ich koncert w San Francisco zostały błyskawicznie wykupione. Musi więc zrobić wszystko, by fani zespołu nie poczuli się rozczarowani.

Następnego ranka obudziła się w tak podłym nastroju, że długo nie mogła zmusić się do wstania z łóżka. Męczyło ją dziwne przeczucie, że jej świat za chwilę się skończy. Chłopcy z zespołu, widząc, w jak fatalnej jest formie, nie zadawali jej żadnych pytań i dyskretnie odwracali wzrok, by nie patrzeć na jej mizerną twarz bez makijażu i włosy upięte w niedbały kok.

- Zobaczymy się w San Francisco - uśmiechnął się Jerry, ich menadżer. - Chętnie poleciałbym razem z tobą, ale sama rozumiesz, że beze mnie te duże dzieciaki zginą. Uważaj na siebie, dziewczyno, i sprawdź, czy pilot ma wszystko na miejscu - zażartował, gdy się żegnali.

- Obiecuję, że sprawdzę go bardzo dokładnie - odparła, zmuszając się do uśmiechu. - Wy też na siebie uważajcie, chłopcy. Do zobaczenia w gorącej Kalifornii.

Zaczekała, aż wsiądą do autokaru, a kiedy odjechali, westchnęła ciężko. Nie pierwszy raz w życiu czuła się opuszczona i samotna. Śnieg sypał gęsto i wiał nieprzyjemny wiatr, a ona nie miała nawet płaszcza: zapakowała go do walizki, która dawno już pojechała na lotnisko. Kiedy chłód zaczął jej mocno dokuczać, odwróciła się i bez pośpiechu wsiadła do taksówki.

Na szczęście ciepły wiatr roztopił śnieg zalegający na pasach startowych, więc ruch lotniczy odbywał się bez żadnych przeszkód. Amanda wysiadła z taksówki przed hangarem linii czarterowej i poszła przywitać się z pilotem.

- Witam. - Uśmiechnął się, podając jej dłoń. - Zapewniam panią, że mimo nie najlepszej pogody wystartujemy bez opóźnienia. Mechanicy właśnie kończą ostatni przegląd i twierdzą, że wszystko jest w porządku, więc proszę się nie martwić.

- Nie martwię się. - Wzruszyła ramionami i poszła za stewardesą, która zaprosiła ją na pokład.

Wybrała fotel od strony przejścia, mimo iż zwykle siadała przy oknie. Dziś jednak nie miała najmniejszej ochoty podziwiać pięknych widoków. Co to zresztą za widok, jedna zasypana śniegiem góra bliźniaczo podobna do drugiej, myślała z niechęcią. Dziwnie nie miała serca ani do tego lotu, ani do czekającego ją występu przed publicznością. Zmęczona własnymi myślami, usadowiła się w możliwie wygodnej pozycji i zamknęła oczy.

Czas do startu dłużył jej się niemiłosiernie, klęła więc w duchu rozlazłych biznesmenów, którzy jeden po drugim zajmowali miejsca w samolocie. Kiedy okazało się, że ktoś zrezygnował z podróży i miejsce obok niej pozostanie wolne, odetchnęła z ulgą. Drżała bowiem na myśl o tym, że miejsce przy oknie zajmie jakiś nudny gaduła, który będzie zamęczał ją rozmową aż do samej Kalifornii.

Kiedy pilot uruchomił wreszcie silniki, odruchowo sprawdziła, czy dobrze zapięła pas. Z głośników popłynął komunikat, że start powinien nastąpić za chwilę. Westchnęła ciężko, zegnając w myślach Quinna Suttona, Elliota i Harry'ego. Nie miała złudzeń, że nigdy więcej nie zobaczy żadnego z nich. Na myśl o tym skrzywiła się z bólu. Och, Quinn, jęknęła w myślach, dlaczego nie chciałeś mnie wysłuchać?

Załoga otrzymała z wieży kontrolnej pozwolenie na start i samolot zaczął kołować po pasie startowym. Po chwili nabrał odpowiedniej prędkości i gładko wzbił się w powietrze, lecz Amandzie zdawało się, że maszynie dziwnie brakuje mocy. Latała tak często, że zdążyła nabrać

doświadczenia, a tym razem instynkt podpowiadał jej, że coś jest nie w porządku. Otworzyła więc oczy i z niepokojem zaczęła wsłuchiwać się w nierówną pracę silników. Naraz jakiś niepokojący odgłos kazał jej zapomnieć o samolocie. Siedzący za nią starszy mężczyzna zaczął rzeźić i chwycił się kurczowo za klatkę piersiową.

- Co mu jest? - zapytała pasażera siedzącego obok.

- Pojęcia nie mam. Chyba ma zawał - oparł tamten, spoglądając bezradnie na swego niefortunnego sąsiada. - Potrafi pani mu pomóc?

- Nie bardzo. Wprawdzie przeszłam kurs pierwszej pomocy, ale wątpię, czy to wystarczy - mówiła, odpinając pas. Jej rozmówca zrobił to samo i po chwili obydwójce pochylali się nad półprzytomnym mężczyzną. Usiłowali położyć go w przejściu między siedzeniami, gdy naraz ktoś zaczął krzyczeć.

Amanda podniosła głowę i z przerażeniem ujrzała gęsty, czarny dym wydobywający się kabiny pilota. W tej samej chwili z głośników popłynął komunikat wzywający pasażerów, by natychmiast usiedli w pozycji wymaganej podczas awaryjnego lądowania. To, co działo się później, było jak film puszczony w zwolnionym tempie. Amanda poczuła, że samolot błyskawicznie traci wysokość. Leciał prosto na ośnieżone szczyty. Nieprzyjemny świst boleśnie ranił jej uszy, głowa i skronie pulsowały. Naraz podłoga usunęła się jej spod stóp. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że już nigdy więcej nie zobaczy Quinna, i zapadła się w ciemną otchłań...

Elliot siedział sam w pokoju i z nudów oglądał telewizję. Nie mógł sobie darować, że to nie on odebrał telefon od Amandy. Nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego ojciec nie pozwolił mu z nią porozmawiać, mimo że bardzo go o to prosił. W odpowiedzi usłyszał, że ma natychmiast pójść do swojego pokoju. Nieco później ojciec przyszedł do niego, ale nie chciał mu nic o niej powiedzieć. Na domiar złego kazał mu przyrzec, że bez jego wiedzy nie będzie próbował się z nią kontaktować.

Elliot uważał, że został potraktowany bardzo niesprawiedliwie. Przecież ojciec dobrze zna Amandę i doskonale wie, że ona nie jest do cna zepsutą gwiazdą rocka. Co go nagle ugryzło? Chłopiec westchnął zrezygnowany i apatycznie wygrzebał z torebki ostatniego chipsa.

Film, który właśnie oglądał, został nagle przerwany i prezenter lokalnej stacji telewizyjnej podał wiadomość z ostatniej chwili. Elliot zaczął słuchać go jednym uchem, po chwili jednak zerwał się na równe nogi i pobiegł po ojca.

Quinn zamknął się w gabinecie i z roztargnieniem przeglądał księgi rachunkowe. Kiedy Elliot bez pukania wpadł do środka, zirytowany uniósł głowę, gotowy zbesztać syna za brak manier. Wystarczyło jednak, że spojrzał na jego nienaturalnie bladą twarz i przerażone oczy, i natychmiast pojął, że stało się coś złego.

- Tato, chodź szybko! - zawołał chłopiec, nerwowo przestępując z



nogi na nogę.

Quinn pospiesznie wstał zza biurka i poszedł za synem, przekonany, że coś złego przytrafiło się Harry'emu. Chłopiec jednak nie zaprowadził go do kuchni, tylko zatrzymał się przed telewizorem i kazał mu słuchać wiadomości. Przez chwilę wpatrywał się w ekran, na którym pokazywano migawki z miejscowego lotniska.

- O co ci chodzi? - zapytał ostro, natychmiast jednak zamilkł i zaczął uważnie słuchać.

- „... według naszych danych samolot spadł około dziesięciu minut temu - mówił pracownik lotniska. - Kierownictwo portu natychmiast wysłało w rejon katastrofy śmigłowiec, który usiłuje ustalić pozycję wraku. Silny wiatr utrudnia akcję poszukiwawczą. Samolot rozbił się w wysokich partiach gór, dostępnych niemal wyłącznie z powietrza”.

- O czym on mówi? Jaki samolot? - zapytał obojętnie Quinn.

- „Powtarzamy wiadomość z ostatniej chwili - pospieszył z odpowiedzią prezenter. - Jak donoszą nasi reporterzy, w górach Grand Tetons rozbił się mały samolot pasażerski, który dziesięć minut wcześniej wystartował z lotniska w Jackson Hole. Jeden z naocznych świadków katastrofy twierdzi, że widział dym wydobywający się z kabiny pilota. Według jego relacji samolot błyskawicznie opadł w dół i zniknął pomiędzy szczytami gór. Na liście pasażerów są nazwiska dwóch znanych biznesmenów z San Francisco oraz wokalistki popularnej grupy rockowej Desperado, Mandy Callaway”.

Fotel, na który opadł Quinn, aż zakołysał się pod jego ciężarem. Jego twarz była tak samo blada jak buzia przestraszonego Elliota. W głowie huczały mu własne słowa, które podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej powiedział Amandzie. Jak bezlitosne echo wracały okrutne zdania, że nie chce jej znać i nie życzy sobie dalszych kontaktów. A teraz, nagle, jacyś obcy ludzie w telewizji mówią, że ona zginęła w katastrofie. Słuchając ich, czuł się tak, jakby ktoś wydzierał mu z piersi serce.

Patrząc bezmyślnie w kolorowy ekran, pojął nagle, że to, co czuje do Amandy, to nie fascynacja, lecz bezgraniczna miłość. Olśnienie spadło na niego w chwili, gdy nie mógł już cofnąć niepotrzebnych słów, nie mógł pobiec do Amandy i błagać, by wróciła z nim do domu, który jest także jej domem. Kiedy pomyślał o tym, że jej piękne ciało leży gdzieś pośród dzikiej, białej pustki, z jego gardła wyrwał się zduszony szloch. Tylko on wiedział, że mówił jej te straszne rzeczy nie po to, by ją zranić. To miłość kazała mu mówić, że nie chce jej znać. Kochał ją, i dlatego nie chciał komplikować jej życia. Tyle że ona już nigdy nie pozna prawdy. Umierała wierząc, że nic go nie obchodzi i budzi w nim wyłącznie nienawiść.

- Tatusiu, to nie może być prawda - jęknął Elliot. - Ktoś musiał się pomylić. Może poleciała innym samolotem? Przecież w piątek wystąpiła na koncercie i tak pięknie śpiewała... - Głos mu się załamał, więc zamilkł, kryjąc twarz w dłoniach.

Quinn nie był w stanie dłużej tego znieść. Wstał i minawszy bez słowa oniemiałego Harry'ego, w samej koszuli wyszedł na podwórze. Był tak wzburzony, że nawet nie poczuł przenikliwego chłodu. Bezradnie spojrzął na stodołę, w której Amanda karmiła osieroczone cielęta, a potem na ciemny las, przez który gonił ją, gdy szła prosto w sidła zastawione przez McNabera. Z bezsilności i bólu zacisnął dłonie w pięść, gotów wyć z żalu jak zraniony wilk. Zamiast krzyku z jego ściśniętego gardła wyszedł ochryply szept, którym w zapamiętaniu powtarzał jej imię.

Otępiały z rozpaczy stracił poczucie czasu. Kiedy za jego plecami stanął Harry, nie miał pojęcia, czy upłynęła godzina, czy pięć minut. Wyczuł jego obecność, ale nie miał odwagi się odwrócić. Nie chciał, żeby stary wiedział, co się z nim dzieje.

- Przysłał mnie Elliot - rzekł Harry. - W telewizji mówią, że ją znaleźli, ale nie mogą jej stamtąd wydostać.

- Więc ja ją stamtąd wydostanę - wycedził Quinn przez zaciśnięte zęby. - Nie zostawię jej samej na tym zimnie - wykrztusił, walcząc ze wzruszeniem. - Wyciągnij z piwnicy moje narty i buty - odezwał się po chwili pewnym, zdecydowanym głosem. - I kombinezon, wiesz, ten z termoizolacją, w którym jeździłem w pogotowiu. Zadzwoń do Terry'ego Meada, szefa ratowników.

- Co chcesz zrobić? - zapytał spokojnie Harry.

- Poproszę go, żeby załatwił mi śmigłowiec i dobrego pilota.

- Dobrze, że nie straciłeś kondycji. Szkoda tylko, że musisz iść w góry z powodu takiej tragedii - westchnął Harry.

Quinn zawrócił do domu.

Ignorując nerwowe pytania Elliota, chwycił za telefon i wybrał numer schroniska.

- Quinn! - zawołał Terry, nie kryjąc ulgi. - Bogu dzięki, że dzwonisz. Nawet nie wiesz, stary, jak mi tu ciebie potrzeba. W górach rozbił się samolot...

- Wiem! - rzucił krótko. - Znam tę piosenkarę, która jest wśród pasażerów. Przygotuj mi mapę topograficzną terenu. Dasz radę zorganizować śmigłowiec? Będzie mi też potrzebny zestaw do udzielania pierwszej pomocy i race.

- Już się robi - odparł szybko Terry. - Obawiam się jednak, że zestaw do udzielania pierwszej pomocy nie będzie potrzebny. Przykro mi, bracie...

- Mimo to wrzucić go do plecaka, dobrze? - powiedział Quinn, pokonując bolesny skurcz żołądka. - Będę u was za niecałe pół godziny.

- Czekamy.

Kiedy Quinn zbierał się do wyjścia, Elliot z podziwem oglądał jego profesjonalny kombinezon.

- Nigdy go nie wkładasz, kiedy jeździmy razem na nartach - zauważył.

- Nie muszę. Taki strój wkłada się tylko w ekstremalnych

warunkach, kiedy wiadomo, że jazda będzie długa i wyczerpująca.

- Ale te narty długasne! - zdumiał się chłopiec, obserwując, jak Quinn starannie je smaruje.

- Muszą takie być. Ich długość jest dopasowana do mojego wzrostu. Skoczkowie mają jeszcze dłuższe deski.

- Skakałeś?

- Nigdy. Startowałem w biegu zjazdowym i slalomie gigancie.

- Weźmiesz mnie z sobą? - zagadnął Elliot bez większej nadziei na pozytywną odpowiedź.

- Nie ma mowy! Wysokie góry to nie miejsce dla dzieciaka. Poza tym Bóg jeden raczy wiedzieć, co znajdę na miejscu katastrofy.

- Tato? Ona nie zginęła, prawda?

Quinn wolał zignorować to pytanie.

- Siedz w domu i nie gadaj za długo przez telefon, bo jak by co, nie będę mógł się do was dodzwonić.

- Uważaj na siebie, tato - powiedział chłopiec, patrząc, jak Quinn wprawnie zbiera swój narciarski sprzęt. - Nie mówię ci tego za często, ale naprawdę bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też, synu - wyznał Quinn. Przygarnął chłopca do siebie i złożył na jego rudej głowie szorstki, krótki pocałunek. - Nie martw się o mnie, wiem, co robię. Na pewno wrócę cały i zdrowy.

- Powodzenia - szepnął Harry, odprowadzając go do samochodu. - Mam nadzieję, że szczęście cię dziś nie opuści. Będę trzymał kciuki.

- Dzięki ci, stary druhu. Będzie mi to bardzo potrzebne! - zawołał Quinn, siadając za kierownicą. Błyskawicznie uruchomił silnik i odjechał z piskiem opon.

Terry Meade już na niego czekał. Towarzyszyło mu kilku najlepszych ratowników górskich, pilot śmigłowca oraz członkowie sztabu kryzysowego, który naprędce zebrał się w schronisku.

- Według nas samolot powinien leżeć gdzieś w tym rejonie. - Terry rozłożył na stole dużą mapę topograficzną. - To jest ta góra, którą ty nazywasz Ironside. Jak wiesz, ten szczyt jest wyłączony z naszych patroli, więc oficjalnie nie możemy wysyłać tam naszych ludzi. Jakiś czas temu śmigłowiec usiłował wylądować w pobliskiej dolinie, niestety, ze względu na silny wiatr pilot musiał się wycofać. Na dodatek widoczność jest ograniczona przez gęsty las oraz intensywne opady śniegu. Nasi ludzie zaczną szukać tutaj - oznajmił, wskazując kilka miejsc na mapie. - Wszyscy wiedzą, że ta góra to wyzwanie nawet dla najlepszych narciarzy. Cała nadzieja w tobie, bo ty jeden znasz ją jak własną kieszeń. Jeśli ktoś może ją pokonać w tak trudnych warunkach, to tylko ty.

- Jestem zdecydowany.

- Jak znajdziesz wrak, odpal racę. Znasz nasze procedury. Na wszelki wypadek wkładam ci do plecaka dwie komórki i dodatkową baterię. Czy wszyscy wiedzą, co mają robić? - zapytał, zwracając się do grupy ratowników. - Skoro tak, kończymy odprawę i przystępujemy do

akcji! - zawołał i wyprowadził wszystkich przed schronisko.

Quinn włożył czapkę i zsunął gogle na oczy. Starał się całkowicie skupić na zadaniu, które go czeka. Wolał nie myśleć o tym, co przyjdzie mu oglądać na miejscu katastrofy, o ile oczywiście uda mu się odnaleźć wrak. Gdy uświadomił sobie, że do końca życia nie zapomni ostatniej rozmowy z Amandą, odechciewało mu się wszystkiego.

Wciąż słyszał jej smutny drżący głos, gdy pytała go, czy mówi to wszystko poważnie. Myśl o tym, jak bardzo ją zranił, była niczym otwarta rana w sercu. Doskonale pamiętał, że ledwie skończyli rozmowę, gorzko pożałował swoich słów. Chciał do niej zadzwonić, wybrał nawet numer, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Czuł, że nie ma prawa wyrywać jej z barwnego świata, do którego należy. Nie ma prawa wymagać, by dla niego zostawiła to, co zdobyła ciężką pracą, i by wyrzekła się swego talentu. Nie miał złudzeń, że kobieta tak piękna i niezwykła zasługuje na dużo więcej, niż on jest w stanie jej dać. Zgnębiony westchnął ciężko. Jeśli Amanda nie przeżyła katastrofy, wspomnienie ich ostatniej rozmowy będzie dręczyło go do końca życia. Obawiał się, że nie poradzi sobie z tym ciężarem. Nawet nie chciał próbować. Dlatego nie pozostawało mu nic innego, jak odnaleźć ją żywą. Dobry Boże, jęknął błagalnie, ocal ją. Nie zabieraj mi jej! Ona musi żyć!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ostre słońce odbijało się od śniegu i nieprzyjemnie raziło go w oczy. Na policzkach czuł delikatne ciepło promieni, a w nozdrzach znajomy zapach krystalicznie czystego powietrza, które na szczycie Ironside pachniało zupełnie inaczej niż w dolinie.

Gdy wyskoczył ze śmigłowca, maszyna na chwilę zawisała nad białym wierzchołkiem, wzbijając wirnikami chmury śnieżnego pyłu. Potem pilot skinął mu na pożegnanie ręką i poderwał maszynę do lotu. Quinn został sam: samotny barwny punkt pośrodku białej pustki, poprzecinanej czarnymi zębami nagiej skały. Na szczęście nie miał czasu, żeby o tym myśleć. Błyskawicznie sprawdził wiązania, zaciągnął paski plecaka i odepchnąwszy się mocno kijkami, rozpoczął niebezpieczną jazdę w dół dziewiczego stoku.

Zwykli narciarze nie mieli prawa zapuszczać się na zbocza Ironside, dlatego nie było tu żadnych tras narciarskich, które łączyłyby górę z nartostradami pobliskiego kurortu. Ratownicy górscy, którzy patrolowali trasy uczęszczane przez turystów, również omijali Ironside. Z tej przyczyny na stokach góry nie było ani jednego punktu ratowniczego, w którym zwykle znajdował się tobogan do transportowania rannych oraz najpotrzebniejszy sprzęt. Quinn nie miał złudzeń, że może liczyć wyłącznie na siebie. Podczas gdy on szusował w dół stromizny, pozostali ratownicy przeczesywali ogólnie dostępne rejony.



Oddychając miarowo, zsuwał się po stoku, który śmiało można nazwać koszmarem snem początkującego narciarza. Quinn wolał nie myśleć o pułapkach, które niegościnna góra zastawia na śmiałków próbujących zakłócić jej spokój. W głowie miał tylko jedną myśl: gdzieś tu, w jakiejś rozpadlinie lub na zaśnieżonej skalnej półce leży Amanda. Musi ją jak najszybciej odnaleźć. I nieważne, że może go to kosztować życie.

Pierwsze minuty zjazdu nie były łatwe. Jednak wieloletnie doświadczenie pomogło mu szybko znaleźć właściwym rytm. Zjeżdżał, zwinnie balansując ciałem i wyrzucając na łukach pióropusze śniegu. Chwilami myślał o latach, gdy jako młody chłopak z zapalem trenował narciarstwo. Miał wszystkie cechy pierwszorzędnego zawodnika: odwagę, wytrwałość, upór, doskonały refleks. Nic dziwnego, że wszyscy wróżyli mu wspaniałą karierę i widzieli w nim przyszłego medalistę igrzysk olimpijskich. Właśnie wtedy, podczas przygotowań do olimpiady, trenował na morderczych stokach Ironside i zdążył poznać je bardzo dokładnie. Życie zweryfikowało jego sportowe ambicje, lecz on i tak wracał często na tę górę, by zmierzyć się z nią i udowodnić sobie, że nadal nie wyszedł z wprawy.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień, pochylając się miękko na kolejnym łuku. Starał się kontrolować prędkość, by w porę ominąć przeszkody, których tu nie brakowało. Podskakiwał na licznych muldach, jechał slalomem pomiędzy drzewami, przeskakiwał przez

pokryte śniegiem głązy i pnie drzew.

Penetrując czujnym spojrzeniem białą dal, dziękował Bogu, że dzięki sprawności i doświadczeniu może się na coś przydać. Gdyby w tej chwili przyszło mu beczynnie siedzieć w domu i czekać w napięciu na kolejne doniesienia o wyniku poszukiwań, chyba by oszalał. Póki mógł, nie dopuszczał do siebie myśli, że Amanda nie żyje. Jak każdy zawodowy ratownik szedł w góry, by odnaleźć żywych ludzi. Wiele razy słyszał o szczęściarzach, którzy wyszli cało z najpoważniejszych katastrof lotniczych. Wmawiał sobie, że Amanda znajdzie się wśród cudem ocalonych pasażerów samolotu. Czuł, że dla własnego dobra musi jak najdłużej podtrzymywać w sobie tę wiarę. Innego wyjścia nie miał: uwierzy w cud albo oszaleje.

Liczył na to, że gdy dotrze do podnóża góry, znajdzie tam szczątki rozbitego samolotu. Jego nadzieje okazały się płonne. W miejscu, znad którego zawrócił pierwszy ratowniczy śmigłowiec, nie było ani śladu rozbitków. Może świadek, który wskazał Ironside jako miejsce katastrofy, najzwyczajniej w świecie się pomylił? Może samolot roztrzaskał się o zbocze innej góry, zupełnie gdzie indziej? Quinn zatrzymał się na sekundę, by zebrać myśli. Doskonale wiedział, że jeśli ktokolwiek przeżył wypadek, nie wytrzyma długo w tak skrajnych warunkach. Dlatego pomoc musi nadejść jak najszybciej. Wbił kijki w śnieg z taką siłą, że aż zgrzytnęły o kamień, i zaczął zjeżdżać jeszcze niżej. Tym razem nie był już tak spokojny jak na początku. Niepokój i

zwątpienie ścisnęły go żelazną obręczą za serce, powodując, że mimo wysiłków nie mógł równo oddychać.

Nie bacząc na groźbę podcięcia lawiny, zboczył nieco z trasy i przejechał wzdłuż grzbietu, na którym utworzyła się śnieżna zaspą. Po kilkunastu metrach znów zaczął zjeżdżać w dół, kreśląc na śniegu regularne linie w kształcie litery S. W pewnej chwili jego uwagę przykuł słaby dźwięk, który dotarł do niego poprzez szum wiatru. Tak, na pewno coś usłyszał! Tylko co? Głosy! Gdzieś blisko krzyczą ludzie!

Zatrzymał się tak gwałtownie, że musiał dotknąć rękawicą śniegu. Potem dłuższy czas nadśluchiwał, kręcąc głową na prawo i lewo. Początkowo słyszał tylko świst wiatru, który wygrywał melodię w koronach strzelistych świerków. Nagle przez dobrze mu znane odgłosy natury przedarło się ludzkie wołanie.

Quinn przeniósł ciężar ciała na ugiętą nogę, i podnosząc dłonie do ust, zawołał:

- Hej! Gdzie jesteście?

Potem czekał, modląc się, by wibracje jego głosu nie wywołały lawiny.

- Ratunku! Tutaj! Tutaj!

Natychmiast ruszył w stronę, z której dobiegało wołanie. Bał się, że może zmylić go echo, ale wołał o tym nie myśleć. Nagle poniżej granicy rzadkiego lasu dostrzegł oślepiający blask metalu oświetlonego popołudniowym słońcem. Samolot! I żywi ludzie! Boże, spraw, żeby

Amanda była wśród nich...

Błyskawicznie pokonał odcinek dzielący go od samolotu, który pomimo zderzenia z ziemią rozpadł się na części. Z daleka widział dwóch mężczyzn stojących obok wraku: jeden miał zabandażowaną głowę, drugi trzymał rękę na temblaku zrobionym z krawata. Wydawało mu się, że jest z nimi jakaś kobieta, ale na pewno nie była blondynką. Na śniegu u ich stóp leżały dwa podłużne kształty, szczelnie okryte płaszcami. Okryte całkowicie, łącznie z głową...

Nie, Boże, zlituj się! Tylko nie ona! Błagam, tylko nie ona! Półprzytomny z niepokoju, ostro zahamował obok rozbitków.

- Jestem Sutton - wysapał. - Ile osób zginęło? Ilu jest rannych?

- Dwie osoby nie żyją - odparł mężczyzna, który przedstawił się jako pilot. - Mieliśmy pożar w kabinie. Jedyne, co mogłem zrobić, to awaryjnie lądować. Jezu, co za nieszczęście! - Pokręcił głową. - Mówiłem pasażerom, żeby posprawdzali pasy i usiedli w pozycji do lądowania. Nie mam pojęcia, dlaczego troje z nich nie siedziało w swoich fotelach. Dwie osoby zginęły na miejscu, trzecia jeszcze żyje, ale jest nieprzytomna.

Quinn poczuł, jak całym jego ciałem wstrząsa potężny dreszcz.

- Wśród pasażerów była znana piosenkarka, Amanda Callaway... - zaczął, z trudem zachowując spokój.

- Tak, wiem... - skinął głową pilot. Quinn wstrzymał oddech. Miał wrażenie, że czas stanął w miejscu. - To ona jest nieprzytomna -

powiedział pilot znużonym głosem.

- Gdzie ona jest? - zapytał Quinn. Ręce drżały mu tak mocno, że z trudem podniósł gogle.

Pilot nie zadawał żadnych pytań. Bez słowa minął grupkę pasażerów, którzy siedzieli na szczątkach bagażu, okrywając się, czym kto mógł, i zaprowadził Quinna do miejsca, gdzie stały naprędce sklecone nosze.

- To ona - westchnął, wskazując nieruchomą postać okrytą kilkoma płaszcami.

- Amando! - szepnął Quinn zdławionym głosem, klękając obok noszy. Jej twarz i usta były tak blade, jakby odpłynęła z nich wszystka krew. Od nienaturalnie białych policzków ostro odcinały się długie czarne rzęsy i świeża rana, która biegła w poprzek czoła aż do prawej skroni. Quinn wyszarpnął dłoń z rękawicy i przyłożył do jej szyi, żeby zbadać tętno. Serce wciąż biło, ale bardzo słabo i wolno. Amanda rzeczywiście była nieprzytomna. A jeśli to agonia? Na samą myśl o tym ogarnął go dziwny, wewnętrzny chłód: zupełnie jakby jego krew też przestawała krążyć.

- Chryste... - jęknął zrozpaczony, zaraz jednak wziął się w garść. Nie zamierzał poddawać się bez walki.

Pasażerowie powstawali ze swoich miejsc i skupili się wokół niego jak dzieci wokół opiekuna, śledząc w napięciu każdy jego ruch. Błyskawicznie wyciągnął z plecaka komórkę, modląc się, by na tym

puszcowiu miała bodaj słaby zasięg. Pokonując drżenie rąk, wybrał numer Terry'ego. Czekał. Przez kilka długich sekund w aparacie nie było słycać żadnego dźwięku. Potem rozległy się dwa długie sygnały i po chwili Quinn usłyszał znajomy głos.

- Terry Meade!

- Tu Sutton! Znalazłem ich!

- Bogu niech będą dzięki! Dawaj współrzędne! Quinn wprawnie rozłożył mapę i błyskawicznie podał położenie wraku.

- Tylko dwie osoby nie żyją, a jedna jest nieprzytomna? - nie mógł nadziwić się Terry, wysłuchawszy raportu o stratach.

- Zgadza się - odparł Quinn.

- Jak tylko wiatr osłabnie, wyślemy po was śmigłowce. Dopóki wieje, nic nie mogę zrobić.

- Rozumiem, ale ty też spróbuj mnie zrozumieć! - wrzasnął do telefonu, przekrzykując wiatr. - Muszę jak najszybciej przetransportować tę kobietę do szpitala. Nie mogę czekać, bo już teraz jest z nią bardzo źle.

Terry zamyślił się na chwilę.

- Wiem, co zrobimy. Pogadam z Lanym Hale'em, żeby do was zjechał. Znasz go, to nasz najlepszy, najbardziej doświadczony ratownik. Kiedy Larry będzie w drodze, zrzucimy ci ze śmigłowca tobogan i trochę zapasów, które przydadzą się rozbitkom. We dwóch spróbujecie dowieźć dziewczynę do miejsca, w którym helikopter może

bezpiecznie lądować. Nie widzę innego wyjścia. Zaryzykujesz?

- Muszę - odparł z ciężkim westchnieniem. - Jestem pewien, że bez pomocy lekarzy dziewczyna nie dożyje jutra. Nie mogę siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak uchodzi z niej życie. Czekaj, niech się zastanowię nad trasą... - powiedział, patrząc na mapę. - W porządku, powinniśmy dać radę. Pojedziemy wzdłuż grani Caraway do przełęczy, która prowadzi do Jackson Hole. Śmigłowiec może przejąć nas w jakimś bezpiecznym miejscu. Co o tym myślisz?

- Może być. Na przełęczy da się lądować, bo przed sezonem leśnicy uprzątnęli wszystkie wiatrolomy.

- Nie ma sprawy. Jeśli będzie trzeba, utoruję sobie drogę gołymi rękami - oznajmił Quinn.

Terry parsknął pod nosem.

- Czekaj, dzwoni Hale. - Terry zajął się rozmową z drugiego telefonu. Po chwili odezwał się do Quinna. - Mówi, że już jest w drodze. Zaraz wysyłam helikopter z toboganem i zapasami. Cholera! Fatalnie, że nie możemy was stamtąd zdjąć! Quinn! - zawołał, zamieniwszy z kimś przedtem kilka słów. - Pilot uważa, że wystarczy, jak dowieziecie dziewczynę do grani Caraway. Twierdzi, że powinien tam bez problemu wylądować. Zapytaj resztę pasażerów, czy dotrważą do jutra, jeśli zrzucimy im koce, namioty i jedzenie.

- Przeżyjecie do jutra? - Quinn zwrócił się do pilota.

- Czemu mielibyśmy nie przeżyć? - Mężczyzna uśmiechnął się. -

Ja jadłem węże w Wietnamie, a Bill odbywał służbę na biegunie. Powiem panu, że nawet bez pomocy ratowników dalibyśmy radę wszystkim ogrzać i nakarmić. Niech pan się nami nie przejmuję. Najważniejsze to dowieźć tę kobietę do szpitala.

Bill popatrzył współczująco na Amandę.

- Dobrze znam jej piosenki. Kultura poniosłaby wielką stratę, gdybyśmy pozwolili jej umrzeć.

Quinn wrócił do przerwanej rozmowy z Terryem.

- Pilot mówi, że dadzą sobie radę. Czy na pewno jutro z samego rana przyślesz po nich śmigłowiec? - upewnił się.

- Przekaż im, że jeśli będzie trzeba, wyślę po nich eskadrę pługów śnieżnych, ratraków, skutery śnieżne, sanie. Wszystko, co mam. Szefowie wszystkich ekip już pracują nad planem akcji.

- W porządku. Do usłyszenia - powiedział Quinn i rozłączył się. Wyjął z plecaka wszystkie zapasy i przekazał pilotowi.

- Raj na ziemi. - Pilot rozpromienił się. Spoglądając na saszetki z proteinową odżywką, zażartował: - Z tego, co pan mi zostawia, można zrobić ognisko, zbudować dom i przyrządzić obiad z siedmiu dań.

- Niezły z pana specjalista - uśmiechnął się Quinn. - Gdybym miał rozbić się samolotem, chciałbym, żeby to pan siedział za sterami.

- Dziękuję za słowa uznania. Ale panu ani sobie nie życzę takich przygód. - Przeniósł wzrok na ciała dwóch ofiar śmiertelnych. - Tragiczna sprawa. - Ponuro kiwał głową. - Mam nadzieję, że



dziewczyna przeżyje.

Quinn zacisnął zęby.

- Ma naturę wojowniczkę. Oby tylko nie straciła woli walki... - Westchnął, drżąc na myśl o tym, że swoim okrutnym postępowaniem mógł jej odebrać chęć do życia. - Niech pan wypatruje śmigłowca i ratownika na nartach - poprosił pilota. - Posiedzę przy niej.

- Nie ma sprawy - odparł mężczyzna i spojrzawszy na niego wymownie, poszedł przekazać najnowsze informacje pozostałym osobom.

Quinn przyklął obok prowizorycznych noszy i wsunawszy rękę pod płaszcze, dotknął zimnej jak lód dłoni Amandy. Obawiał się, czy znieśie długą jazdę po nierównym terenie. Doskonale wiedział, że kołysanie i wstrząsy mogą być zabójcze dla osoby w krytycznym stanie. Chwilę siedział zamyślony, rozważając, co jest bardziej ryzykowne: transport czy bierne czekanie do jutra. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że mimo wszystko woli jak najszybciej podjąć próbę przetransportowania jej do szpitala. Pocieszał się, że w dolinie śnieg jest dosyć głęboki i zalega wszędzie stosunkowo równą warstwą. Dlatego podróż toboganem nie powinna być bardzo uciążliwa. Jeśli dopisze im szczęście, bezpiecznie dowiozą ją do śmigłowca.

- Kochanie... - zaczął łagodnie. - Czeka nas długa droga. Musisz ją jakoś wytrzymać. Jesteś bardzo dzielna i mądra. Nie poddawaj się, słyszysz? - szepnął, ściskając mocniej jej dłoń. - Cały czas będę przy

tobie. Nie zostawię cię nawet na chwilę. Ale ty też musisz się trochę postarać. Musisz walczyć o życie. Mam nadzieję, że nie jest ci obojętne, co się z tobą stanie. Gdyby nam się jednak nie udało, chcę, żebyś wiedziała jedno: nie nagadałem ci tych wszystkich głupstw z nienawiści, ale ze szczerzej miłości. Kazałem ci odejść, bo cię kocham. Uważałem, że nie mam prawa odrywać cię od tego, co robisz. Chcę ci to powiedzieć jeszcze raz, prosto w oczy, więc musisz się trzymać, kochanie. Musisz przeżyć, słyszysz?! - Głos łamał mu się ze wzruszenia.

Popatrzył na ozłoczone słońcem szczyty gór i zaczerpnął głęboko powietrza, czując, jak z każdym oddechem odzyskuje spokój. Zdawało mu się, że Amanda lekko poruszyła palcami, ale to musiało być tylko złudzenie.

- Wydostanę cię stąd, skarbie - odezwał się po chwili - choćbym miał cię nieść na rękach. Pamiętaj, musisz być dzielna. Błagam, zrób to dla mnie! - szeptał, całując jej bezwładną dłoń. - Nie odchodź ode mnie. Jeśli to zrobisz, pójdę za tobą. Życie ma dla mnie sens, dopóki wiem, że jesteś. Nieważne, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Zniosę nawet to, że mnie nienawidzisz. Ale błagam, zostań! - jęknął przez ściśnięte gardło.

W powietrzu rozległ się charakterystyczny warkot śmigłowca, nieomylny znak, że zapasy są już w drodze. Quinn z ociąganiem puścił dłoń Amandy i starannie okrył jej nieruchome ciało. Potem pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Kocham cię - szepnął. - Trzymaj się, maleńka. Zaraz cię stąd

zabiorę.

Kiedy wstał, jego twarz przypominała maskę wyrzeźbioną w twardej skale. Tylko ciemne oczy błyszczały tak intensywnie, jakby od środka trawiła go gorączka. Jeszcze chwilę postął przy noszach, a potem dołączył do grupy rozbitków wypatrujących helikoptera.

Ten wynurzył się zza pobliskiego szczytu i zatoczywszy kilka kręgów, zrzucił ładunek. Na lazurowym niebie wyrósł biały grzybek spadochronu, po czym zaczął wolno opadać. Quinn w napięciu obserwował jego lot, modląc się, by nie zaczepił o wierzchołki wysokich świerków. Najbardziej zależało mu na tym, żeby bezpiecznie i w całości wylądował tobogan. Jako realista zdawał sobie sprawę, że przy tak silnym wietrze zrzuty mają nikłą szansę dotarcia do celu.

Tym razem mieli szczęście, gdyż zarówno sanki, jak i paczki dla rozbitków dotarły na ziemię nienaruszone. Quinn wraz z pilotem i kilkoma mężczyznami przeniósł zapasy w pobliże wraku, po czym sam dokładnie obejrzał tobogan. Odetchnął, widząc, że niczego nie brakuje: jest gruby pled, podgłówek, folia termiczna oraz pasy do przypięcia rannego.

Ledwie ucichł warkot odlatującego śmigłowca, ze szczytu Ironside zaczął się zsuwać mały punkt. To Larry Hale rozpoczął zjazd. Droga na dół zabrała mu kilkanaście minut. W miarę jak się zbliżał, Quinn rozpoznawał kolor jego kombinezonu: rdzawą czerwień, którą nosili wszyscy ratownicy górscy, oraz złoty krzyż przypięty do prawej

kieszoni, stanowiący wierną kopię dużego krzyża wymalowanego na plecach kombinezonu. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy sam wkładał taki strój i ruszał na górskie szlaki ratować życie zaginionym lub kontuzjowanym turystom.

Nawet na moment nie spuszczał oka z sylwetki Hale'a, która była jedyną plamą koloru na tle bezkresnej bieli. Silne emocje oraz spora dawka ruchu sprawiły, że poczuł się znużony. Chętnie zapaliłby papierosa, ale wiedział, że nie wolno mu tego robić. Nikotyna i kofeina zwązają naczynia krwionośne, co w połączeniu z niską temperaturą powietrza może okazać się zabójcze. Jako doświadczony narciarz nie zamierzał kusić losu.

- No to jestem! - zawołał zdyszany Larry Hale, hamując efektownie obok grupki ocalałych pasażerów. Przywitał się z nimi i zapewnił, że wkrótce wrócą bezpiecznie do domów. Potem wyjął z plecaka to, co dla nich przywiózł, czyli mały lekki namiot, jedzenie, wodę i butelkę koniaku. Po trudnym zjeździe na pewno był zmęczony, nie chciał jednak tracić cennego czasu.

- Ruszajmy - zwrócił się do Quinna - bo w przeciwnym razie zaskoczy nas zmrok.

- Przenieśmy ją na tobogan - odparł Quinn, prowadząc go w stronę noszy. - Bóg mi świadkiem, że sam nie wiem, czy dobrze robię - wyznał. - Gdyby był choć cień szansy na lądowanie w tym miejscu...

- Chyba widzisz, jak wieje?! - warknął Larry, spoglądając na

rozkołysane wierzchołki drzew. - Nie martw się, stary. We dwóch damy radę dowieźć ją do lądowiska. Dla takich bohaterów jak my to bułka z masłem - zażartował, próbując dodać mu otuchy.

- Obyś miał rację, przyjacielu - mruknął Quinn. Pochylił się nad Amandą, dając koledze znak, by mu pomógł. Najostrożniej jak umieli, przełożyli ją na niskie, długie sanki z uchwytami jak nosze. Następnie przymocowali liny do sań i zegnani przez pasażerów rozpoczęli powolny zjazd w poprzek stoku. Dziki szlak, którym się posuwali, był w miarę równy, jednak od czasu do czasu trafiali na grudy zlodowaciałego śniegu. Za każdym razem, gdy tobogan podskakiwał na wybojach, Quinn z przerażenia przestawał oddychać. Larry jechał przodem, wybierając trasę, a on ostrożnie posuwał się za nim, asekurując sanie z Amandą. Szybko złapali wspólny rytm i w miarę sprawnie posuwali się w stronę doliny. Wokół nich hulał wiatr, przyginając ku ziemi konary potężnych jodeł i świerków. Quinn pomyślał o tysiącach myśliwych i traperów, którzy na przestrzeni ponad dwustu lat pokonywali tę trasę ku przełęczy. Kiedy uświadomił sobie, że w owych czasach Amanda nie miałaby żadnej szansy na przeżycie, oblał go zimny pot.

Przez całą drogę walczył z pokusą, by choć raz na nią spojrzeć. Tu jednak zdrowy rozsądek i doświadczenie brały górę nad emocjami. Wiedział, że chwila dekoncentracji może mieć fatalne skutki. Powtarzał sobie, że musi całkowicie skupić się na celu, którym jest dowiezenie Amandy do najbliższej grani. Nie po to przebył całą tę drogę i odnalazł

ją żywą, by stracić ją teraz, gdy pojawiła się nadzieja na ratunek.

Jednak chwilami dopadało go zwątpienie. Raz wydawało mu się, że pomylili drogę i zboczyli z trasy prowadzącej do wąskiego przesmyku otwierającego wejście do długiej doliny między Grand Tetons i Wind River Range, znanej jako Jackson Hole. Po pewnym czasie zaczął rozpoznawać okolicę, więc uspokoił się i uwierzył, że jada w dobrą stronę. W końcu wyjechali z lasu i posuwając się wzdłuż rzeki, dotarli do płaskiej hali poniżej grani Caraway.

Obaj byli już mocno zmęczeni. Kilka razy zamieniali się rolami, lecz męcząca trasa dawała się we znaki nawet tak doświadczonym i zahartowanym narciarzom jak oni.

Kiedy zatrzymali się, by trochę odpocząć, Quinn zbadał tętno Amandy. Ze zdumieniem stwierdził, że jest nieco mocniejsze, poza tym jednak jej stan nie uległ poprawie.

- Jest helikopter! - zawołał Larry Hale, wyciągając rękę w stronę grani.

- Oby tylko udało mu się wylądować - szepnął Quinn i zaczął się modlić.

Śmigłowiec stopniowo schodził coraz niżej, jednak pierwsza próba okazała się nieudana i pilot musiał poderwać maszynę. Quinn zaklął siarczyście. W napięciu obserwował, jak pilot ponownie zaczyna podchodzić do lądowania. Człowiek za sterami musiał mieć ogromne doświadczenie, bo genialnie wykorzystał moment, gdy wiatr nieco

przycichł, by bezpiecznie posadzić maszynę na ziemi. Wirnik jeszcze się kręcił, gdy wyskoczył z kabiny i zaczął ich ponaglać.

- Wynośmy się stąd jak najszybciej! - przekrzykiwał huk silnika. - Jeśli złapie nas wiatr, nie ręczę, że nas stąd wyciągnę. I tak cud, że udało mi się wylądować!

Quinn błyskawicznie wypiął narty i wraz z kijkami podał je Larry'emu, a sam wraz z pilotem zaczęli ostrożnie wsuwać tobogan do helikoptera. Larry zajął miejsce pasażera, a Quinn przysiadł z tyłu, obok Amandy.

- Ruszamy! - zawołał pilot.

Wkrótce jednak przekonali się, że łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Niewiele brakowało, a silny podmuch zepchnąłby ich wprost na olbrzymią sosnę. Na szczęście pilot potrafił radzić sobie w ekstremalnych warunkach. Tak długo opuszczał i podnosił maszynę, aż wreszcie przechytrzył wiatr i wzbił się na odpowiednią wysokość.

Lot nie trwał długo, jednak Quinnowi zdawało się, że nie ma końca.

- Jeszcze chwila, kochanie - szeptał, ściskając lodowatą dłoń Amandy. - Bądź dzielna. Tyle już wytrzymałaś. Jeszcze tylko parę minut! - powtarzał, wpatrując się w jej nieruchomą twarz. Oderwał od niej oczy, dopiero gdy helikopter wylądował na placu przed szpitalem.

Tam czekał już na nich tłum podekscytowanych reporterów, którzy dowiedzieli się o akcji ratunkowej. Kordon policji bronił im dostępu do

podjazdu, pilnując, by nosze z Amandą bez przeszkód dotarły do środka. Żądni sensacji dziennikarze rzucili się na Quinna i Hale'a, biorąc ich w krzyżowy ogień pytań. Quinn zostawił koledze przyjemność poinformowania prasy o przebiegu akcji, sam zaś pobiegł za sanitariuszami, którzy wieźli Amandę do izby przyjęć.

Ponad godzinę przesiedział sam w poczekalni. Pił mocną kawę, palił papierosa za papierosem, czasami bezmyślnie gapił się na szpitalne korytarze. Larry nie mógł z nim zostać. Był potrzebny w schronisku, gdzie sztab kryzysowy ustalał szczegóły dalszego ciągu akcji. Po jego wyjściu Quinn poczuł się bardzo samotny. Kiedy zdawało mu się, że za chwilę oszaleje z niepokoju, w poczekalni zjawił się lekarz.

- Czy jest pan krewnym pani Callaway? - zapytał.

- Jestem jej narzeczoną - odparł bez wahania. Wiedział, że gdyby zaprzeczył, niczego by się nie dowiedział. - Jak ona się czuje?

- Bardzo źle - odparł lekarz, nie bawiąc się w subtelności. - Trzeba jednak wierzyć w cuda. Przewieźliśmy ją na oddział intensywnej terapii, gdzie pozostanie, dopóki nie odzyska przytomności. Doznała bardzo poważnego wstrząśnienia mózgu. Ani razu nie odzyskała przytomności?

Quinn w milczeniu skinął głową.

- Transport saniami i helikopterem pogorszył sprawę - oznajmił lekarz surowo, lecz widząc udrękę na twarzy swego rozmówcy, dodał: - Rozumiem, że nie było innego wyjścia. Niech pan idzie się przespać. Proszę przyjść rano. W tej chwili nie jestem w stanie nic więcej



powiedzieć.

- I tak nie będę mógł spać, więc wolę zostać tutaj. Rozumiem, że nie mam szansy zobaczyć teraz mojej narzeczonej?

- Wykluczone! Poproszę pielęgniarkę, żeby przygotowała dla pana łóżko - powiedział. - Niech pan będzie dobrej myśli. Czasem pozytywne nastawienie bliskich bardzo pomaga chorym. Modlitwa też nie zaszkodzi.

- Dziękuję, doktorze.

- Będzie pan miał na to czas, gdy narzeczone odzyska przytomność. Dobranoc.

Quinn odprowadził go wzrokiem, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Postanowił zadzwonić do schroniska i dowiedzieć się, jak idą przygotowania do akcji. Terry wprowadził go we wszystkie szczegóły, a potem dodał, że bez przerwy wydzwanają do niego koledzy Amandy, błagając o informacje.

- Jeden nazywa się Jerry, a drugi, zdaje się, Hank. Zostawili mi numer telefonu, więc jak chcesz, to do nich zadzwoń.

Quinn zrobił to, jak tylko skończyli rozmawiać.

- Mówi Quinn Sutton - rzucił.

- Z tej strony Hank. Co z Amandą?

- Ma wstrząśnienie mózgu. Żyje, ale jest w śpiączce. Położyli ją na oddziale intensywnej terapii.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

- Oczekiwałem trochę lepszych wiadomości - mruknął wreszcie Hank.

- Ja również - odparł Quinn. Przełamując wewnętrzny opór, dodał:  
- Zadzwoń do pana jutro rano, jak tylko dowiem się czegoś więcej. Czy Amanda ma krewnych, których powinienem zawiadomić? Wspominała o ciotce...

- To kretynka, z której i tak nie będzie żadnego pożytku - zirytował się Hank. - Zresztą nawet nie ma jak jej zawiadomić, bo siedzi teraz z Blalockiem Durningiem gdzieś na Bahamach. Na bezludnej wyspie dla bogaczy.

- Poza nią nie ma nikogo?

- Nie mam pojęcia - odparł Hank. - Nie mogę sobie darować, że to tak wyszło. Poleciała sama, bo ja mam fobię na punkcie latania. Już odwołaliśmy koncert w San Francisco i jutro wracamy do Jackson.

- Mogę zarezerwować dla was pokój.

- Wolelibyśmy apartament - oznajmił Hank. - Słuchaj, stary, gdybyś czegoś potrzebował... Cokolwiek, rozumiesz? Daj nam znać. Dla ciebie wykopimy to choćby spod ziemi.

- Na razie niczego mi nie brakuje. Mam papierosy i automat z kawą. Dzięki.

- Widzimy się jutro po południu. Dzięki, Sutton! Pamiętaj, chłopie, że jej naprawdę bardzo na tobie zależy.

- Mnie na niej też. Dlatego musiałem się z nią rozstać. Nie mogę

oczekiwać, że rzuci wszystko i zaszyje się ze mną na farmie w górach Wyoming.

- Kto ją tam wie? Po pierwsze, Mandy nie jest typem panny w wielkiego miasta, po drugie, odkąd cię poznała, bardzo się zmieniła. Zauważyłem, że nie ma już serca do śpiewania. Przeplakała całą ostatnią noc przed wyjazdem...

- Przestań...

- Przykro mi, stary. Więcej nie powiem. Ty sobie teraz zapal, bo ja mam zamiar zdrowo się narąbać. Chłopaki się mną zaopiekują. Pogadamy jutro. Trzymaj się.

- Cześć.

Quinn nie mógł znieść myśli, że ostatniej nocy Amanda przez niego rozpacziała. Jeśli ją straci, wyrzuty sumienia i tęsknota nigdy nie pozwolą mu wrócić do normalnego życia.

Naraz przypomniał sobie, że musi zadzwonić do Elliota. Nie miał już karty ani drobnych, więc był zmuszony zrobić to na koszt abonenta.

Mimo późnej pory Elliot natychmiast odebrał telefon.

- Co z Amandą? - zapytał od razu.

Quinn powtórzył mu wszystko, czego się dowiedział.

- Synu, serdecznie żałuję, że nie mam dla ciebie lepszych wiadomości.

- Tato, ona nie umrze, prawda? - jęknął chłopiec.

- Módl się za nią. I powiedz Harry'emu, żeby dobrze cię pilnował.

- Yes, sir! - Wcale nie było mu do żartów. - Będziesz przy niej?

- Tak, synku. Muszę. - Zawahał się. - Kocham ją - powiedział szybko.

- Ja też - wyznał Elliot. - Tato, bardzo cię proszę, przywieź ją ze sobą do domu.

- Gdyby to zależało tylko ode mnie... Nie wiem, czy zechce ze mną rozmawiać, gdy odzyska przytomność. - Westchnął ogarnięty zwątpieniem.

- Nie martw się, na pewno z tobą porozmawia - pocieszał go Elliot.

- Gdybyś słuchał jej piosenek, wiedziałbyś, że nie jest mściwa. Często śpiewa o tym, że trzeba wybaczać.

- Obyś miał rację, synu - powiedział, zaciągając się głęboko papierosem. - A teraz kładź się spać, bo jutro nie wstaniesz do szkoły. Zadzwoń rano.

- Dobrze, tato. Trzymaj się. I pamiętaj, że bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też.

Wracał opustoszałymi korytarzami do poczekalni, w której o tej porze nie było żywego ducha. Po drodze rozmienił pieniądze i wziął z automatu kolejny kubek kawy. Gdzie nie spojrzeł, otaczała go pustka. Identyczna jak ta, którą nosił w sobie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy pielęgniarka delikatnie nim potrząsnęła, był późny ranek. Przesiedział w poczekalni całą noc i był przekonany, że nie zmrużył oka. A jednak zmęczenie okazało się silniejsze i o świcie zasnął kamiennym snem, trzymając w ręce pusty kubek po kawie.

Półprzytomny i zmęczony, podniósł się z wyjątkowo niewygodnego krzesła i natychmiast zapytał o Amandę.

- Co z nią?

- Odzyskała przytomność i pytała o pana - oznajmiła kobieta, uśmiechając się do niego.

- Bogu niech będą dzięki - westchnął, po czym przeciągnął się i ruszył za nią na oddział intensywnej terapii. Idąc korytarzem, mijał niewielkie, przeszklone sale, w których leżeli pacjenci podłączeni do aparatury podtrzymującej funkcje życiowe. Wokół siebie słyszał charakterystyczny szumi popiskiwanie różnych urządzeń.

Obserwował tę skomplikowaną maszynę z lekkim przerażeniem. W innej sytuacji pewnie by go zaciekała, teraz jednak miał w głowie jedną myśl: skoro Amanda o niego pytała, to istnieje cień szansy, że zechce mu wybaczyć. Podbudowany tym założeniem zatrzymał się przed wskazaną przez pielęgniarkę salką. Po chwili wahania wszedł do środka.

W jasnym świetle dnia Amanda wydała mu się drobna i wątła. Twarz miała ściągniętą, oczy zapadnięte i otoczone ciemnymi

obwódkami, a wargi spierzchnięte i popękane do krwi. Włosy miała rozplecione i tylko związane różową wstążką. Zbyt słaba, by siedzieć o własnych siłach, opierała się o uniesione wezgi łóżka. Nadal była podłączona do kroplówki. Poza stojakiem z pojemnikiem nie było przy niej żadnych innych urządzeń.

Kiedy ujrzała Quinna, jej twarz wypogodziła się, jakby padł na nią promień słońca, a w oczach pojawił się radosny blask. Zapomniała o bólu i strachu, szczęśliwa, że znowu go widzi. Myślała o nim chwilę przed tym, jak straciła przytomność, i natychmiast po jej odzyskaniu. Teraz, gdy stanął przy jej łóżku, nie pamiętała cierpienia, żalu i smutku, które przeżyła z jego powodu. Najważniejsze, że tu jest, pomyślała uradowana. Skoro przyszedł, nie jest mu obojętna.

- Quinn... - szepnęła przez łyżę, wyciągając do niego ramiona.

Pochylił się nad nią, zapominając o pielęgniarkach, salowych i całym bożym świecie. Najostrożniej, jak mógł, otoczył ją ramionami i z uczuciem niewypowiedzianej ulgi przytulił twarz do jej włosów. Żyjesz, pomyślał, zamykając oczy. Jesteś bezpieczna. Wzruszenie ścisnęło go za gardło z taką siłą, że prawie nie mógł oddychać.

- Dobry Boże! - jęknął po chwili. - Tak bardzo się bałem, że cię stracę!

Warto było przejść przez to piekło, by usłyszeć takie słowa, pomyślała, głęboko poruszona jego zachowaniem. Słyszała żar emocji w jego głosie, czuła, jak drży, tuląc ją do siebie. Zarzuciła mu ręce na

szyję, chłonąc przyjemne ciepło i siłę jego ciała. Przed katastrofą przychodziło jej do głowy, że Quinn odtrącił ją, mylnie wierząc, że robi to dla jej dobra. Teraz była tego pewna. Przecież gdyby mu na niej nie zależało, gdyby się o nią nie martwił, nie wyglądałby teraz tak koszmarnie, jakby sam otarł się o śmierć.

- Słyszałam, że zawdzięczam ci życie - szepnęła.

- Mnie i mojemu koledze Hale'owi - wyjaśnił. - Wspólnymi siłami dowieźliśmy cię tam, gdzie mógł wylądować helikopter - mówił, patrząc czule w jej lśniące oczy. - To była najdłuższa noc w moim życiu. Mówili mi, że możesz z tego nie wyjść...

- E tam - machnęła ręką - głupie gadanie! My, Callawayowie, jesteśmy ulepieni z dobrej gliny - pochwaliła się, ocierając ukradkiem łzy. Nadal czuła się podle. Była obolała i cały czas dokuczał jej bardzo silny ból głowy. - Kochany, wyglądasz okropnie - szepnęła, dotykając pieszczotliwie jego policzka.

Ze wzruszenia nie mógł wykrztusić słowa. Zamknął jej dłoń w swoich dłoniach i oparł o nie czoło.

- Kiedy usłyszeliśmy w telewizji o katastrofie, myślałem, że tego nie przeżyję. Zwłaszcza po tym, co ci nagadałem przez telefon. - Zaczerpnął powietrza. - Nie mogłem siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż inni cię odnajdą. Kochanie, najważniejsze, żebyś wyzdrowiała. Powiedz mi, jak się czujesz?

- Beznadziejnie. Ale to nic. Przejdzie mi - zapewniła go. - Quinn,

powiedz mi, czy ty wierzysz w przeznaczenie?

- W to, że wszystko, co nas spotyka, jest z góry ustalone? - rzekł zamyślony. - Tak, wierzę. I dziękuję Bogu, że w swej dobroci uznał, że jeszcze nie nadszedł twój czas - powiedział cicho, patrząc na nią tęsknym wzrokiem.

- Też się cieszę, że jeszcze nie wybiła moja ostatnia godzina. - Uśmiechnęła się, dotykając opuszkami palców jego warg. - Przejdźmy teraz do konkretów - dodała nagle z łobuzerskim błyskiem w oku. - Gdzie go masz?

Uniósł w górę brwi.

- Co? - spytał zdezorientowany.

- Jak to co?! Zaręczynowy pierścionek! - wypaliła. - Nie próbuj się wykręcać! - ostrzegła, widząc jego niewyraźną minę. - Myślisz, że nie wiem, co powiedziałaś lekarzom? Cały szpital wie o tym, że jesteś moim narzeczonym, więc nie odwracaj kota ogonem, dobrze? Musisz się ze mną ożenić!

- Co muszę...? - wykrztusił.

- Ożenić się ze mną! Gdzie jest Hank? - zainteresowała się nagle. - Czy ktoś się z nim kontaktował?

- Zadzwoiłem do niego. Zupełnie zapomniałem, że czeka na kolejne sprawozdanie! - Z roztargnieniem spojrzął na zegarek. - Teraz i tak jest za późno. Twój przyjaciele są już w drodze i pewnie niedługo tu będą.



- Świetnie. Zwłaszcza że mają przewagę liczebną, są od ciebie silniejsi i co najmniej tak samo niebezpieczni jak ty - mówiła, mrużąc oczy. - Powiem im, że mnie uwiodłeś i że mogę być z tobą w ciąży. - Bawiła się jego osłupieniem.

- Nie możesz być w ciąży, bo przecież nigdy się z tobą nie kochałem! - wydusił.

- I to był błąd, który musisz jak najszybciej naprawić! - Roześmiała się. - Poczekaj, niech no tylko stąd wyjdę i zostanę z tobą sam na sam. Rzucę się na ciebie i zacznę cię całować. Tym razem mi się nie wywiniesz!

- Boże! - jęknął, wiedząc, że ma rację. Teraz na pewno nie byłby w stanie jej się oprzeć.

- Jeśli więc chcesz, żeby wszystko odbyło się po bożemu, musisz się szybko ze mną ożenić - ciągnęła spokojnie. - Przecież wiesz, że nie jestem pierwszą lepszą. Nie mówiąc już o tym, że sam jesteś facetem z zasadami. Poza tym Harry mnie polubił, a Elliot jest moim najserdeczniejszym przyjacielem. Zaakceptuję nawet starego McNabera, o ile usunie pułapki na niedźwiedzie. Co do mojej muzyki... - Zamyśliła się. - Ten problem da się rozwiązać. Po zakończeniu trasy koncertowej zrezygnuję z występów na żywo i ograniczę się do nagrań studyjnych. Może od czasu do czasu dam się namówić na nakręcenie teledysku. Na pewno będę komponowała piosenki, ale to akurat mogę robić między przygotowywaniem obiadu a dokarmianiem osieroconych cieląt i

niańczeniem naszych dzieci.

Quinn nerwowo rozglądał się za krzesłem, na którym mógłby usiąść. Takiego obrotu spraw zupełnie się nie spodziewał. Przez wiele długich godzin myślał wyłącznie o tym, żeby dowieźć Amandę do szpitala, a potem modlił się, żeby przeżyła noc. Nie miał czasu ani siły zastanawiać się, co będzie potem. Tymczasem okazało się, że ona zdążyła już drobiazgowo zaplanować ich wspólną przyszłość. Z wrażenia zakręciło mu się w głowie.

- Kochanie, nie zapominaj, że jesteś artystką - zaczął łagodnie, splatając palce z jej palcami. - W dodatku sławną i bogatą, a ja jestem biednym człowiekiem, który nie ma nic prócz zadłużonego rancza położonego tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Gdybyś została moją żoną, musiałabyś obejść się bez wielu rzeczy, bo ja nigdy nie zgodzę się żyć na twój rachunek. Poza tym mam syna, który mimo że nie jest mój...

Przytuliła jego dłoń do swego policzka i ocierała się o nią, patrząc mu w oczy z wyrazem całkowitego oddania i miłości.

- Ja cię kocham - szepnęła.

Poczuł się pokonany. Na jego ogorzałych policzkach pojawił się lekki rumieniec, objaw silnych emocji. Poza Elliotem i matką nikt nigdy nie mówił mu, że go kocha.

- Jesteś pewna, że wiesz, co mówisz? - Nie dowierzał własnym uszom. - Kochasz mnie, mimo że wyszedłem w czasie twojego występu i nagadałem ci tych okropnych rzeczy przez telefon?

- Nie chcę pamiętać złych rzeczy, które wydarzyły się między nami - odrzekła łagodnie. - I naprawdę bardzo cię kocham. Chcę z tobą być i nie ma dla mnie znaczenia, czy zamieszkamy w największej głuszy w Wyoming, na bezludnej wyspie, czy w luksusowej willi w Beverly Hills. Liczy się tylko to, żebyś mnie kochał i został ze mną do końca życia.

- Jesteś pewna, że właśnie tego pragniesz? - dopytywał się, nie dowierzając własnemu szczęściu.

- Tak - wyznała z mocą. - Quinn, wybacz mi, że nie powiedziałam ci prawdy o sobie. Zataiłam ją, bo bardzo się bałam, że nie będziesz mnie chciał.

- Ani na chwilę nie przestałem cię pragnąć. Kazałem ci odejść tylko dlatego, że wydawało mi się, że tak będzie dla ciebie lepiej. Po co miałabyś marnować sobie życie z takim facetem jak ja.

- A gdybym ci powiedziała, że lepiej dla mnie byłoby zostać w chałupie Duminga, to zostawiłbyś mnie tam, żebym zginęła z głodu i zimna? - zapytała kpiąco. - Wielkie dzięki za taką wyrozumiałość!

- Nie mów tak! - odparł speszony. - Ja naprawdę bałem się, że z nudów zabawiłaś się moim kosztem. Przecież wiadomo, że zatwardziali starzy kawalerowie są wyjątkowo łatwym łupem dla pięknych kobiet.

- Naprawdę uwierzyłeś, że potrafiłabym z premedytacją zrobić z ciebie głupca? - zapytała urażona. Pod wpływem silnych emocji głowa bolała ją coraz mocniej. Sądziła, że jakoś sobie w tym poradzi, w końcu

jednak poddała się i poprosiła pielęgniarkę o środek przeciwbólowy. - Posłuchaj mnie pan, panie Sutton - odezwała się cicho, gdy pielęgniarka zostawiła ich samych. - Nigdy w życiu nikogo świadomie nie skrzywdziłam. I zawsze szukałam człowieka, który pokocha mnie taką, jaka naprawdę jestem, nie patrząc na atrakcyjną otoczkę mojej sławy i bogactwa.

- Teraz już o tym wiem, kochanie - powiedział miękko, całując ją w rękę. - A więc mówisz, że mam ci kupić pierścionek? Obawiam się, że nie stać mnie na żadne luksusy. Poza tym nie przepadam za brylantami wielkości młyńskiego koła, na które trzeba patrzeć w okularach przeciwsłonecznych - rzekł z uśmiechem.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz mi wsunąć na palec papierową opaskę do cygara. - Wzruszyła ramionami.

- Bez przesady! Nie jest aż tak źle, żebym nie mógł kupić ci prawdziwego pierścionka - obruszył się.

- Doskonale! - ucieszyła się. - Więc nie traćmy czasu! Bierz się do dzieła i zorganizuj ślub - powiedziała rozpromieniona.

- A ty czym prędzej wyzdrowiej - odparł, całując lekko jej spieczoną wargę. - Ja tymczasem przeczytam sobie rozdział o nocy poślubnej - zażartował.

- Ucz się pilnie, bo ja ci raczej nie pomogę - odparła, czerwieniąc się lekko. - I błagam, zabierz mnie stąd jak najszybciej!

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, kochanie - przyrzekł, całując

ją w rękę.

Późnym popołudniem, gdy biegał od sklepu do sklepu w pogoni za stosownym pierścieniem, do miasteczka zjechali koledzy Amandy. Nie miał czasu spotkać się z nimi zajęty własnymi sprawami. W pierwszej wolnej chwili zadzwonił do domu, by przekazać radosną wiadomość Elliotowi i Harry'emu. Na wieść o rychłych zaręczynach Elliot oszalał z radości, Harry zaś podśmiewał się z niego, nazywając go starym kawalerem, któremu nagle zachciało się amorów. Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie taki pierścienek, który przypadł mu do gustu. Ze skromnym brylantem. Kupił jeszcze dwie proste złote obrączki i szczęśliwy, że wreszcie żeni się z najprawdziwszej miłości, pognął do szpitala.

Na miejscu okazało się, że akcja ratownicza w górach zakończyła się pomyślnie i ofiary katastrofy są już pod opieką lekarzy. W holu nadal koczowali dziennikarze, próbując za wszelką cenę dostać się do Amandy. Na szczęście jej koledzy zjawili się w samą porę i wzięli na siebie kontakty z mediami. Hank zwołał krótką konferencję prasową, podczas której poinformował o stanie zdrowia Amandy oraz o tym, że z oczywistych powodów zespół odwołuje najbliższe koncerty.

Quinn znalazł ją w innej, przytulnie urządzonej jednoosobowej sali, gdzie w towarzystwie kolegów z zespołu niecierpliwie czekała na jego powrót.

- Wszystko już gotowe! - zawołała, patrząc na niego roześmianymi

oczami. - Hank ma strzelbę na wypadek, gdybyś chciał dać drapaka, a chłopcy obiecali, że doprowadzą cię przed ołtarz. Jerry, nasz menadżer, umówił się już z pastorem, a Hank wziął z urzędu wszystkie potrzebne papiery...

- Niepotrzebnie - odparł Quinn. - Sam załatwiłem już wszystkie formalności. Z własnej nieprzymuszonej woli! - dodał ze śmiechem. - Cześć, chłopaki. Hank, możesz zostawić strzelbę w samochodzie. Nie będzie ci potrzebna. Nie ucieknę sprzed ołtarza, a gdyby Amanda próbowała to zrobić, będę ją gonił.

- Ja miałabym uciekać? Chyba żartujesz?! - Roześmiała się, nadstawiając policzek do pocałunku. - Gdzie pierścionek? Czym prędzej włoż mi go na palec! Może wtedy pielęgniarki zrozumieją, że jesteś zajęty i przestaną robić do ciebie słodkie oczy. Zwłaszcza ta ruda, która ciągle się tu kręci!

- Przecież wiesz, że poza tobą kobiety dla mnie nie istnieją - zapewnił ją. Mimo to posłusznie wyjął z kieszeni aksamitne pudełeczko. Denerwował się, czy pierścionek nie okaże się za mały albo za duży. Na szczęście był w sam raz, a przede wszystkim podobał się Amandzie, która patrzyła nań z takim zachwytem, jakby zamiast małego brylantu zdobił go trzykaratowy olbrzym.

- Ty w ogóle spałeś, chłopie? - zapytał go Hank, gdy koledzy oglądali pierścionek.

- Zdrzemnąłem się w poczekalni, ale nie spałem dłużej niż

godzinę. A ty?

- Daj spokój! Z nerwów nawet nie dałem rady porządnie się upić - poskarżył się Hank. - Przez całą noc graliśmy w karty. Słyszałem, że ty i twój kolega cudem wyciągnęliście Mandy z tych przeklętych gór.

- Nawet nie chce mi się o tym mówić. - Westchnął ciężko, wspominając swój strach i przygnębienie. - Musiałem zdecydować, czy lepiej ją ruszyć pomimo obrażeń, czy czekać kilka godzin, aż nadejdzie pomoc. To cud, że przeżyła.

- Dobrze, że cuda się zdarzają - oparł Hank, patrząc na nią. - Przez długi czas Mandy była naszym cudem. Bez niej niczego byśmy nie osiągnęli. Ale długie trasy koncertowe bardzo nadwreżyły jej siły. Jadąc tu, rozmawialiśmy z chłopakami, że pora ograniczyć występy na żywo i skupić się na nagraniach. Jestem pewien, że Mandy będzie z tego zadowolona. Zresztą teraz, kiedy zostanie twoją żoną, będzie chciała spędzać więcej czasu w domu. Jak znam życie, twój chłopak szybko doczeka się licznych rodzeństwa. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Dobrze wiem, jak to jest, bo sam wychowałem się na wsi. Mam pięciu braci.

- Wszyscy są takimi cherlakami jak ty?

- Wyobraź sobie, że jestem najślabszy z całego miotu.

Quinn przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

Amanda wyszła ze szpitala dwa dni później wyposażona w

komplet wyników szczegółowych badań, z których wynikało, że nie stwierdzono żadnych komplikacji. Lekarz prowadzący, który na początku był ostrożnym optymistą, był zdumiony jej błyskawicznym powrotem do zdrowia. Patrząc na jej rozpromienioną twarz, śmiał się, że nie ma lepszego lekarstwa niż silna motywacja. Zgodził się też, by w szpitalnej kaplicy odbyła się krótka ceremonia zaślubin. W roli drużny wystąpiła jedna z pielęgniarek w otoczeniu rekordowej liczby drużbów. Było ich bowiem aż czterech, czyli tylu, ilu muzyków w Desperado. Mimo iż ceremonia była krótka i bardzo skromna, Amanda wiedziała, że nie zapomni swego ślubu do końca życia. Pastor metodystów, który im go udzielił, miał dar wygłaszania pięknych kazań, czuli się więc nie gorzej, niż gdyby składali przysięgę małżeńską w ogromnym kościele wypełnionym po brzegi gośćmi.

Jedynym niefortunnym wydarzeniem, które nieco popsuło radosną atmosferę tego dnia, był najazd reporterów, którzy dowiedziawszy się o ślubie, przez wiele godzin koczowali pod szpitalem. Ledwie Amanda, Quinn i chłopcy z zespołu wyszli przed budynek, rzucili się na nich ze mikrofonami i aparatami. Stratowaliby nowożeńców, gdyby nie rośli muzycy, którzy siłą utorowali młodej parze drogę do samochodu. Na szczęście przytomny kierowca pojechał do schroniska bocznymi drogami, dzięki czemu udało się utrzymać w tajemnicy miejsce ich pobytu.

Terry czekał na nich w holu, gdzie uroczyście przekazał im klucz



do najlepszego pokoju, z którego rozciągał się imponujący widok na zaśnieżone szczyty gór. Amanda, wciąż jeszcze słaba i nieco stremowana, przyglądała się im bez entuzjazmu.

- Chyba już nigdy nie będę się tam czuła bezpiecznie - westchnęła, zwracając się do Quinna, który zajął się rozpakowaniem walizki.

- Gdzie? W górach? - Spojrzał na nią z ciekawością. - Wszystkim powtarzam, że trzeba mieć przed nimi respekt. Mam nadzieję, że wkrótce się do nich przekonasz. Kiedy trochę nabierzesz sił, zacznę cię uczyć jazdy na nartach.

Spojrzała na niego przeciągle, a on natychmiast pochwycił to spojrzenie. Jeszcze nigdy nie wydała mu się piękniejsza niż dziś, gdy została jego żoną. Jej ślubna sukienka była skromna i prosta: kremowa szmizjerka z miękkim kołnierzem. Jednak przepych jasnych włosów, w które wpięła kilka gałązek konwalii, i oświetlona łagodnym światłem dnia zaróżowiona twarz sprawiały, że Amanda wyglądała jak idealna panna młoda.

- Pielęgniarka pokazała mi artykuł w gazecie - odezwała się, patrząc w stronę gór - w którym napisano, że jako jeden z nielicznych potrafisz zjechać na nartach z tej góry, na którą spadł nasz samolot.

- To prawda. Jeżdżę na tych stokach od lat, więc znam je jak własną kieszeń - wyjaśnił, zdejmując krawat. - Kiedyś patrolowałem je z ekipami ratowniczymi i to doświadczenie bardzo mi się przydało.

- A, tak... Harry pokazał mi kiedyś taką rudą kurtkę ze złotym

krzyżem na plecach - przypomniała sobie.

- To mój talizman. Szkoda, że nie miałem jej na sobie, jak zjeżdżałem po ciebie. - Westchnął, patrząc na nią z niepokojem w oczach. - Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie udało mi się dowieźć cię do szpitala! Jestem pewien, że bez fachowej pomocy nie przeżyłabyś do rana.

- Kiedy spadaliśmy, myślałam cały czas o tobie - szepnęła. - Bałam się, że już cię nigdy nie zobaczę.

- Ja też przeżyłem piekło, kiedy cię znalazłem i dowiedziałem się, że śmigłowiec nie może po ciebie przylecieć - mówił, zdejmując krawat.

- Przerazała mnie myśl, że umrzesz i nie będę mógł ci powiedzieć, że wszystko, co robiłem, robiłem dla twojego dobra. Wiedziałem, że nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz. Do czego jesteś przyzwyczajona.

- Potrzebuję pana, panie Sutton - zamruczała uwodzicielsko, opasując go ramionami. - Zdażyłam się już przyzwyczać do pańskich humorów, złośliwych uwag, przekleństw i całej reszty. I co pan na to?

- Amando, bądź poważna - poprosił. - Jestem zadłużony po uszy, więc nie będziesz miała żadnych luksusów.

- Nie zapominaj, że masz Elliota, Harry'ego i mnie. Nasza miłość ma większą wartość niż największe pieniądze. Wkrótce odbudujesz stado, na wiosnę urodzą się dorodne cielaki. A ja dam ci gromadę zdrowych dzieciaków, które będą pomagały nam w gospodarstwie.

- Obiecujesz? - Na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Hej, panie Sutton, czyżby pan się spieszył? - Roześmiała się. Delikatnie odsunęła jego ręce i sama zaczęła rozpinąć mu koszulę.

- Żebyś wiedziała, że jestem spieszony - przyznał, drżąc za każdym razem, gdy jej gorące dłonie otarły się o jego skórę. Kiedy pocałowała jego tors, z emocji wstrzymał oddech.

- To cudowne, co robisz - jęknął.

- Ja bym też tak chciała...

Chwilę trwało, zanim rozpiął i zdjął z niej sukienkę. Potem zaś stanął jak oniemiały i z zachwytem wpatrywał się w jej zgrabną figurę okrytą koronkową bielizną.

- Jeśli chcesz, mogę to zdjąć - szepnęła, widząc, jak bardzo jest poruszony.

Nie był pewien, czy wytrzyma taki nadmiar wrażeń. Już na samą myśl, że za chwilę zobaczy ją nagą, miękły mu kolana.

- Jesteś piękna... - szepnął, biorąc w dłonie pasmo jej włosów. - Nie, piękna to za mało... Jesteś zachwycająca.

Wolno zsunął cieniutkie ramiączka jedwabnego gorsetu, a po chwili wahania opuścił go jeszcze niżej. Pomogła mu, zgrabnie wyswobadzając się z bielizny, która lekką chmurką opadła na miękki dywan. Potem mocno przytuliła się do niego, drżąc z rozkoszy, gdy jej piersi zetknęły się z jego skórą.

- Teraz ja... - rzucił chropawym głosem, zdzierając z siebie koszulę. - Pomożesz mi? - zapytał, prowadząc jej dłoń pod pasek spodni.

- Ja... - zawahała się, przerażona tym, co za chwilę miało się stać. - Och, Quinn! Straszny ze mnie tchórz - wyznała, chowając twarz w jego ramionach.

- Nie ty jedna się boisz! - Roześmiał się. - Jeśli chcesz, możemy zasłonić okna i schować się pod kołdrą.

- Przestań! To byłoby idiotyczne!

- Wiem. Nie ma rady, kochana. Jesteśmy małżeństwem, więc pora spełnić odwieczny małżeński obowiązek - ironizował, zdejmując z siebie ubranie.

Po chwili, oboje nadzy i trochę przestraszeni, tulili się do siebie w chłodnej pościeli. Ich pocałunki, początkowo delikatne i nieśmiałe, stawały się coraz bardziej drapieżne i niecierpliwe. Początkowo czuła się zażenowana i wylękniona, widząc jego podniecenie. Wystarczyło jednak, że zaczął pieścić i całować jej piersi, a natychmiast zapomniała o strachu. Prężyla się i wyginała jak struna, przyciągając do siebie jego głowę. Gdy jego ciepłe, wilgotne usta zamknęły się wokół jej twardych sutków, bezradnie jęczała z rozkoszy.

Książki, które czytał, bardzo szczegółowo opisywały stosunek seksualny, jednak praktyka znacznie różniła się od teorii. Autorzy nie wspomnieli na przykład ani słowem, że podniecona kobieta może zupełnie stracić kontrolę. Że jest wtedy tak rozkosznie miękka, a jednocześnie sprężysta i silna. Że jej oczy stają się dzikie i nieprzytomne. Widząc, co pod wpływem jego pieszczot dzieje się z

Amandą, myślał tylko o tym, by dać jej jak największą rozkosz.

Kiedy się z nią połączył, była gotowa do miłości. W pierwszej chwili zeszywniała i próbowała się odsunąć, ale przytrzymał ją i poprosił, żeby mu zaufała.

- Nie bój się, maleńka - szeptał, patrząc w jej przerażone oczy. - Chwyć mnie mocno za ręce, za chwilę będzie nam dobrze...

Posłuchała go. Silny uścisk jego rąk bardzo ją uspokoił. Spróbowała się odprężyć i rozluźnić napięte mięśnie. Gdy naparł na nią mocno, jęknęła, lecz pomimo bólu przyjęła go bez oporu.

- Już teraz będzie dobrze... - szepnął, poruszając wolno biodrami.

- Wiem... Jestem już kobietą...

- Moją kobietą!

Zaczął całować jej rozchylone usta. Czuł, jak poddaje się rytmowi jego ciała i sama zaczyna się poruszać, unosząc do góry biodra. Po chwili półprzytomna z rozkoszy wbijała paznokcie w jego plecy. Napięcie, które w niej narastało, było nie do zniesienia. Przerażona tym, co się z nią dzieje, próbowała go odepchnąć, lecz właśnie wtedy przeniknął ją tak silny spazm, że nie potrafiła stłumić krzyku, który rozsadał jej gardło. Nagle poczuła, jak ciałem Quinna wstrząsa dreszcz, a potem następny, i jeszcze jeden...

Osunął się na nią bezwładnie i długi czas leżał bez ruchu. Naraz przyszło mu do głowy, że musi jej być ciężko, chciał się więc odsunąć, ale mu nie pozwoliła.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła. - Nie teraz. Przed chwilą byłam w niebie. Nie chcę jeszcze wracać na ziemię.

- Boję się, że cię rozgniotę! - Roześmiał się.

- Nie, na pewno nie! To takie przyjemne czuć na sobie ciężar twojego ciała...

- Ty dzika kocico, podrapałaś mnie - mruknął, całując ją w usta.

- Ty mnie też. Zobacz, jakie mam pręgi na udach.

- Tylko trochę... Nie mogłem się opanować. - Westchnął. - Powiedz, czy było ci tak samo dobrze jak mnie? Dopiero teraz zrozumiałem, że do tej pory żyłem w letargu. Dzięki tobie się obudziłem.

- Ze mną było tak samo - szepnęła, ocierając się policzkiem o jego policzek. Potem delikatnie poruszyła się, a zachęcona natychmiastową reakcją jego ciała, zrobiła to jeszcze raz, dużo śmieiej.

- To niemożliwe - zdumiał się. - W książce było napisane, że nie da się dwa razy pod rząd!

- Do diabła z książką! - zawołała, ciągnąc go ku sobie.

Miłosna noc tak ich wyczerpała, że obudzili się dopiero w porze kolacji. Ponieważ żadne z nich nie miało ochoty wstawać z łóżka, zamówili posiłek do pokoju. Z przyjemnością napili się zimnego szampana i zjedli aromatyczne steki. Posileni, kochali się długo i leniwie, a potem znowu poszli spać.

Następnego ranka zbiegli na dół, trzymając się za ręce, i wyruszyli

w drogę do domu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Elliot i Harry powitali ich w drzwiach. Na stole w pokoju czekał wspaniały tort upieczony przez Harry'ego oraz prezent ślubny do Elliota: najnowszy album Desperado, po który wyprawił się z Harrym saniami do miasteczka.

- To ci dopiero prezent. - Quinn uśmiechnął się, patrząc na piękne zdjęcie Amandy na okładce. - Zdaje się, że tym razem będę musiał posłuchać tej waszej muzyki...

- Wiesz, tato, że Hank Shoeman dał mi swój autograf? - pochwalił się chłopiec. - Nareszcie będę mógł go pokazać chłopakom w szkole. Odkąd zorientowałem się, kim jest Amanda, świerzbi mnie język, żeby im o wszystkim opowiedzieć.

- Wiedziałeś?! - zdziwił się Quinn. - I trzymałeś to przede mną w tajemnicy? Teraz rozumiem, dlaczego z mojej szuflady zniknęła jedna kasetka...

- Szukałeś jej?

- Owszem. Kiedy wróciliśmy do domu po koncercie, czułem się podle i chciałem koniecznie usłyszeć głos Amandy - wyznał, patrząc na nią ze smutkiem. - Ale kasety nie było...

- Przepraszam. Przysięgam, że nigdy więcej tego nie zrobię - zarzekał się Elliot. - Zabrałem ci kasetę, bo bałem się, że jak się dowiesz, że Amanda śpiewa rocka, to wyrzucisz ją z domu. Mówię ci, tato, ona jest najlepsza!



- Przestań, bo się zaczerwienię!

- O to to już ja się postaram - mruknął Quinn, mierząc ją głodnym spojrzeniem, które rzeczywiście wywołało silny rumieniec na jej policzkach.

- Tato, pisali o tobie w gazecie! I mówili w wiadomościach! - wołał przejęty Elliot. - Przypomnieli, że kiedyś trenowałeś narciarstwo i miałeś brać udział w olimpiadzie. Dlaczego zrezygnowałeś ze sportu? W telewizji mówili, że byłeś najlepszy w slalomie gigancie i że wycofałeś się, mając w kieszeni pewną nominację olimpijską. Dlaczego to zrobiłeś?

- To długa historia, synu - odparł wymijająco.

- Chodzi o moją matkę, tak? - domyślił się Elliot, patrząc ojcu w oczy.

- Była w ciąży i nie chciałem zostawiać jej samej.

- Mimo że była dla ciebie taka okropna? - dopytywał się chłopiec.

Quinn położył ręce na jego ramionach.

- Powiem ci, jak było naprawdę. Od samego początku cieszyłem się z twojego przyjścia na świat. Czekałem na ciebie jak dzieciak na prezent pod choinką. Kupiłem całą wyprawkę i książki o pielęgnacji noworodków, żeby wiedzieć, jak pomóc twojej matce. Łudziłem się, że ona pewnego dnia zrozumie, jakim jesteś dla niej szczęściem, i zacznie cieszyć się macierzyństwem. Przykro mi, że tak się nie stało.

- Trudno - westchnął chłopiec. - Najważniejsze, że ty ze mną

jesteś.

- Jestem. I zawsze będę.

- Fajnie, że lubisz dzieci - ucieszył się Elliot. - Nareszcie doczekam się siostry albo brata. My z Harrym bardzo chętnie wam pomożemy - zaznaczył. - Nauczymy się zmieniać pampersy i karmić butelką.

- Kochany z ciebie chłopak! - zawołała Amanda, przytulając go do siebie. - Naprawdę nie będziesz zazdrosny, jeśli pojawią się tu inne dzieci?

- Oczywiście, że nie! Wszyscy moi koledzy mają rodzeństwo, tylko ja jestem sam jak palec. Jeśli urodzi mi się siostra - powiedział, patrząc na nią z nieskrywanym podziwem - na pewno będzie bardzo ładna.

- Wiesz, co ci powiem? - rzekła, głaszcząc go po głowie. - Że jeśli nam się poszczęści, twoje rodzeństwo też będzie miało rude włosy. Po mojej mamie i babci. Czekał, mam dla ciebie specjalny prezent od Hanka Shoemana. Nie szukaj w samochodzie, tam nic nie znajdziesz! - zawołała, widząc, że jest gotów biec na podwórze.

- Co to takiego? Plakat zespołu z autografem wszystkich muzyków? - próbował zgadnąć.

- Hank podarował ci keyboard - powiedziała. - Identyczny jak ten, na którym gramy podczas koncertów.

- Nie?! - wrzasnął Elliot, podskakując z radości. - Ja chyba zwariuję ze szczęścia. Mam nową wspaniałą mamę i nowy sprzęt! Tato,

sprawdź, czy nie mam gorączki. Może to mi się tylko majaczy?

- Jesteś zdrow jak rydz - uspokoił go Quinn. - W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak pozwolić ci na granie rockowych kawałków. Skoro przemogłem się i zacząłem jeść gotowaną rzepę, to przy odrobinie wysiłku przyzwyczaję się do waszej hałaśliwej muzyki.

- Jadłeś gotowaną rzepę, bo nie mieliśmy w domu innych warzyw, a na dworze szalała śnieżycą - przypomniał mu Harry. - Teraz to się już nie zdarzy, bo Amanda na pewno przypomni mi, żebym kupił to, czego brakuje w spiżarni.

- Ja też ci wtedy przypominałem - bronił się Quinn.

- Wcale nie! Pamiętam, że zapomniałeś - wtrącił się Elliot.

- No i proszę! Siła złego na jednego! - Roześmiał się.

- Nie martw się, drogi mężu. Obronię cię przed tymi niegodziwcami, jak również przed gotowaną rzepą, fasolą i kalafiolem - przyrzekła Amanda ze słodkim uśmiechem. - A ponieważ uwielbiam szparagi, dopilnuję, żebyśmy jedli je jak najczęściej. Co wy na to, chłopcy? Lubicie szparagi?

- Tak! - zawołali zgodnie Elliot i Harry. Nie kto inny jak właśnie oni zdradzili kiedyś Amandzie, że Quinn za żadne skarby nie weźmie szparagów do ust.

- A na kolację będziemy jedli smażoną wątróbkę z cebulką, zgoda?  
- ciągnęła, wiedząc, że Quinn akurat tej potrawy szczerze nie znosi.

- Zgoda! Hura!

- Wyprowadzam się do starego McNabera! - zagroził Quinn.

- A my pójdziemy za tobą! - Roześmiała się, obejmując go w pasie. - Tak naprawdę, to my też nie lubimy szparagów i wątróbki, więc nie umrzesz z głodu.

- Amando, czy teraz też będziesz wyjeżdżała w trasy? - zainteresował się Elliot.

- Nie - odparła cicho. - I ja, i chłopcy jesteśmy bardzo zmęczeni życiem na walizkach. Postanowiliśmy zwolnić tempo i skupić się na pracy studyjnej i teledyskach.

- Super! Mam świetny pomysł na wasz wideoklip! - pochwalił się Elliot.

- Opowiesz o nim chłopcom, jak przyjadą do nas z wizytą.

- Przyjadą do nas? Wszyscy? - zawołał, wpatrując się w nią oczami błyszczącymi z emocji.

- Hank mówił mi, że moja ciotka i Durning postanowili wziąć ślub i przenieść się na Hawaje. Zaproponowali chłopakom, żeby korzystali z ich chaty. A oni uznali, że skoro tak bardzo polubiłam góry, to musi w nich być coś niezwykłego. Postanowiliśmy, że inspiracją naszego kolejnego albumu będą właśnie one - tłumaczyła.

- Super! Jutro opowiem o wszystkim chłopakom ze szkoły - emocjonował się Elliot.

- Obiecuję, że pokażemy was w jednym z teledysków - rzekła, a spoglądając na Harry'ego, dodała: - Pana też wmontujemy w którąś ze

scen.

- Tylko nie to! - zachnął się. - Bo ucieknę z domu!

- Niech pan tego nie robi! Bez pana przyjdzie nam umrzeć z głodu.

Sam pan wie, że kiepska ze mnie kucharka.

- Więc niech pani nie próbuje robić ze mnie gwiazdy filmowej. Za stary jestem na takie wygłupy.

- Jak pan sobie życzy. Ale strata będzie naprawdę wielka. Zwłaszcza dla tysięcy kobiet, które natychmiast stałyby się pana wielbicielekami.

Harry roześmiał się i machnąwszy ręką, poszedł do kuchni. Elliot zaś pobiegł do swojego pokoju poćwiczyć grę na keyboardzie. Quinn natychmiast wykorzystał okazję, by zamknąć się z Amandą w swoim pokoju.

Usiedli obok siebie w ogromnym skórzanym fotelu i przez chwilę słuchali w milczeniu wesołych trzasków ognia, który płonął w pękatej żeliwnej koczce na niskich nóżkach.

- Pamiętasz, jak byliśmy tu ostatnim razem? - zapytał ją między pocałunkami.

- Tak niewiele brakowało, żebyśmy zaczęli się kochać.

- Cieszę się, że tego nie zrobiliśmy - odparł, biorąc ją za rękę. - Dzięki temu mieliśmy najprawdziwszą noc poślubną. I wielką radość z naprawdę pierwszego razu.

- Ja też się cieszę, że zaczekaliśmy z tym do ślubu - rzekła,

dotykając czule jego policzka. - Czy ty wiesz, jak bardzo cię Kocham?

- Na pewno nie bardziej niż ja Ciebie. - Westchnął, całując ją w czoło. - Słuchaj, a jeśli zajdziesz w ciążę? Nie pomyślałem, żeby się zabezpieczyć, więc...

- Tym lepiej! Przecież wiesz, że chcę mieć z tobą dzieci.

- Nawet nie marzyłem, że spotkam w życiu kogoś takiego jak ty - szepnął, tuląc ją do siebie i gładząc jej miękkie włosy. - Dopóki się nie zjawiałaś, nic mnie nie cieszyło. Byłem zgorzkniały, czułem się całkiem wypalony. Tak długo żyłem samotnie, iż czasem trudno mi uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wydaje mi się, że tylko sen...

- Zaręczam ci, że nie śnisz. - Uśmiechnęła się, garnąc się do niego i całując go w usta. - Złapałam cię i już nie puszczę. Jesteś mój na dobre i na złe.

- Tak? I co teraz ze mną zrobisz?

- Zaraz się przekonasz - szepnęła mu do ucha, wsuwając dłoń pod jego koszulę. - Zamknąłeś drzwi na klucz?

- Zamknąłem. Kochanie, co ty wyprawiasz...? - jęknął, gdy usiadła mu na kolanach.

- Wykorzystuję każdą chwilę - mruknęła sennie, rozpinając mu guziki. - Życie jest krótkie, trzeba je łapać póki czas - mówiła, całując go delikatnie.

- Masz rację...

Za oknami sypał gęsty śnieg, a oni kochali się w przytulnym,

ciepłym pokoju. Ich szepty mieszały się z przyjemnym szumem ognia zamkniętego w żeliwnym brzuchu piecyka. Amanda zaczęła tę zabawę, jednak Quinn szybko przejął miłosną inicjatywę. Nie protestowała, wiedząc, że w tym domu obowiązują reguły ustalone przez Quinna. O dziwo, nie miała nic przeciwko temu, by się do nich dostosować.